

WYDANIE SPECJALNE NA NOWY ROK • 116 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

NR 1/304 6 STYCZNIA 2019 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RZECZY

Mateusz
Morawiecki
jakiego nie znacie

Co się stało
z mózgiem
Józefa Piłsudskiego

Jak Niemcy kradli
dzieci Polakom

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 0 1 >
Nakład: 80 tys. egzemplarzy



2019

–decydujące starcie

KTO BĘDZIE RZĄDZIŁ POLSKĄ? KTO BĘDZIE WODZIŁ REJ W UNII EUROPEJSKIEJ?



Inwestycje dla Polski

Razem tworzymy praktyczne rozwiązania dla wspólnego sukcesu i bezpiecznej przyszłości.

Polski Fundusz Rozwoju to grupa instytucji finansowych i doradczych dla przedsiębiorców, samorządów i osób prywatnych inwestująca w zrównoważony rozwój społeczny i gospodarczy kraju.

www.pfr.pl

Infolinia: 800 800 120

Barbarzyńcy docierają nad Wisłę



PAWEŁ LISICKI

Do tej pory opowieści o walce z symbolami chrześcijańskimi w przestrzeni publicznej docierały do Polski z daleka. Słuchając o tym, jak próbuje się zakazywać budowy bożonarodzeniowych szopek, zmieniać nazwę świąt w taki sposób, by nie miały nic wspólnego z Narodzinami Pana Jezusa, lub usuwać z kartek świątecznych znaki i symbole chrześcijańskie, można się było uśmiechać, wzruszać ramionami, ewentualnie pukać w czoło. Cóż, niechęć do własnego dziedzictwa, wrogość

wyrazem obcej dominacji. Dzisiaj widać, że choroba ta, niestety, nie zatrzymała się na Odrze.

Również w Polsce mamy z nią do czynienia. Również w Polsce pojawiły się środowiska radykalnie laickie, wściekle ateistyczne, nowy typ człowieka uformowany przez postępową, lewicową ideologię, w którym to, co arcy-polskie, budzi irytację i złość. To są właśnie cechy prawdziwego barbarzyńcy – wrogość wobec tego, co go przewyższa, czego nie rozumie i co zatem najchętniej by usunął i zniszczył, a także złość na to.

Na krótko przed świętami 12 radnych warszawskiej Koalicji Obywatelskiej podpisało się pod listem napisanym przez radną Agatę Didusko-Zyglewską, w którym domagali się Wigilii bez księdza, modlitwy i łamania opłatkiem. „Część z nas – w tym ja – startując do rady miasta, zobowiązała się do przestrzegania zasady rozdziału państwa i Kościoła oraz konstytucyjnej zasady bezstronności organów władzy. Naszym zdaniem charakter planowanej uroczystości zaburza ten rozdział” – napisała na Facebooku pani Didusko-Zyglewska. W liście napisano: „Reprezentujemy wszystkich mieszkańców Warszawy – wyznawców różnych religii, osoby niezwiązane z żadnym Kościołem, kobiety, które walczą o swoje prawo do równego traktowania, osoby ze społeczności LGBT+, niepełne pary korzystające z zapłodnienia in vitro czy osoby będące w dzieciństwie ofiarami przestępstw seksualnych ze strony duchownych. Publiczne prezentowanie związków radnych Rady m.st. Warszawy z przedstawicielami konkretnych Kościołów

i konkretnych wyznań odbiera tym i licznym innym grupom poczucie bezpieczeństwa oraz pewność, że w pełnieniu naszych obowiązków pozostaniemy zgodnie z nakazami konstytucji bezstronni”. Obrzydliwy ten dosyć tekścik, będący swoistym połączeniem donosu (stąd odwołanie do osób „będących w dzieciństwie ofiarami przestępstw seksualnych ze strony duchownych”, co służyć ma napiętnowaniu księży jako grupy szczególnie gotowej dokonywać przestępstw seksualnych) z propagandą feministyczną (stąd słowa o kobietach walczących o swoje prawa) i homoseksualną (osoby ze społeczności LGBT), miał pokazywać rzekomą bezstronność i neutralność pod nim podpisanym. I być może gdyby napisali go na Księżycu lub na Marsie, mogliby opowiadać o tym, że nie chcą pokazywać związków z „konkretnym kościołem”. Jednak w Warszawie? W mieście, gdzie każdy kąt, każda grudka ziemi przesiąknięta jest krwią tych, którzy oddali swoje życie dla ojczyzny i Boga? Oddali życie nie dla jakiejś nieznanej ojczyzny, ale tej właśnie, nie jakiegoś abstrakcyjnego Boga, ale tego właśnie, którego 1050 lat temu przyniósł tu Kościół.

Tego właśnie barbarzyńcy nie rozumieją. Dlatego zamiast w milczeniu okazywać szacunek dla tego, co ich przerasta, wolą to usunąć. Do licha, nie mam nic przeciw temu, żeby owych 12 radnych organizowało sobie spotkania, kiedy i jakie chcą. Na każdą możliwą modłę i na każdy możliwy sposób, z tęczowymi plakacikami lub bez nich – to jest ich sprawa. Niech tylko, proszę bardzo, odcepią się od Wigilii. ©

*Spokojnego Nowego Roku
w spokojnej Polsce
życzy redakcja „Do Rzeczy”*



i obojętność wobec tego, co w nim najpiękniejsze i najbardziej chwalebne – do kultury chrześcijańskiej – wydawały się typową chorobą współczesnego Zachodu. To jej skutkiem jest wykorzenienie, które sprawia, że z roku na rok rośnie grupa ludzi nierozumiejących własnego dziedzictwa, własnej historii. Ludzi, którzy nie umieją się utożsamić ani z własnym narodem, ani z przekazem poprzednich pokoleń. Prawdziwych, współczesnych barbarzyńców, dla których przeszłość jawi się jako ograniczenie, a tradycja staje się

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA
NA OSTATNIEJ PROSTEJ
Rok walki o wszystko

21 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ROK KONTROLOWANEGO CHAOSU

24 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
KONIEC Z HASŁEM „WIĘCEJ EUROPY”

RAPORT – POLSKA ZA 100 LAT

28 ROZMOWA Z GEORGE'EM FRIEDMANEM
TO BĘDZIE POLSKIE STULECIE
Rosja chce, byście wierzyli, że jest potężna

31 ROZMOWA
Z MARKIEM JANEM CHODAKIEWICZEM
**WARSZAWA MUSI ROZWINĄĆ
POTENCJAŁ NUKLEARNY**

34 ROZMOWA Z DR. JACKIEM BARTOSIAKIEM
GRA POLSKI Z ROSJĄ WCIĄŻ SIĘ TOCZY

36 PIOTR GOCIEK
POLITICAL FICTION: JUTRO BĘDZIE JUTRO

KRAJ

40 WOJCIECH WYBRANOWSKI
JASTRZĘBIE I GOŁĘBIE
Nadchodzą polityczne przetasowania w PiS

44 KAMILA BARANOWSKA
MORAWIECKI OD ŚRODKA

48 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WIROWANIE NA POTAŃCU

KULTURA

50 WIESŁAW CHEŁMINIAK
NIEBO SPADŁO NA ZIEMIĘ
Tintoretto – artysta, który odkrył
dla sztuki nowe terytoria

53 KRZYSZTOF MASŁOŃ
KAZIMIERZ KUTZ (1929–2018)

56 ŁUKASZ ZBORALSKI
POLSKI „DZIADEK” DICAPRIO

58 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM TROJANOWSKIM
EKRAN W CENIU SWASTYKI

NIE PRZEGAP

60 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

HISTORIA

68 AGNIESZKA RYBAK, ANNA SMÓŁKA
**GDZIE JEST MÓZG
MARSZAŁKA**
Tajemnica stoja i albumu

72 MARCIN BARTNICKI
NOWI „NIEMCY” PROSTO Z POLSKI

ŚWIAT

76 PIOTR WŁOCZYK
**PREZYDENT
NA WOJNIE Z BOGIEM**
Krwawe porachunki na Filipinach

78 MAREK BUDZISZ
GENERAŁ MRÓZ UMIERA

80 PIOTR ZYCHOWICZ
IZRAELSCY KIBOLE RASIĘCI

EKONOMIA

88 RADOŚLAW WOJTAS
BILET – SZYBKE ŁĄCZE
Netflix, Showmax i rewolucja wideo

91 ŁUKASZ ZBORALSKI
NARESZCIE NA WŁASNOŚĆ

92 STEFAN SĘKOWSKI
FABRYKA BUBLI

94 TOMASZ WRÓBLEWSKI
ZAMACH NA DOLARA

SPORT

100 ŁUKASZ MAJCHRZYK
Z MIŁOŚCI DO PRĘDKOŚCI
Historia Williamsa



STYL

102 JACEK PRZYBYLSKI
WODNE KRÓLESTWA
Największe aquaparki na świecie

O ZDROWIU

106 KATARZYNA PINKOSZ
PIĘĆ RAZY NADZIEJA DLA PACJENTÓW
Przełomy 2018

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (9), WARZECHA (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (65), ZYCHOWICZ, KOPER (75), KOWALCZUK (87), GABRYEL, RYBIŃSKI (98), KOMUDA (108), TYRMAND (112), JASTRZĘBOWSKI (113), KATARYNA (114), ŁYSIAK (115)

Finansowaliśmy
kluczową dla Polski
infrastrukturę – **drogi,
autostrady, lotniska,
koleje**

2018 rok był dla nas
wyjątkowy, pełen sukcesów
i nagród.

Nie byłoby to możliwe
bez naszych Klientów.

Podpisaliśmy
umowę programów
gwarancyjnych UE
– **COSME**
na rekordowe
1,2 mld zł

Dziękujemy za okazane
zaufanie!

W nadchodzącym roku 2019
życzymy wszystkim realizacji
marzeń i planów.

Aplikacja mobilna
PeoPay zdobyła
nagrodę EFMA
jako **najlepsza
Innowacja
2018 r.**

Zarząd Banku Pekao S.A.



Bank Pekao

Docenisz różnicę

Zdobyliśmy 4.
raz z rzędu tytuł
**Best Private Bank
Award**

Finansowaliśmy
**nowoczesne obiekty
handlowe, biurowe
i mieszkalne**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemkiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cendekiewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Coś (*Bruselo*), **Krzysztof Czański**, **Roman Graczyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk**
(*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małkowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**,
Błażej Torasiński, **Matthew Tyrmand**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wołski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio
Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Karol Gac**,
Przemysław Harczuk (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP
Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójciszewska**, **Włodzisław Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Mazena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 80 tys. egzemplarzy

B.P.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Serdecznie dziękujemy za wszystkie ciepłe słowa i życzenia bożonarodzeniowe oraz noworoczne. Czas wrócić do szarej, często niełatwej – o czym w dzisiejszym liście – rzeczywistości. Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i za-praszamy do dyskusji.

„Partnerstwo czy podległość” – Paweł Lisicki, „DRz” 49/2018

Podzielam obawy zawarte w artykule „Partnerstwo czy podległość” Redaktora Pawła Lisickiego co do sposobu zabiegania o dobre relacje z USA, które mają nam zapewnić bezpieczeństwo, a które – jak faktycznie można odnieść wrażenie – noszą pewne znamiona podległości. I choć jak niejednokrotnie pisał o tym Redaktor Rafał A. Ziemkiewicz (również w artykule „Życie uczuciowe państwa”), w polityce liczą się interesy, to wydaje mi się, że kierowanie się przez rządy państw interesem powinno też odbywać się w jakichś ramach i te ramy to m.in. niepodległość innych państw. Zasadne jest moim zdaniem pytanie stawiane we wspomnianym artykule Redaktora Pawła Lisickiego o koszty i korzyści naszej współpracy z Ameryką. Sojusz ten jest nam potrzebny, ale ile jest wart, to – jak uczy nas doświadczenie II wojny światowej – dopiero przyszłość może pokazać. Skąd pewność, że gdy dojdzie do rzeczywistego zagrożenia światowym konfliktem militarnym, Ameryka nie przetasuje kart swoich relacji (żołnierzy przecież można wycofać), do głosu dojdą ci co zawsze,

a my zostaniemy zepchnięci z pozycji sojusznika do pozycji kraju, który ma siedzieć cicho? Strofujący charakter listu pani ambasador Mosbacher i stawianie nas w roli uczniaka nie dają dużych nadziei, że tym razem mogłoby być inaczej.

Niestety, ze względu na nasze położenie geopolityczne nie mamy zbyt dużego pola manewru. Dodatkowo na naszą niekorzyść działa nasz nie najlepszy wizerunek w świecie, spowodowany w dużej mierze przez przypisanie nam niechlubnej roli współodpowiedzialnych za Holocaust. I wydaje mi się, że od naprawy tego wizerunku należałoby zacząć. Chociaż to pewnie trudniejsze, niż by się pozornie wydawało, bo rzecz tkwi nie w braku wiedzy (a przynajmniej nie tylko), ale taki wizerunek może być po prostu wygodny dla świata, a ściślej – dla szerokiego kręgu możnych tego świata nie tylko z kręgu polityki, którzy kształtują świadomość społeczeństwa światowego. A wygodny dlatego, że oprócz interesów finansowych może stanowić pewnego rodzaju usprawiedliwienie dla takiego, a nie innego potraktowania naszego państwa w czasie II wojny światowej i po niej, i obawiam się, że może to być wykorzystane również w przyszłości. Nie można zarzucić naszemu rządowi, że nic w tej kwestii nie robi, bo robi. Tylko że wychodzi to jakoś tak nieporadnie. Może należałoby wyjść z tym przekazem do świadomości i sumień społeczeństw w sposób mniej oczywisty i czytelny z pominięciem „blokujących”. Chociaż i to się robi, bo temu służą przeróżne kampanie, ale to ciągle jest za słabe.

Tomaszowi Terlikowskiemu

wyrazi głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci



Mamy

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”

Tragedia w czeskiej kopalni

20 grudnia w kopalni Stonava w Karwinie doszło do potężnego wybuchu metanu. Zginęło co najmniej 13 górników, w tym aż 12 Polaków. Dziesięciu górników zostało rannych. W momencie zamykania tego wydania „Do Rzeczy” stan jednego z nich był krytyczny.

Do wybuchu metanu doszło ponad 800 m pod ziemią. Na miejsce tragedii w nocy z 20 na 21 grudnia przybyli wyposażeni w specjalistyczny sprzęt polscy ratownicy oraz premier Mateusz Morawiecki, który złożył „w związku z tą straszną tragedią wyrazy najgłębszego współczucia wszystkim rodzinom ofiar, wszystkim rodzinom poszkodowanych”.

Kondolencje rodzinom ofiar złożyli również premier Czech Andrej Babiš oraz przewodniczący Komisji Europejskiej



FOT. KASIA ZAREMBA/SUPER EXPRESS/CALOID IMAGES

Jean-Claude Juncker. – Oczywiście roztoczymy opiekę nad wszystkimi rodzinami ofiar górników i nad tymi wszystkimi, którzy przeżyli – zapowiedział premier Morawiecki.

Ze względu na dużą liczbę ofiar z Polski śledztwo ws. ka-

tastrofy w kopalni w Karwinie wszczęła Prokuratura Okręgowa w Gliwicach. – Wiecie, że tam jest tyle metanu, a alpina tam fedrowała? Z jakiej racji? Znowu robicie jakieś machlojki, folie na te czujniki albo coś kładziecie, węgiel się



FOT. ANDRZEJ GRUCIEL/PAP

tylko liczy, życie to macie w d... jednym słowem – powiedział Zbigniew Kaczmarek. Ojciec 29-letniego Patryka, który zginął w wybuchu, opowiadał w TVP Info, że jego syn pracował w kopalni od siedmiu lat.

(jap) ©

REKLAMA



BOS
BANK

Pożyczka na zimowy czas

– stwórz dobry nastrój
i ciepłą atmosferę tej zimy!

RRSO
11,56%

- kwota pożyczki **od 1.000 zł do 100.000 zł**
- okres kredytowania **do 120 miesięcy**
- maksymalnie **2 pożyczkobiorców**

Bank Ochrony Środowiska S.A. | www.bosbank.pl | facebook.com/bosbankpl/
801 355 455 | +48 22 543 34 34

Opłata za połączenie zgodna z opłatą przewidzianą przez operatora wg aktualnego cennika.

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 11,56%, przy założeniu, że całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów) wynosi 20.000 zł, całkowita kwota do zapłaty to 26.021,20 zł, oprocentowanie zmienne w wysokości 8,78%, które składa się z aktualnej stopy bazowej WIBOR 6M (z dnia 26.10.2018 r. wynosi 1,79%, powiększonej o marżę 6,99 p.p., całkowity koszt pożyczki wynosi 6.021,20 zł (w tym: prowizja 1.000,00 zł kredytowana, odsetki 5.021,20 zł), pożyczka spłacana w 60 równych ratach w wysokości 433,69 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 30.10.2018 r. na reprezentatywnym przykładzie. Ostateczna wysokość raty i ewentualne, wymagane zabezpieczenia uzależnione są od indywidualnej oceny wiarygodności kredytowej Klienta, daty wypłaty pożyczki oraz daty płatności pierwszej raty. Powyższa informacja nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu Cywilnego. Powyższe wyliczenie ma charakter szacunkowy i nie uwzględnia ewentualnych kosztów dodatkowych związanych z wcześniejszą spłatą pożyczek i kredytów udzielonych przez inne instytucje finansowe. Promocja trwa od dnia 08.11.2018 r. do dnia 29.03.2019 r. Z Promocji mogą skorzystać konsumenci, w rozumieniu art. 22 Kodeksu cywilnego, posiadający pełną zdolność do czynności prawnych, którzy spełnią łącznie warunki wskazane w Regulaminie promocji „Pożyczka na Zimowy czas”. Regulamin promocji „Pożyczka na Zimowy czas” jest dostępny w oddziałach banku i na www.bosbank.pl.

www.bosbank.pl

NA PIERWSZY OGIEŃ

Druga niepodległość Ukrainy



PIOTR SEMKA

W 1667 r. – na mocy rozejmu andruszowskiego między Rzeczpospolitą a Rosją – utraciliśmy tereny Ukrainy lewobrzeżnej na wschód od Dniepru. W 1686 r. na mocy umowy Patriarchatu Konstantynopola z Rosją Kościół prawosławny na Ukrainie podporządkowany został patriarchatowi w Moskwie. Umowa ta pozwoliła potem na zabójcze dla Polski interwencje Katarzyny II w kwestie wyznaniowe w Rzeczypospolitej. Tylko 21 lat minęło między dyplomatyczną porażką Rzeczypospolitej w zmaganiach z Rosją a aktem ekspansji Moskwy na ziemie ukraińskie na płaszczyźnie duchowej. A 86 lat później, w 1772 r., doszło do pierwszego rozbioru Polski. Co łączy te trzy daty: 1667, 1686 i 1772? Przypominają one, jak ścisły był związek między ekspansją polityczną Rosji a rozszerzaniem władztwa patriarchatu moskiewskiego na ziemiach między Bałtykiem a Morzem Czarnym.

Ukraina wyciągnęła wnioski z tamtego niepowodzenia

Rzeczypospolitej. I teraz sama wywalczyła od patriarchatu Konstantynopola uznanie własnej podmiotowości na polu religijnym. To właśnie dlatego uzyskanie autokefalii, czyli narodowej niezależności przez Cerkiew ukraińską, winniśmy traktować jako ważne wydarzenie także i dla nas. „To jeszcze jeden akt niepodległości Ukrainy” – powiedział prezydent Petro Poroszenko na uroczystości zjednoczenia skłóconych dotąd odłamów ukraińskiej Cerkwi prawosławnej. Poroszenko ma powody do satysfakcji. To jego dyplomacja skłoniła patriarchę Konstantynopola do uznania odrębności prawosławia ukraińskiego od Rosji.

Nowym metropolitą zjednoczonej Cerkwi ukraińskiej został metropolita Epifaniusz. Jest stosunkowo młody, ma dopiero 39 lat i dobrze to wróży dynamizmowi jego posługi. 6 stycznia, w symbolicznym dniu wigilii prawosławnego Bożego Narodzenia, otrzyma w Konstantynopolu Tomos – akt wyzwolenia spod podległości Moskwie po 332 latach zależności.

Nowy lider ukraińskiej Cerkwi nie ma co jednak liczyć na spokojny początek kadencji. Tylko dwóch z 98 biskupów tej części Cerkwi, która uznaje podległość patriarchatowi w Moskwie, przybyło na sobór zjednoczeniowy. Już na horyzoncie jest konflikt o władzę nad dwoma najważniejszymi sanktuariami prawosławia na Ukrainie – Ławrą Peczerską w Kijowie i Ławrą Poczajowską na Wołyniu. Potem konflikt obejmie budynki i mienie wielu prawosławnych parafii.

W tym pojedynku państwo ukraińskie będzie aktywnie wspierać Cerkiew autokefaliczną. Ten sojusz tronu i ołtarza nie zachwyca tych, którzy przyzwyczaili się do standardów w Kościele katolickim. Pamiętajmy jednak, że za patriarchatem moskiewskim stoi Putin. Kijów, umywając ręce, oddałby pole Moskwy. A ta aktywnie wejdzie w ten spór, chętnie otwierając nowy front w wojnie z państwem ukraińskim.

Nasi wschodni sąsiedzi zrobili kolejny krok na drodze do pełnej niepodległości. ©

„WŚCIEKŁY PIES” NA EMERYTURZE

Amerykański sekretarz obrony gen. James Mattis 20 grudnia ogłosił nagle rezygnację ze stanowiska. 68-letni Mattis, nazywany przez towarzyszy broni z piechoty morskiej „Wściekłym Psem”, opóźnił przejście na emeryturę do 28 lutego 2019 r., aby dać prezydentowi czas na znalezienie i zatwierdzenie w Senacie następcy na tym stanowisku. Generał Mattis zrezygnował dzień po tym, jak Donald Trump oficjalnie ogłosił wycofanie amerykańskich wojsk z Syrii. Tej decyzji prezydenta sprzeciwiał się sekretarz obrony. (jap) ©



FOT. ANDREW HARRER/BLUMBERG/GETTY IMAGES



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Pomnik dla KOD

Wydawałoby się, że po „tramwaju różnorodności”, przeniesionym przez Rafała Trzaskowskiego na ulice Warszawy jakby wprost z filmu Stanisława Barei, długo już nie uda się Platformie wymyślić nic śmiesznieszego. Jednak... „i już się prężą mózgi szeregi, i wzrok się pali – i już widzimy, żeśmy kolegów nie doceniali”, jak to był

i parlamentarne, zyskując wielkość parlamentarną.

„Śpiewem i tańcem powitali warszawiacy tę niespodziewaną, a jakże miłą inicjatywę” – teraz wiedzą już, na co pójść oszczędności uzyskane dzięki, jak ujął to wiceprezydent Rabej, „wycofaniu się z rozdawnictwa”, czyli odebraniu lokatorom przyznanych im przed wyborami bonifikat w opłatach za zmianę (obowiązkową, bo wynikającą z ustawy) użytkowania wieczystego nieruchomości we własność. Likwidacja owych bonifikat dla indywidualnych obywateli (bo deweloperom przysługują dalej w pełnym przedwyborczym wymiarze 95 proc. – trzeba pochwalić nieustającą troskę nowych-starych władz stolicy o biznes, szczególnie ten „reprzywatyzacyjny”) przynieść ma budżetowi miasta 1,7 mld zł. Nie trzeba więc poprzestawać na skromnym „programie gromadzenia dokumentacji protestów,

przypinek, transparentów” etc. oraz wystawie w jednym z już istniejących muzeów.

Opozycja uliczna, jak nazwali ją sami postulujący program, zasługuje na muzeum własne, osobne. W końcu regularnie gromadzi w ponad półtoramilionowym mieście po kilkudziesięciu manifestantów i obrosła ogromną liczbą artefaktów. Samych tylko symboli „ruchu” ile to już było – oporniki, wieszaki, długopisy, białe róże, koszulki „Konstytucja”. A przecież do upamiętnienia są i wigilijny pasztecik z pamiętnych dni okupacji Sejmu przez uczestników „ciamajdanu”, i martyrologia wynoszone przez policję Frasyniuka z napisem: „Je...ć PiS”, i to wykonany cyrylicą, i helikopterem nagłownym sutenera Materny, i faktury Kijowskiego...

Konieczne trzeba zbudować takie muzeum. Kto bowiem za parę lat będzie o KOD i reszcie opozycji pamiętał? Pies z kulawą nogą? ©

„Opozycja uliczna” zasługuje na muzeum własne, osobne

ujął mistrz Młynarski. Przewodniczący klubu Koalicji Obywatelskiej w radzie Warszawy zaapelował do prezydenta Trzaskowskiego, a ten od razu do apelu się przychylił, aby miasto stworzyło program upamiętnienia protestów przeciwko PiS, trwających od kiedy „reżim” wygrał wybory prezydenckie

CZERWONE I CZARNE



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

Powstaniec niechciany

Marcinkowski, Cegielski, strajk dzieci wrzesińskich, „oddolny podatek narodowy” na zakup uzbrojenia, tajne szkolenia wojskowe. Potem przyjazd Ignacego Paderewskiego i wielki niepodległościowy zryw. Tak było. Teraz jest zapomnienie. I skrywana za banalnymi frazesami polityczna niechęć.

Sto lat po tym, gdy Wielkopoleanie wygonili ze swojego regionu niemieckiego zaborcę, władze Poznania odmawiają bohaterstwu powstańcowi wielkopolskiemu – Wincentemu Wierzejewskiemu – miejsca na cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan, zwanym „poznańską

Skalką”. Wincenty Wierzejewski, kawaler Orderu Virtuti Militari, był twórcą wielkopolskiego harcerstwa, bił się o Lwów, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Okazuje się jednak, że przelewając krew za Niepodległość, nie wywalczył sobie miejsca na poznańskim cmentarzu. – Niech go rodzina „dochowa” do stojącego tam grobowca – tak puszą się ludzie prezydenta Jacka Jaśkowiaka.

Patrząc szerzej niż z perspektywy poznańskiego frytla, nie sposób nie odnieść wrażenia, że sprawa, która od kilku tygodni bulwersuje poznańską opinię publiczną, nie jest tylko awanturą o skrawek ziemi

na nekropolii. To element batalii o naszą tożsamość narodową i historyczną, z drugiej zaś strony, tej, po której opowiedziały się władze Poznania, realizacja szerokiego projektu rewolucyjnej lewicy. Koncepcji, w której Polska zastępowana jest „federacją europejską”, a krzyż i ci, którzy o niepodległość walczyli, muszą zniknąć, ustępując miejsca nowym „bohaterom”: organizatorom gejojskich parad, konstruktorom tęczyowych instalacji.

To także kwestia tego, czy przyszłe pokolenia wychować w kuliście niepodległościowych bohaterów i wojowników czy eurokonsumentów i korponiewolników. ©

NOTATNIK MALKONTENTA

Orbán i nadgodziny



ŁUKASZ WARZECHA

Kilka lat temu Viktor Orbán mógł być dla polskiej prawicy wzorem skutecznego zdobywania władzy i zarządzania państwem w konserwatywno-liberalnym stylu. Dzisiaj powinien być przede wszystkim ostrzeżeniem przed tym, do czego prowadzą: władza niemalże nieograniczona, prywatyzacja państwa i układanie go pod siebie. Widać to wyraźnie przy okazji najgwałtowniejszych od lat protestów na Węgrzech, związanych z reformą kodeksu pracy.

Gdyby jeszcze zmiana przepisów miała strictly liberalny charakter, można by Orbánowi od biedy wybaczyć sposób jej

Na sprzeciw wobec zmiany w kodeksie pracy nakłada się wojna dwóch narracji

wdrożenia. Tak się jednak składa, że nie ma ona wiele wspólnego z liberalizmem, ponieważ dodatkowe nadliczbowe godziny są pracownikom narzucane – nie pozostawia się im wyboru. A wybór jest istotą liberalizmu.

Nikt nie ma wątpliwości, że kodeks jest zmieniany zgodnie z zapotrzebowaniem zachodnich, głównie niemieckich inwestorów. To bardzo typowe dla Orbána: głośno krzyczeć o nieposłuszeństwie wobec silnych i obronie wartości, a faktycznie iść na rękę mocniejszym partnerom. Jest w tym nawet pewien godny podziwu pragmatyzm. Tak się

jednak składa, że być może tym razem Orbán się przeliczył, bo przeciwko sposobowi, w jaki wprowadził zmianę w kodeksie, opowiedziała się cała opozycja, od lewej do prawej, z przesunięciem od jakiegoś czasu w stronę centrum Jobbikiem włącznie.

Na sprzeciw wobec zmiany w kodeksie pracy nakłada się wojna dwóch narracji. Jedną, rządową, mówi o inspirującym protesty złym Sorosie, który – jakkolwiek w istocie nie jest postacią szczególnie sympatyczną – jest przedstawiany przez prorządowe media w sposób karykaturalny, niczym Emmanuel Goldstein w świecie „Roku 1984”. Soros w medialnym przekazie węgierskiego rządu stał się upostaciowionym złem, a przypisuje mu się niemalże demoniczne wpływy na losy świata.

Druga narracja – z trudem się przebijająca, obecna głównie w mediach społecznościowych – to opowieść opozycji o kraju „sprywatyzowanym” przez Orbána i jego kumpli – właściwie niezbyt odległą od prawdy.

Czy zmiana w kodeksie pracy będzie katalizatorem, sprawiającym, że zbudowany przez lidera Fideszu układ osłabnie, a może nawet się zawali? Chyba nie – w jego konstruowanie premier włożył zbyt wiele pracy. Jakiś wyłom jednak powstał.

Jedno jest pewne: Polska ze swoją różnorodnością i z wolnością mediów oraz żywym sporem politycznym jest dziś naprawdę daleko od Węgier – i trzeba się z tego cieszyć. Obyśmy nie mieli Budapesztu w Warszawie. ©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Neutralna Warszawa

Wiem, że już po świętach, ale niech Państwo pozwolą, że pozostaniemy w tej neutralnej religijnej atmosferze. W końcu tak wyglądałoby Boże Narodzenie, gdyby... i tutaj oddajmy głos warszawskim radnym. „Jutro po sesji Rady organizuję spotkanie wigilijne z elementami religijnymi. Skierowaliśmy jako radni do Przewodniczącego Rady list, gdzie prosimy o nadanie mu neutralnej formy” – zaapelował Marek Szolc. „Domagamy się rozdziału państwa i Kościoła [...]”. #RadaMiasta nie może być miejscem modlitwy, bo wtedy nie ma mowy o bezstronności i neutralności organów władzy #świeckiepaństwo” – dodała Agata Diduszek.

Niestety, wredni konserwatyści lubią w takich chwilach przypominać, że kij ma dwa końce.

„Radna Diduszek powinna postulować, aby w żadnym podległym miastu urzędzie nie było żadnych spotkań wigilijnych. To naruszenie zasady neutralności religijnej. I żadnego skracania czasu pracy w Wigilię. No i żadnych życzeń świątecznych” – zauważyła Katarzyna.

W sumie po co komu patriarchalne tradycje, skoro mamy w stolicy projekty na miarę Tramwaju Różnorodności? „Dziś #RadaWarszawy miała odwagę wycofać się z błędów rozdawnictwa i zadbać o budżet miasta. Dziękuję w imieniu wszystkich, którzy skorzystają dzięki temu na rozszerzonych miejskich programach społecznych, edukacyjnych, antysmogowych i zdrowotnych” – zatriumfował Paweł Rabiej, gdy radni PO odebrali dopłaty do przekształcenia użytkowania wieczystego na własność. Cieszył się jednak krótko. „Zapowiadałem, że będę wsłuchiwał się w głos warszawiaków i tak też robię. Ws. #bonifikaty ich reakcja jest jasna” – stwierdził Rafał Trzaskowski po spotkaniu z Grzegorzem Schetyną. A zmiany cofnięto.

Na koniec wiadomości słodko-gorzkie. „Chcę swą polityczną aktywność zakończyć, mam dużo spraw do załatwienia, życiowego zakończenia i uporządkowania. Może jesienią tu wrócę. Wpisywać się będzie można. Może wstawię tylko jakąś informację, np. o wyroku w procesie z Owsiakiem” – zadeklarowała prof. Krystyna Pawłowicz. Autorka ta sama. „Przerwa w kuracji: NIKT mnie nie chowa ani nie wyrzuca Totalni, w tym upadli dziennikarze Szuldrzyński, Czuchnowski, Grochala (Grochal? – przyp. M.M.) itp. oraz bezmocni posłowie opozycji – nie zmuszajcie mnie, bym szybko wyzdrowiała... GW niech lepiej pilnuje swego upadku i restauracji”. ©

Kolejny rok za nami. Która z gwiazd w tym roku zasłużyła na szczególne wyróżnienie? O kim pisaliśmy tu najczęściej i kto bawił nas najbardziej? Wybór łatwy nie jest, bo konkurencja duża, ale spróbujemy wybrać tych najbardziej zasłużonych. Bywalcom naszej rubryki niezmiennie dziękujemy za to, co dla nas robią. Za te wszystkie wywiady, zdjęcia, filmiki, wpisy i co tam jeszcze. I prosimy o więcej!

EKSHIBICJONIZM MAJDANÓW

To był kolejny udany rok duetu Małgorzata i Radosław Majdanowie. Na antenie TVN gościli ich wspólny program „Iron Majdan”, a oni gościli wszędzie, wyskakując już niemal z lodówki. W jednym z wielu, bardzo wielu wywiadów, których udzielili, zostali zapytani, gdzie leży granica, za którą nie wpuściliby do swojego życia telewizyjnych kamer. „Nie pokazujemy domu, dzieci. Często jest nam proponowane, żebyśmy wpuścili do domu kamery, pokazali, jak mieszkamy” – odpowiedziała Małgorzata, zapominając, że już dawno to wszystko pokazali choćby na zdjęciach, które sami chętnie wrzucają do sieci. „My nie mamy przesadnego poczucia ekshibicjonizmu” – zapewniła. To dobrze, bo Majdany ponoć starają się właśnie o dziecko i jest to ich absolutny priorytet. O czym poinformowała w jednym z wywiadów Małgosia. W ramach braku przesadnego poczucia ekshibicjonizmu oczywiście.



FOT. PRZESZCZOT JAROSZ/FOURUM

JAK IGNORUJE DODA

To był udany rok dla Dody. Zmniejszyła biust, zmieniła wizerunek na bardziej naturalny i wyszła za mąż. Mówi, że jest szczęśliwa, i pewnie tak jest. Niestety przez dłuższy czas uskarżała się bardzo na to, że jej eksmąż, czyli obecny mąż Perfekcyjnej Lady Rozenek Radek Majdan, ostatecznie ją ignoruje, gdy spotykają się na jakichś tam imprezach. Boi się ponoć reakcji swojej nowej małżonki, która za Dodą nie przepada. W tej sytuacji Doda postanowiła, że koniec, basta i ona też będzie Radzia ignorować. „Już nie będę podchodzić do Rozenek i Radka, by się przywitać. Ostatnio zostałam zlekceważona, więc nie czuję potrzeby witania się po raz kolejny ze ścianą. Udali, że mnie nie



FOT. PAVEŁ CROMADA

znają, więc kolejne próby z mojej strony to byłaby ujmą na honorze” – oznajmiła w „Fakcie”. Tak, w „Fakcie”. Ponieważ jeśli już kogoś ignorować, to tylko tam!

OSOBA PUBLICZNA NADAJE

Julia Wieniawa to celebrytka młodsze pokolenia, która zasygnalizowała rolę w jednym z popularnych seriali. Rok 2018 należał z całą pewnością do niej. Zarobiła kupę pieniędzy, była twarzą wszystkiego – butów, lakierów do paznokci i czego tam jeszcze. Kupiła sobie nowy apartament, wart ponoć milion złotych, i cieszyła się, że tak dobrze jej idzie. Nie kręciła w wywiadach, że ciąży jej rola celebrytki. Wręcz przeciwnie – podoba jej się! Podkreślała też, że nie rozumie gwiazd, które narzekają na brak prywatności. „Widziały gały, co brały. Trzeba się do tego dostosować. Jak się żyje w symbiozie ze wszystkimi ludźmi show-biznesu, w tym paparazzi i fotoreporterami, to nikt nie jest zbyt nachalny” – zdradziła w „Super Expressie”. „Nie będę udawać, że nie jestem osobą publiczną” – oznajmiła na koniec. W sumie mogłaby trochę poudawać. Tak przez tydzień chociaż?

ARESzt ZA WYGLĄD

Siostry Godlewskie to najbardziej spektakularne odkrycie polskiego show-biznesu ostatniego roku! Napompowane do granic możliwości siostry oprócz wydętych ust i biustów już rok temu zasłynęły filmikami, na których śpiewały kolędy. Potem już poszło. Wywiady, programy śniadaniowe, zdjęcia, tysiące fanów na Facebookach i Instagramach. Zostały nawet pogodynkami w jakiejś niszowej telewizji. Dużo też opowiadały o sobie i swoich przygodach. Jedną z siostrzycy opowiedziała np. o tym, jak na lotnisku w USA została zatrzymana... za wygląd. Sztuczne rzęsy, usta i mocny makijaż nie spodobały się Amerykanom. – Już brałam swoją walizkę, byłam gotowa się zobaczyć ze swoim narzeczonym i ci Amerykanie mnie zatrzymali. Bez żadnej przyczyny. Po prostu nie podobali im się mój wygląd, bo nie wiem, w jakim celu mnie tak potraktowali, ale mnie zatrzymali. Powiedzieli, że mam oddać im wszystkie telefony, które posiadam. Oddałam im je – relacjonowała Małgorzata. – Później zamknęli mnie jak jakąś więźniarkę, podejrzaną, bardzo źle potraktowali. Zabrali telefony, kazali się przebrać w jakieś więzienne ubrania, całą biżuterię mi pozabierali, wszystko, co miałam na sobie – zalała się. Po 20 godzinach koczowania na lotnisku Godlewską odesłano do Polski. Nie możemy się zdecydować, czy to jest dobra, czy zła informacja! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH

Kochani, jako iż koniec roku to tradycyjny czas podsumowań, także my podążamy za modą i przedstawiamy Wam obiektywny, iż pisany z właściwej (naszej) perspektywy, przegląd najważniejszych wydarzeń roku świeckiego 2018.

STYCZEŃ

Rok rozpoczął się od mocnego uderzenia, iż 1 stycznia Telewizja Polska pokazała pierwszy odcinek „Korony królów”, czyli serialu, z którego śmiała się cała postępową Europą, opartego na losach mitycznych starożytnych polskich królów. Tego samego dnia Kamil Stoch pierwszy raz z wielu obudził demony polskiego nacjonalizmu, zwyciężając w drugim konkursie z czterech w ramach Turnieju Czterech Skoczni. Potem wygra jeszcze dwa konkursy, stając się drugim w historii skoczkiem, który tego dokonał. Janusze wiwatują, szaleją i zawłaszczają Austrię.

W tym samym miesiącu TVN pokazał wstrząsający materiał o leśnych nazistach, którzy pod Wodzisławiem Śląskiem obchodzili urodziny Adolfa Hitlera, m.in. za pomocą tortu z wafelków. Emisja materiału zbiega się w czasie z dyskusją nad nową ustawą o IPN, która zaprzeczała udziałowi Polski w Holokauście i przewidywała karę banicji, przepadku dóbr i utraty czci dla każdego, kto twierdził, iż Polacy w czasie wojny byli wyłącznie szlachetni – a przynajmniej tak to zrozumieliśmy.

Na krajowym podwórku powstaje Plan Petru, o którym w ciągu kilku dni zapomnieli chyba nawet sam Richie, a osoboprezydent podpisuje ustawę negującą świeckość państwa, czyli nakazującą spędzanie niedzieli w kościele i z rodziną, a nie w centrum handlowym.

LUTY

W koreańskim Pjongczangu rozpoczynają się igrzyska olimpijskie, których organizatorzy niczego sobie nie robią z tego, iż w tym kraju jest łamana demokracja i konstytucja, i nie wykluczają go z zawodów. Ten kraj z kolei ani myśli przestać. Ostatecznie Kamil Stoch zostaje mistrzem olimpijskim, kilku in-

nych sportowców zdobywa medale, co powoduje eksplozję nastrojów patriotycznych i nacjonalistycznych. Wszystko to w czasie, kiedy dyskusja nad ustawą o IPN jeszcze nie wybrzmiała.

Z kolei Elon Musk wysyła samochód w Kosmos, dokonując kolejnego przełomu w zawłaszczaniu przestrzeni publicznej przez ruch samochodowy. W odpowiedzi ruchy miejskie rozpoczynają program wystania na orbitę holenderki.

MARZEC

Dramatyczne zmiany w polskim prawie. W życie wchodzi zakaz handlu w wybrane niedziele. Na mieście widać grupy zagubionych ludzi, którzy z jednej strony sami nie wiedzą, co ze sobą zrobić, z drugiej są zaganiani przez księży na nabożeństwa.

Maciej Stuhr po raz kolejny popisuje się bezkompromisowym poczuciem humoru, mówiąc na gali rozdania polskich nagród filmowych, iż himalaista Urubko przypuścił samotny atak na K2, bo nie mógł już dłużej wytrzymać w polskim obozie. Całe środowisko się śmieje, choć mamy wrażenie, że bardziej z poczucia towarzyskiej solidarności niż ze zrozumianego żartu.

Przez Europę przetacza się fala fashysmu. We Włoszech w wyborach zwyciężają ruchy populistyczne i nieodpowiedzialne. W Rosji na kolejną kadencję zostaje wybrany na prezydenta pan Putin.

KWIECIEŃ

Fala fashysmu ani myśli się zatrzymać. Kolejnym nieodpowiedzialnym społeczeństwem okazują się Węgrzy, którzy znów oddają władzę w ręce Orbána. Europa ma więc problem z utrzymywaniem solidarności i wspólnych wartości.

W tym kraju sąd wydaje straszny wyrok, orzekając, iż Kaczafi nie musi przeproszać za sformułowanie o gorszym sorcie, dając tym samym przyzwolenie na dzielenie, jętrzenie i stosowanie języka nienawiści w debacie publicznej. W dodatku w Warszawie dochodzi do odsłonięcia pomnika smoleńskiego.



MAJ

Jak informują niemieckie media: zabrakło Polaków do pracy przy tegorocznych zbiorach szparagów. W ten sposób zżubne skutki „500+” mają wpływ na gospodarkę nie tylko tego kraju, lecz także niemiecką, gdzie przy szparagach nie będą przecież pracowali lekarze, architekci i prawnicy z krajów Bliskiego Wschodu. Jest nam wstyd za taki brak nieodpowiedzialności wśród mieszkańców tego kraju.

Kończy się jedna z najpiękniejszych historii polskiej polityki ostatnich lat: Ryszard Petru odchodzi z .Nowoczesnej, w której rządy przejmują, w myśl hasła: „Dość dyktatury kobiet”, posłanki Lubnauer i Gasiuk-Pihowicz.

Wyborcza ogłasza wyniki sondy, według której jej czytelnicy wstydzą się za ten kraj. Jako powody do wstydu są wymienione m.in.: „zaściankowa religijność” (na drugim miejscu!), „chamstwo” czy „restrykcyjne prawo aborcyjne”. Co ciekawe, wstydzą się także za „kiepską opozycję”.

W życie wchodzi RODO, którego nikt nie przeczytał, nikt nie rozumie, ale wszyscy się go boją. Czyli jak to z większością dłuższych tekstów w tym kraju.

CZERWIEC

W Rosji rozpoczyna się piłkarski mundial. FIFA za nic ma łamanie demokracji i praw człowieka tuż za rosyjsko-polską granicą i jak gdyby nigdy nic pozwala na rozgrywki. Reprezentacja tego kraju przegrywa z drużynami z Afryki i Ameryki Połu-

OŚRODKÓW

dniowej. Niestety, jak to w tym kraju, nie może niczego zrobić do końca i zamiast trwać w postawie antydyskryminacyjnej, ogrywa reprezentację z Azji. Warto nadmienić, że komentator meczu Polska – Senegal łamie zasadę świeckości państwa, krzycząc na wizji: „Jezus Maria, co myśmy zrobili!”.

Przez ten kraj przetacza się protest studentów, którzy prosili o wsparcie w postaci wegańskiego żarcia. Of kors nie mogło to przejść w kraju, którego prezydent z żoną zjadał się panierowanym kurczakiem w popularnej sieciówce.

Dochodzi do spotkania na szczycie: Donald Trump – Kim Dzong Un. Tematem rozmowy podobno miały być napięta sytuacja w Polsce, prześladowania opozycji i łamanie praw człowieka.

LIPIEC

Francuzi zdobywają mistrzostwo świata w piłce nożnej, a w tym kraju opinia publiczna przejeżdża walcem po piłkarzach, sugerując, iż zagrali źle na mundialu, iż kilka miesięcy wcześniej wzięli udział w kręceniu reklam.

W największych ośrodkach w tym kraju odbywają się spontaniczne protesty przeciwko reformie sądownictwa. Sam Lech Wałęsa pisze list do Micka Jaggera z prośbą o wsparcie, Jagger odmawia, iż jest za stary na politykę, ale dalej może grać rocka. Opozycja odrzuciła sukces.

SIERPIEŃ

Iż trwa sezon wakacyjny i Polacy z prowincji zajęci są przepuszczaniem „500+” w nadmorskich kurortach, żyjemy kampanią wyborczą w Warszawie. Rafał Trzaskowski, wielka nadzieja Zjednoczonej Opozycji, bohatersko ratuje starszą panią i zakleja taśmą szybę w drzwiach. Załamany sztab Patryka Jakiego ze Zjednoczonej Prawicy gorączkowo myśli nad kontrakcją.

W Poznaniu odbywają się wybory najpiękniejszego geja w Europie, jednak nie słysząc, iżby środowiska feministyczne protestowały przeciwko uprzedmiotowianiu osób LGBT.

Słysząc za to protesty polskiego zaścianka na wieść o tym, że Ciri,

jedna z bohaterek „Sagi o Wiedźminie” Andrzeja Sapkowskiego, w netfliksowej adaptacji miałyby być koloru skóry innego niż białonormatywny. Wiele emocji budzą również przypuszczenia, iż sam Wiedźmin mógłby być pigmentalnie uposażony. Przeraża to wszystkich zwolenników wizerunku Wiedźmina-Polaka.

WRZESIEŃ

Na ekrany polskich kin wchodzi najważniejszy film 100-lecia niepodległości, czyli „Kler” Wojciecha Smarzowskiego. Opinia publiczna jest zachwycona. Polscy siatkarze dołączają do sportowców, którzy rozbudzają demony polskiego patriotyzmu i zdobywają mistrzostwo świata.

Andrzej Duda próbuje rozbudzić demony polskiego patriotyzmu, ale ostatecznie tylko stoi za biurkiem Donalda Trumpa, którego co prawda nie poważamy i za którego się wstydzimy, ale którego na potrzeby beki z Dudy możemy przez chwilę uznać za światowego przywódcę, a nawet lidera.

Niezawodna „Wyborcza” ogłasza plebiscyt na Polkę Stulecia, wśród nominowanych znajdują się Anna Grodzka oraz wiele innych waginoośób zasłużonych w walce z patriachatem.

PAŹDZIERNIK

Wielkie święto demokracji, czyli wybory, zostaje zdominowane przez PiS-owski elektorat. Mieszkańcy tego kraju znów pokazali, iż nie dorośli do demokracji. Przynajmniej wielkie miasta wciąż

trzymają się mocno. W Warszawie Rafał Trzaskowski zdecydowanie wygrywa z Patrykiem Jakim, dzięki czemu udało się obronić stolicę przed fashysmem.

W szkołach w całym kraju miała się odbyć akcja pod nazwą „Tęczowy Piątek”, jednak na skutek nacisków ze środowisk zaściankowych w wielu miejscach została odwołana. Dla porównania: francuski prezydent pozuje do zdjęć z młodymi, półnagimi, pigmentalnie uposażonymi młodzieńcami. Nie wyobrażamy sobie Dudy w podobnej scenie.

LISTOPAD

Ten kraj, a właściwie jego fashystowska i zaściankowa część, świętował 100-lecie niepodległości. Przez Warszawę po raz kolejny przeszedł Marsz Niepodległości, a w całym kraju ludzie świętowali, wywieszając m.in. polskie flagi z pominięciem flag unijnych. Świat i Europa na to patrzą i nie dowierzają.

W plebiscycie „Wyborczej” ostatecznie zwycięża Skłodowska-Curie, a Anna Grodzka zajmuje drugie miejsce, co pokazuje, iż społeczeństwo jednak do końca nie jest na nią gotowe.

A co w polityce? Richie Petru próbuje znów zaistnieć na scenie politycznej i powołuje nową partię pod nazwą „Teraz!”. Nazwa niespodziewanie sprawia mu problemy i Richie mówi o założeniu partii Razem. Donald Tusk stawia się przed komisją ds. Amber Gold i wypada tak, iż pojawiają się głosy, iż wróci do polskiej polityki na białym osobokoni.

GRUDZIEŃ

W tym kraju odbywa się szczyt klimatyczny, dzięki czemu świat wreszcie ma okazję zobaczyć, jaki duszny klimat nam tu serwuje ekipa rządząca.

Lech Wałęsa pojawia się na pogrzebie George’a Busha seniora w T-shircie z napisem „OTUA”, a my podziwiamy młodzieżowy sznyt Lecha i jego obycie w wielkim świecie.

Nadchodzą Winter Holidays i sezon na sałatki jarzynowe, serniki i życzenia, które i my Wam składamy: iżby w nowym roku spotykało Was wszystko, co dobre.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





100. ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO

27 grudnia 1918 r. Wielkopolanie chwycili za broń, by po kilku miesiącach krwawych walk doprowadzić do włączenia kolebki państwa polskiego do odradzającej się właśnie Rzeczypospolitej. Impulsem do wybuchu powstania był przyjazd do Poznania 26 grudnia 1918 r. Ignacego Paderewskiego.

Dzień później przez Poznań przeszły wielotysięczne pochody patriotyczne. W odpowiedzi Niemcy zorganizowali kontrademonstrację, w której trakcie ścigali polskie flagi, zniszczyli

też budynek Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej. Po godz. 17 na ulicach padły pierwsze strzały, doszło do walk. 6 stycznia 1919 r. Poznań był już wolny, ale walki w Wielkopolsce nadal trwały. Zakończyło je dopiero podpisanie traktatu wersalskiego. Do Rzeczypospolitej wróciły rdzennie polskie ziemie z wysoko rozwiniętą gospodarką i nowoczesnym przemysłem oraz 70 tys. dobrze wyszkolonych żołnierzy Armii Wielkopolskiej.

Na zdjęciu rekonstrukcja wydarzeń, 2012 r. ©©

(www)



Nowory rok, nowe wyzwania, nowe wybory, nowe okazje, by śmiać się przez łzy, obserwując rozgrywki domina zwane polską polityką. Trudne zadanie, bo jak wiadomo, część kostek domina ktoś ukradł, część sfalszował, kilka zgubiono, no i teraz gra się tylko pozostałą garścią. Niech tam jednak będzie, dalej będziemy się ekscytować, jak – nie przymierzając – polską Ekstraklasą piłki kopanej w czoło. Z tej okazji tradycyjne noworoczne życzenia dla bohaterów i czytelników naszej rubryki.

WSZYSTKIM POSŁOM I SENATOROM ZJEDNOCZONEJ PRAWICY życzymy, żeby jednak nie było przedterminowych wyborów. Kredyty się same nie spłacą, ryzyko zawsze jest, a spółki Skarbu Państwa nie są z gumy, nie każdy się załapie.

WSZYSTKIM POSŁOM I SENATOROM EINE TOTAL OPPOSITION życzymy, żeby jednak nie było przedterminowych wyborów, ale z innych powodów. Te powody nazywają się Biedroń oraz nowa lista lewicy. Nie spodziewaliście się tego, dziewczęta i chłopcy, ale tym razem będzie dużo trudniej niż w 2015 r.

PLATFORMIE OBYWATELSKIEJ życzymy przez cały rok szybkiego dostępu do Internetu. Tam najłatwiej sprawdzić, co i kiedy w rozmaitych sprawach mówili i robili ludzie Peło. Chcemy w ten sposób oszczędzić jej przedstawicielom tych wszystkich tekstów z Twittera w stylu „znowu łżecie”.

PRAWU I SPRAWIEDLIWOŚCI życzymy przez cały rok szybkiego dostępu do Internetu, ale z innych powodów. Kupiliśmy popcorn i chcemy uważnie obserwować spektakl, jak partia pilnuje swoich wesołków w mediach zwykłych i społecznościowych. A żeby pilnować, trzeba najpierw być na bieżąco. Do tego Internet przydaje się najbardziej.

WYBORCOM Z CAŁEGO KRAJU życzymy, by w nowym podwójnie wyborczym roku obserwowali uważnie działania Rafała Trzaskowskiego w Warszawie i na tej podstawie przyswajali wiedzę o tym, ile naprawdę wynoszą koszty użytko-

wania wieczystego dużych miast przez Platformę Obywatelską.

RYSZARDOWI PETRU życzymy, żeby on sam sobie w Nowym Roku nigdy niczego nie życzył, bo z jego zdolnościami skończy się to źle, czymś w rodzaju „Sesamie, opróżś się” albo „Złota rybko, chciałbym mieć trzy syczenia do spełnienia”. A przecież nie chcielibyśmy, żeby Rysiek syczał.

PARTII TERAZ! życzymy szampańskiej zabawy w Siedmiu Króli. Tak, wiemy, że powinno być Sześciu Króli, ale siedem to ładniejsza liczba. No i jest kluczowa dla przyszłego wyniku wyborczego nowej partii Ryśka. Stawiamy bowiem, że będzie to 0,7 proc.

dwaj panowie **g**

Kupiliśmy popcorn i chcemy uważnie obserwować spektakl, jak partia pilnuje swoich wesołków w mediach zwykłych i społecznościowych

PARTII RAZEM życzymy równości społecznej. Na początek może być rezygnacja z mieszkań na Wilanowie i wypasionych samochodów.

KRYTYCE POLITYCZNEJ tego samego co partii Razem. Na początek może być przeznaczenie europejskich homigrantów na dożywianie dzieci. Gdyż z tego, co wiemy, uciskane mniejszości seksualne są w stanie wyżywić się same, i to w knajpach na Zbawixie.

SOJUSZOWI LEWICY DEMOKRATYCZNEJ życzymy, żeby jak najszybciej trafił do Archiwum Hoovera. Tam jest jego



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

miejsce od dawna, przynajmniej od czasu przejścia przez ową instytucję życiowego dorobku pisanego Jerzego Urbana i Czesława Kiszcza.

„GAZECIE WYBORCZEJ” życzymy tego co zawsze. Tylko szybciej.

JANUSZOWI KORWIN-MIKKEMU życzymy, żeby już odpuścił. Wszystko dobre, co się kiedyś kończy.

PAWŁOWI PAWLIKOWSKIEMU – Oscara, ale nie teraz. Dopiero za jeden z następnych filmów. To bowiem dobry reżyser i na pewno nakręci kiedyś coś lepszego od „Zimnej wojny”.

STANISŁAWOWI KARCZEWSKIEMU życzymy, żeby nikt mu nie zlikwidował Senatu, bo podobno nawet w PiS są takie młode wilczki, które pałają antypatią do izby zadumy i refleksji. I co wtedy stanie się z obecnym marszałkiem? Marszałkowanie województwu mazowieckiemu to już nie taka wielka frajda.

ADAMOWI STRUZIOWI życzymy, żeby spełnił swe wielkie marzenie i dostał się do europarlamentu. Wtedy zwolni się miejsce dla Stanisława Karczewskiego, bo nowa koalicja w województwie mazowieckim będzie jak amen w pacierzu.

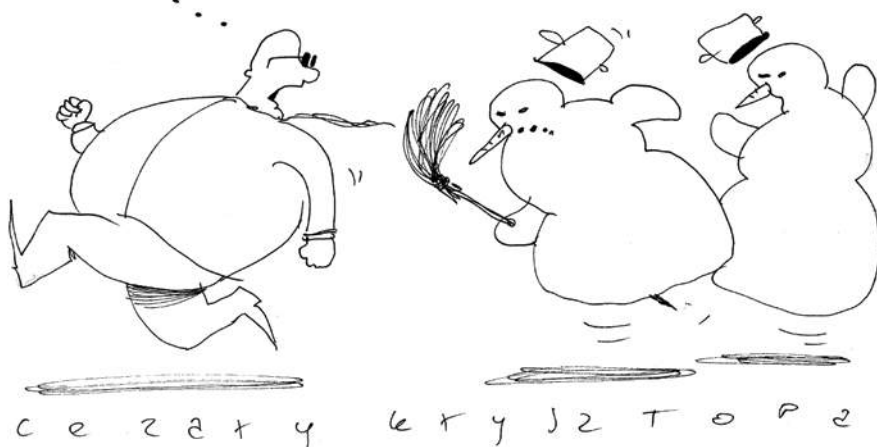
HANNIE GRONKIEWICZ-WALTZ życzymy dostania się do Senatu. To na wypadek, gdyby wygrała opcja młodych wilczków, czyli doszło do likwidacji Senatu.

WSZYSTKIM MŁODYM WILCZKOM niezależnie od barw partyjnych życzymy, by nie wyrosły z nich stare knury.

KUKISTOM I PAWŁOWI KUKIZOWI życzymy, żeby wreszcie odpaliło wielkie bum planowane po cichu na połowę grudnia, a przesunięte na „po świętach”, gdyż jest już po świętach i chcielibyśmy to „bum!” usłyszeć.

DONALDOWI TUSKOWI życzymy kolejnej podwyżki europensji. Wiemy, że jedną niedawno dostał, ale przecież to nie musi znaczyć, że nie powinien dostać następnej. Wiemy bowiem skądinąd, że im więcej ludzie dostają pieniędzy – zwłaszcza za nierobienie niczego – tym bardziej im odbija. A im komuś bardziej odbija, tym bardziej jest oderwany od rzeczywistości. Co dla Polski, jak nietrud-

Ukształtuj sobie elektorat – mówili
będzie podatny na perswazję – mówili...



Dlaczego komuniści są lepsi niż symetryści? Bo komuniści przynajmniej mają poglądy, a symetryści mają tylko pretensje

no dostrzec, byłoby w kontekście Tuska bardzo dobrym rozwiązaniem.

RADKOWI SKNERUSOWI SIKORSKIEMU życzymy znalezienia w Nowym Roku nowych przyjaciół. Starych, jak się skarży, utracił (nie wiedzieć dlaczego). Przy okazji przypominamy starą mądrość ludową: kiedy tracisz prawdziwych przyjaciół, zwykle nie jest to wina przyjaciół.

JERZEMU KWIECIŃSKIEMU, MINISTROWI ROZWOJU I INNOWACJI, życzymy, żeby został w końcu tym komisarzem europejskim, szczególnie że bardzo chce.

POZOSTAŁYM MINISTROM życzymy konsekwencji i determinacji w oczyszczaniu resortów ze złogów III RP. Sądząc po popłochu, w jaki wprawiło sporą część pracowników różnych ministerstw zapraszanie prawdziwych biskupów na spotkania opłatkowe, wiele jeszcze jest do zrobienia.

KOMISJI NADZORU FINANSOWEGO życzymy odrobiny nadzoru.

PAWŁOWI RABIEJOWI życzymy, żeby w warszawskim ratuszu był równie przenikliwym i nieustraszonym pogromcą mafii prywatyzacyjnej jak w sejmowej komisji weryfikacyjnej. Głupia sprawa, jesteśmy urodzonymi optymistami, więc czasem składamy życzenia, wiedząc, że się nie spełnią.

BŁAŻEJOWI SPYCHALSKIEMU, rzecznikowi prezydenta, życzymy, żeby go kiedyś prezydent Andrzej Sebastian zabrał w jakąś zagraniczną podróż naprawdę daleko. Krótkie wyjazdy służbowe samopas do Mołdawii to jednak nie to samo co loty do Australii czy Chin.

WSZYSTKIM SYMETRYSTOM życzymy umiejętności analizowania rzeczywistości ze zrozumieniem. Mogą zacząć od zrozumienia takiego dowcipu, który ułożyliśmy z nudów podczas świąt, gdyż nie mieliśmy co robić: „Dlaczego komuniści są lepsi niż symetryści? Bo komuniści przynajmniej mają poglądy, a symetryści mają tylko pretensje”.

CZYTELNIKOM „DO RZECZY” życzymy wszystkiego najlepszego oraz żeby nigdy nie zapomnieli, że dostają co tydzień do ręki jedyny bezpartyjny tygodnik w Polsce. Oraz że nasza rubryka bywa zabawna dlatego, iż pewne sprawy mamy okazję obserwować z bardzo bliska. I z tego samego powodu, niestety, bywa również niezmiernie smutna. ©©



FOT. ADAM STASKIEWICZ/EAST NEWS



FOT. DARIAN KLAMKA/EAST NEWS

Wojna na całego” trwa od trzech lat. A dla rządzącej ekipy i opozycji w tym czasie każdy poważniejszy kryzys był zaś „decydującym starciem”. Jakoś jednak świat trzeba nazywać. W tej sytuacji termin „gra o wszystko” jest chyba najtrafniejszy.

Jeśli PiS wygra jesienne wybory, to dobra zmiana – cokolwiek by pod tym określeniem rozumieć – stanie się trwałym trendem, a nie tylko epizodem. Jeśli to Platforma z resztą totalnej opozycji zdobędzie władzę, to zrobi wiele, by PiS zmarginalizować i pozbawić go szans na polityczny powrót. Wynik rywalizacji w Polsce wpłynie na kształt całej Europy i na odwrót – perturbacje, jakie przeżywa Unia Europejska, wpłyną na sytuację nad Wisłą. I wreszcie ostatnia stawka batalii przyszłego roku: W jakim stopniu ziści się plan agresywnej laicyzacji Polski na wzór irlandzki, snuty przez lewicę i liberałów?

Grzegorz Schetyna może czuć satysfakcję. W styczniu 2019 r. mijają trzy lata od objęcia przez niego szefostwa Platformy Obywatelskiej. Nikt już nie pamięta o następczyni Donalda Tuska – Ewie Kopacz. Typowani na jego rywali Radosław

Na ostatniej prostej



Piotr Semka

Wojna na całego? Decydujące starcie? Gra o wszystko? Tak można byłoby nazywać rok 2019, gdyby nie to, że w sporze o Polskę powiedziano już wszystko. I, co gorsza, użyto już większości mocnych słów

Sikorski i Andrzej Halicki nie są problemem. Szef klubu Sławomir Neumann spełnia się w sejmowych awanturkach. Młodzi, od Agnieszki Pomaski do Sławomira Nitrasa, nie próbują nawet recenzować przywództwa Schetyny. Rafał Trzaskowski na razie ugrzązł w problemach Warszawy i nie jest konkurentem. Bezpośredni rywal partii sprzed trzech lat – Nowoczesna – jest dziś bankrutem i gruzowiskiem. A reszta opozycyjnych partii to kandydaci na przystawki. Schetyna przeczekał też modę na Komitet Obrony Demokracji. Kto dziś jeszcze pamięta głosy, że KOD na czele z Mateuszem Kijowskim winien wystawić osobną listę w wyborach 2019 r.? Tak samo wyzionęła ducha koalicja Wolność Równość Demokracja, która miała skupić wszystkie siły antykapitalizmu. Nawet najbardziej niepokojąca wizja – lista do europarlamentu pod patronatem Donalda Tuska – raczej się nie ziści. Kolejni rywale Schetyny zaplatali się we własne nogi, a on przetrwał trzy lata „marszu przez pustynię”.

Lider PO musiał zauważyć, że stan ciągłej hysterii antypisowskiej blokuje wszystkie dyskusje w partii. Nie on jeden – Jarosław Kaczyński też korzysta z syndromu „oblężonej twierdzy”. W przypadku Platformy ten ciągły alert zablokował jednak jakąkolwiek dyskusję na temat błędów z lat 2007–2015. Co więcej, zamienił on utalentowanych polityków, takich jak Bartłomiej Sienkiewicz i Tomasz Siemoniak, w producentów banalnych, zacietrzewionych tweetów.

Teraz Schetyna czeka, aż cała reszta totalnopozytywnej trzódki pokornie zegnę kark, wchodząc do wielkiej koalicji, i grzecznie zaakceptuje wyznaczony przez PO podział miejsc na listach. Schetyna może zakładać, że na stworzenie jednej listy naciskać będzie cała grupa mentorów opozycji: od wysłanników George’a Sorosa przez Europejską Partię Ludową do Adama Michnika i Tomasza Lisa.

W tej układance jedyną niewiadomą jest to, czy ruch Roberta Biedronia uzyska szerszą popularność. Jeśli tak, to najwięcej straci Platforma. Schetyna wierzy, że były prezydent Słupska to efekciarz, który po krótkim czasie popularności podzieli los Janusza Palikota i Ryszarda Petru.

Rozpatrując szanse w przyszłorocznej kampanii, warto pamiętać, że lider Platformy zawsze dba najpierw o swoją pozycję, potem o pozycję swej partii, a dopiero na końcu o odsunięcie PiS od władzy. Ten skrywany egoizm doskonale wyczuwają tuż salonu liberalnego, np. Agnieszka

Holland, którzy właśnie z tego powodu demonstrowają irytację z powodu przywództwa Schetyny po stronie opozycji.

W tej kampanii Platforma grać będzie trzema hasłami. Pierwsze to: „PiS równa się polexit”. Posłuży do wbijania Polakom do głowy, że tylko PO jest gwarantem pozostania Polski w Unii.

Kolejna linia ataku ma przekonać Polaków, że PiS to partia grzesznych moralistów, którzy pozując na szlachetnych szeryfów, sami są siłą przeżartą korupcją i prywatą. W czasie debaty w Sejmie 14 grudnia Schetyna dorzucił trzecią linię przyszłoroczną kampanii. To walka o wyższe zarobki Polaków. Platforma wyciągnęła wnioski z taktyki PiS – ciągłego podkreślania, że walczy o wyższy poziom życia Polaków. PO obiecuje, że po dojściu do władzy przebuduje system podatkowy tak, by PIT, ZUS i składka na NFZ nie przekraczały łącznie 35 proc. zarobków Polaków. Andrzej Rzońca, ekonomiczny guru PO, tajemniczo zapowiada: „Program #WyższePłace to pierwszy, ale nie jedyny filar gruntownej przebudowy podatków i składek, którą przygotowują eksperci”.

Nic dziwnego. Zwalczanie wizerunku partii nieczułej na los zwykłych Polaków, która tylko marzy o tym, żeby odebrać rodzinom „500+”, to warunek uszczuplenia stanu posiadania PiS.

Słabym punktem tej cudownej przemiany PO jest wiarygodność partii. Rafał Trzaskowski, bez skrupułów cofający przegłosowane już wcześniej 98-procentowe bonifikaty w Warszawie, dotkliwie ugodził w image swej partii, mimo że ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Schetyna ma jednak jeszcze rok, by naprawić te szkody.

CUDOWNA PRZEMIANA

Naprzeciw staje w wyborczych szrankach PiS. W porównaniu z wszechwładzą Schetyny struktura władzy w rządzącej partii wydaje się dziś bardziej złożona. Owszem, nad wszystkim dominuje wielki demiurg – Jarosław Kaczyński – ale twarzą kampanii, jak się wydaje, będzie Mateusz Morawiecki. Konwencja PiS z 15 grudnia pozwala sądzić, że ważne role w kampanii wyznaczone zostaną też Beacie Szydło, Zbigniewowi Ziobrze (o ile nie sprawdzą się plotki o jego zesłaniu do Brukseli) i Jarosławowi Gowinowi. Szczególnie ci dwaj ostatni są dziś swojej partii pilnie potrzebni. Szydło ma uspokoić irytację twardego elektoratu, który dziś po wygaszeniu programu zmian pyta na internetowych forach: „Ile jest jeszcze

PiS-u w PiS-ie?”. Gowin jest z kolei ważny w kokietyowaniu centrowego elektoratu wielkich miast, który odwrócił się plecami do rządzącej partii w wyborach samorządowych.

Wzajemne, niekiedy bardzo ostre animozje na razie schowano, najwyraźniej pod wpływem ultimatum z Nowogrodzkiej. Nie zmienia to faktu, że partia rewolucyjna, która musi się wyrzec rewolucyjności, jest łatwym celem ataków. Tę sprzeczność szybko podchwycił Marek Beylin z „Gazety Wyborczej”, który obwieścił, że PiS do wizerunku niszczycieli demokracji dochodzi opinia słabeusza.

Jarosław Gowin stara się ten kłopot przekuć na cnotę. Na konwencji PiS ogłosił, że Polacy nie chcą żadnych rewolucyjnych zmian – ani obyczajowych, ani politycznych. Aby przeciwstawić się oskarżeniom o polexit, wymyślono zgrabny slogan wyborczy: „Polska sercem Europy”.

Nagle zaczęto się martwić o deglomerację i smog. PiS dość sprawnie poradził sobie z organizacją szczytu klimatycznego, ucząc się przy okazji hipokryzji – trudno bowiem inaczej nazwać perory polityków tej partii na temat ekologii. Przypomniano sobie o klasie średniej i przedsiębiorcach. Czy to wystarczy, aby nadrobić zaniechania z trzech lat, gdy biznes irytowano wieloma nieprzemyślanymi regulacjami? Zobaczymy.

Na razie PiS przypomniał sobie, że każdy stan defensywy można zmienić śmiało kontrakcją. Pomysł na wotum zaufania dla premiera oraz dość udana konwencja z 15 grudnia polepszyły nastroje.

Politycy opozycji głoszą, że rządząca partia jest „przygnieciona aferą KNF”, że „PiS krwawi”, „sam wie, że to już koniec” i że „zaczyna się lęk o bliski Trybunał Stanu”. Wygląda to jednak na zakłęcia mające zapędzić przeciwnika do narożnika. Pośrednim uznaniem, że PiS wyszedł z dołka, są kważne uwagi Pawła Wrońskiego, komentatora „Gazety Wyborczej”, iż Morawiecki kopiuje chwyt marketingu politycznego Donalda Tuska.

Wszystko to nie zmienia faktu, że PiS musi wymyśleć się w nowej kampanii na nowo. W 2005 r. duet Adam Bielan i Michał Kamiński wymyślił partii braci Kaczyńskich nowy styl – dowcipne kampanie z lodówką i kotem futrzakiem z dziecinnego pokoju. W ostatniej kampanii PiS hamoru i polotu było jak na lekarstwo. Tak samo opatrzyli się konwencje tej partii z hierarchicznie ułożonymi przemowami. Za chwilę Biedroń śmigający na swych wiecach z mikrofonem w rękę wyznaczy nowe standardy.

Nowy rok PiS rozpoczyna jako partia wciąż osiągająca w sondażach ponad 40 proc. poparcia. Jak na trzy lata ciężkiej walki na dziesiątkach pól bitew i potyczek z totalną opozycją to sporo. Zużycie sprawowaniem władzy, na które tak bardzo liczył Schetyna, nie okazało się tak dolegliwe. I to pewnie wysokie notowania są powodem plotek, jakoby PiS miał rozważać pomysł przyspieszenia wyborów parlamentarnych. Jest to jednak opcja mało prawdopodobna.

Jeśli coś grozi wynikowi PiS w eurowyborach, to sukces jakiejś koalicji zrzeszającej tę część prawicy, która postulat świętości ludzkiego życia traktuje niezwykle serio.

DOPNIJ SWEGO LUB ZGIŃ

Ostatnie wybory samorządowe były dla opozycji dzwonkiem alarmowym. Wielu działaczy PSL, a nawet niektórzy politycy PO na szczęblu lokalnym weszli mimo zakazów w deale koalicyjne z PiS. Jeśli PiS wygra drugą kadencję, to tysiące ludzi związanych w latach 2007–2015 z partią Schetyny i PSL zaczną się zastanawiać, czy dalsze trzymanie z opozycją ma sens.

Na dodatek PO i PSL zaczną już niedługo odkrywać, jak utrata władzy nad ósmioma województwami odbije się na pozycji finansowej partii i jej możliwościach kadrowych. W najbliższych dwóch kampaniach Platforma i inne partie będą mogły liczyć na pomoc różnych dobrych wujków z Zachodu – hasło „zatrzymania populistycznej zarazy” skłoni zapewne do hojnych dotacji. Gdy jednak PiS ponownie wygra jesienią i kampania się skończy, sytuacja finansowa PO i PSL może nie być różowa.

Świadomość walki o wszystko ma też PiS. Tylko kolejna kadencja da szansę na utrwalenie się walki o zmiany w sądownictwie, dokończenie reform w siłach zbrojnych i wykształcenie się nowej generacji dyplomatów spoza korporacji Geremka. PiS ma też świadomość, że musi starać się zdobyć władzę samodzielnie. Wizja rządu koalicyjnego z partią Kukiz'15 wskrzesza niedobre wspomnienia o koalicji z Lepperem i Giertychem. PiS jest na tyle wyrazisty, że musi rządzić z samodzielną większością.

Po trzech latach rządów PiS też ma już armię ludzi, którzy swą przyszłość związali z tym ugrupowaniem. W razie wygranej PO jesienią zostaną oni skrupulatnie usunięci ze stanowisk. Tomasz Lis już ogłasza, że „oczyszczenie w informacjach TVP powinno być większe niż w '89”.

Wygrana PiS w 2019 r. może też zadecydować o kwestii sukcesji po Kaczyńskim. Jeśli w obu kampaniach jej twarzą będzie Morawiecki, to jego pozycja się wzmocni. Jeśli PiS przegra, to wówczas pojawi się kwestia zmiany na szczytach partii. Choć PiS bez przywództwa Jarosława Kaczyńskiego dziś jeszcze nie jest łatwo sobie wyobrazić.

Wygrana PiS w 2019 r. może też zadecydować o kwestii sukcesji po Kaczyńskim. Jeśli w obu kampaniach jej twarzą będzie Morawiecki, to jego pozycja się wzmocni

Nic jednak nie stoi w miejscu, a Morawiecki ma w 2019 r. okazję pokazać, że umie stworzyć sobie modus vivendi z najważniejszymi graczami w partii.

Kolejną stawką wyborów w 2019 r. będą triumf lub zablokowanie agresywnego laicyzmu. Udana akcja agresywnej feministki Agaty Diduszek na rzecz „rozdzielenia państwa od Kościoła” na tradycyjnym opłatku wigilijnym w warszawskim ratuszu pokazuje nowe i niepokojące zjawisko. To, o czym słyszeliśmy dotąd jako o zjawisku zdarzającym się na Zachodzie, wkracza także do nas, nad Wisłę. I narzuca jest przez lewicę pod parasolem PO jako nowa norma społeczna.

Wygrana Platformy będzie uznana przez obóz rewolucji obyczajowej za moment zero do przeprowadzenia pakietu zmian. Od zmian w ustawie antyaborcyjnej przez akcję na rzecz małżeństw jednopłciowych do – być może w krótkiej perspektywie – adopcji dzieci przez związki osób tej samej płci.

WYBORY W NOWEJ EUROPIE

Wyniki obu wyborów w 2019 r. będą też miały ogromny wpływ na równowagę sił w Europie. W razie wygranej PO europejski obóz liberalno-lewicowy ogłosi sukces partii Schetyny jako początek końca walki z populizmem. Platforma będzie fetowana na salonach europejskich, Paryż i Berlin wykonały pewnie wiele gestów, aby wzmocnić prestiż swoich ulubieńców. Znowu tworzony będzie miraż siły i partnerskich wpływów.

Wygrana PiS będzie miała z kolei dwa efekty. Pokaże, że zmiany w krajach, gdzie

opcja tożsamościowa wygrała, takich jak Polska, Węgry i Włochy, oparte są na solidnej bazie społecznej i nie są incydentem. Kolejnym elementem tej układanki będą losy batalii o brexit. Jeśli Brytyjczycy ostatecznie opuszczą UE, to nasz kontynent będzie miał za sobą ważną lekcję. Istotne będą wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego, które będą miały wpływ na układ sił w nowym europarlamencie i pośrednio na kształt Komisji Europejskiej.

Przyszły rok pokaże też, w jakim kierunku rozwinie się ruch żółtych kamizelek. Czy będzie ślepym i chaotycznym wybuchem protestu bez liderów i skoordynowanej polityki, czy stanie się zaczynem jakiegoś nowego ruchu społecznego?

Nakłada się to na szersze zjawisko, które uwidoczniło się w Europie już w tym roku – kryzys zaufania. Belgijska partia flamandzka wystąpiła z rządu, nie mając zaufania do zapewnienia premiera Charles’a a Michela, że podpisanie pakietu migracyjnego ONZ nie będzie miało wpływu na decyzje suwerennych państw w kwestii imigracji. Francuzi i Niemcy nie mają zaufania do tradycyjnych mediów, oskarżają je o marginalizowanie tematu przestępstw imigrantów lub oczernianie żółtych kamizelek. Brytyjczycy torysi nie ufają w dobrą wolę Brukseli w sprawie brexitu, a liczni Polacy nie ufają już w bezstronność TSUE. Ten brak zaufania wynika z wielu manipulacji, którymi obóz lewicy i liberałów zapewnił sobie uprzywilejowaną pozycję na rynku politycznym oraz medialnym. To poczucie gry znaczącymi kartami na razie tylko się nasila. Przekonanie o podziale na lepszych i gorszych w pozornie otwartej rozgrywce politycznej, przeświadczenie, że wybory krajowe niewiele zmieniają, bo kluczowe zmiany w każdej chwili może zablokować Bruksela, wpływać będzie na sytuację w Unii.

Znacznie odleglejszą w świetle dwóch przyszłorocznych wyborów jest elekcja prezydencka. Tutaj PiS nie ma wyjścia – postawił na reelekcję Andrzeja Dudy i może się tylko modlić, żeby opozycja nie wymyśliła jakiegoś atrakcyjnego kandydata. Możliwości dla opozycji są trzy – albo zdarzy się wymarzony scenariusz z Tuśkiem na białym koniu, albo jeden z dwóch pozostałych scenariuszy, które wymagają sukcesu czy to Biedronia, czy Trzaskowskiego, ale obaj nie sprawiają wrażenia, aby mogli myśleć o prezydenturze.

Jedno jest pewne – nie będziemy się nudzić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Jarosław Kaczyński rządzi nie tylko obywatelom, ale także opozycją, w każdym razie jej dominującą częścią – tą, która sama siebie określiła mianem „opozycji totalnej”. Już sam ten fakt był dowodem na to, że Grzegorz Schetyna jest Kaczyńskim zafascynowany i pilnie go naśladuje. Na ile oczywiście potrafi, bo nie do końca może istotę fenomenu „niezapatalności Kaczyńskiego” zrozumieć.

Nie do końca, bo cokolwiek zarzucać „naczelnikowi”, jest człowiekiem ideowym, kierującym się poczuciem misji i obowiązków wobec Polski, którą chce urządzić według swej wizji i swych przekonań. Nie stara się stwarzać okazji do wyciągnięcia z polityki osobistych korzyści, a gdy się takowe okazje zdarzają, nie wykorzystuje ich. Czyli – z punktu widzenia jego przeciwników – jest politykiem nieracjonalnym. W tym punkcie zrozumieć go nie potrafią. Nawet zresztą gdyby potrafili właściwie zanalizować zamiary Kaczyńskiego, pozostają niewolnikami własnego „urojenia wyższościowego”, które nie pozwala przyznawać wrogowi żadnej uczciwej motywacji ani intencji.

Stąd tak uporczywe tłumaczenie w antypisowskiej propagandzie polityki Kaczyńskiego jego rzekomymi „kompleksami”, „zawiścią” etc. Żeby się przekonać, jak niewiele to warte, wystarczy zadać sobie trud przeczytania choć części z licznych wywiadów rzek i książek Kaczyńskiego z ostatniego ćwierćwiecza, pokazujących konsekwentny i logicznie spójny (co, zaznaczam, nie znaczy wcale automatycznie, że dobry) program. Jeśli do tego zapoznać się z książkami Stanisława Ehrlicha, Jana Józefa Lipskiego i kilku innych osób wskazywanych przez prezesa PiS jako jego mentorów, przypomnieć sobie działalność de Gaulle’a i Piłsudskiego, do fascynacji którymi otwarcie się przyznawał, zrozumienie, o co przez całe życie chodziło Kaczyńskiemu, i przewidzenie, co w jakiej sytuacji robi, staje się proste.

Jednak nie polityczna wizja ani program Kaczyńskiego są obiektem wspomnianej fascynacji lidera opozycji, ale polityczna praktyka i jej skuteczność. Fakt, że jego przeciwnik przetrwał osiem lat w opozycji, przetrwał osiem kolejnych przegranych w wyborach i przez cały ten czas nie dał się odsunąć od jednolowładztwa w partii, nie dopuścił do rozłamu ani nie pozwolił wyrosnąć obok PiS żadnej innej partii, która by zagroziła jego panowaniu nad tradycyjalistyczną, katolicką częścią Polski. Grzegorz Schetyna i jego współpracownicy

marzą o powtórzeniu tego sukcesu po swojej stronie – stąd wspomniane fascynacja i naśladowanie.

Ponieważ pewne społeczne emocje, na których Kaczyński się oparł, również są dla jego przeciwników głuche, w istocie przedmiotem naśladownictwa jest nie tyle praktyka polityczna Kaczyńskiego w czasach, gdy był zepchnięty do głębokiej opozycji, ile jej karykaturalna wizja z antypisowskiej propagandy. Innymi słowy, PO pod rządami Schetyny konsekwentnie stara się robić wszystko to, co wtedy krytykowała czy zgłębiała jako politykę nieodpowiedzialną, antydemokratyczną i zgłębiała faszystowską.

KOPIOWAĆ PIS

Nie ma potrzeby się rozwodzić, ale streszczyć pokrótce wynikającą z tego strategię

i próba doprowadzenia do „rokoszu”, tak swego czasu potępianego przez autorytety salonów. Naśladowaniu podlegają nawet szczegółowe rytuały – marsze smoleńskie, kluby „Gazety Polskiej”. Kluczową zaś sprawą staje się utrzymanie „swojego” elektoratu w stanie hysterii, „wyższej konieczności”, tak aby był on ślepy na wszelkie słabości PO, a podatny na szantaż, że kto się nie podporządkowuje Schetynie, ten służy Kaczyńskiemu.

Przez ostatnie trzy lata ta strategia nie odwróciła sondażowych trendów, ale w nadchodzącym roku na pewno nie zostanie zmieniona. Można więc być pewnym, że nadal ich nie odwróci. „Łamanie konstytucji” to nie jest Smoleńsk, gdzie naprawdę zginęli ludzie, naprawdę doszło do wołających o pomstę do nieba nieprawidłowości w śledztwie i demon-

Rok kontrolowanego chaosu



Rafał A. Ziemkiewicz

Najbliższych 12 miesięcy przyniesie zwolennikom PiS wiele stresów i bólu, a zwolennikom PO – wiele rozczarowań

PO. Platforma po przegranej całkowicie delegitymizuje państwo i jego władzę, odmawiając prawomocności demokratycznej legitymacji (głosowało za nią „tylko kilkanaście procent wyborców”, i to tych z prowincji), a przede wszystkim odmawiając PiS „moralnego prawa” do sprawowania władzy. Oskarżenie o „łamanie praworządności” i szermowanie hasłem „konstytucja” to PO-wski odpowiednik „zbrodni smoleńskiej”: płynie z niego i przedstawienie PiS jako obcej agentury (odpowiednikiem „kondominium” jest twierdzenie, że „państwo PiS” służy Putinowi oraz „wyprowadzeniu nas z Europy”),

stracyjnego upokorzenia Polski przez Putina, bezlitośnie wykorzystującego tchórzowskie zachowanie Tuska. PO nie ma pod ręką tak silnych emocji, toteż próba powtórzenia strategii „oddzielić się od władzy wąwozem, wypełnić go benzyną i podpalić” (jak mówili o postępowaniu Kaczyńskiego liderzy PO przed 2015 r.) w jednym punkcie daje skutek odwrotny do tego, który osiągnął Kaczyński. O ile poparcie dla niego stopniowo stale rosło, choć długo było niewystarczające do zwycięstwa, o tyle poparcie dla opozycji stale maleje. Tuż po wyborach wydawało się, że do zmiażdżenia PiS wystarczy zsumować



■ wyniki PO i Nowoczesnej – dziś opozycja z nadzieją podchwytuje sondaż pokazujący, że mógłby tego dokonać tylko egzotyczny sojusz PO-N-PSL-SLD-Razem-Teraz, i to pod warunkiem że nie wystąpi z osobną listą partia Biedronia ani żadna inna.

Taki sojusz oczywiście powstać nie może nie tylko dlatego, że oznaczałby wchłonięcie mniejszych partii przez PO, tak jak się to stało z Nowoczesną, i nie opłacałby im się finansowo (do uzyskania subwencji, pamiętajmy, uprawnia przekroczenie progę 3 proc.). Sondażowe procenty sumują się tylko na papierze. Nienawiść do PiS czy strach przed nim nie są poza żelaznym elektoratem PO wystarczająco silne, żeby zmusić wyborców do rezygnacji z jakiegokolwiek programu. A żadnego kompromisowego programu, zdolnego obsłużyć tak różne oczekiwania, stworzyć się nie da – może nim być tylko obietnica zemsty, rozliczeń, personalnej karuzeli, która wyborców raczej zniechęca do głosowania na opozycję.

Jedynym sukcesem, który przyniosła strategia opozycji totalnej przez ostatnie trzy lata, jest wciągnięcie w silny konflikt z Polską eurokracji – zarówno Komisji Europejskiej, jak i TSUE. I tu jednak nie poszło tak, jak pójść miało. Frans Timmermans i Koen Lenaerts zaangażowali się w dyscyplinowanie Polski w imię określonych interesów środowisk, które reprezentują. Jednak zainspirowanie organów unijnych do potępienia „państwa PiS” nie było celem samym w sobie – ostra postawa Unii miała wstrząsnąć polskimi wyborcami, przerazić perspektywą „wyprowadzenia z Unii Europejskiej” i skłonić do antypisowskiego buntu. Tymczasem w planie „ulica i zagranica” zadziałało tylko to drugie. Unia upokorzyła rząd, zmuszając go do kapitulacji w sprawie reformy sądów, ale PO wcale na tym nie zyskała. Nawet przeciwnie, bo tak jawne wtrącanie się w sprawy Polski przy jednoczesnym lęklwym milczeniu o patologiami widocznych w krajach „starej Unii” rozpoczęło korozję bezwarunkowego niegdyś zachwytu nad Europą, a odgrywana przez opozycję rola delatorów jest kolejnym czynnikiem zamykającym ją na stale topniejącej wyspie „żelaznego elektoratu”.

Podsumowując: planem PO było połączenie strachu przed PiS z uważanym za pewnik poparciem Polaków dla członkostwa w Unii

Europejskiej. Strach przed PiS, jak dowiodły wybory europejskie, po trzech latach rządów tej partii działa nadal, ale na mniejszą część wyborców niż w 2015 r. Wizerunek Europy stale się pogarsza z uwagi na kryzys migracyjny, chaos w krajach zachodnich i nierówne traktowanie państw naszego regionu. Stąd jedyną drogą dla PO pozostało „kanibalizowanie” potencjalnych koalicjantów. A to już przypomina drogę do klęski Bronisława Komorowskiego w roku 2015.

ROZŁAM W MONOLICIE

Dlatego w tym roku tak naprawdę PO nawet nie ma co marzyć o powrocie do władzy. Jedynym, co realnie mieści się w jej możliwościach, jest utrzymywanie obstrukcji i utrudnianie rządów PiS. W wyborach do europarlamentu jest w stanie powtórzyć efekt mobilizacji w wielkich miastach – choć raczej nie na taką skalę jak w wyborach samorządowych. W decydujących o przyszłości wyborach parlamentarnych walczyć będzie o utrzymanie hegemonii nad opozycją i ewentualnie o to, by PiS zabrakło kilku mandatów do samodzielnej większości. Co oznacza, że realną alternatywą dla drugiej kadencji rządów PiS może być tylko stan chaosu, braku stabilnej większości w Sejmie i tym bezczelniejszego wtrącania się w nasze sprawy zagranicy.

Zasada kopiowania tego, co robił PiS w opozycji, może – zauważył ktoś – oznaczać powtórzenie manewru podobnego do tego, którego dokonał PiS na przełomie lat 2014/2015 – wyciszenia radykalnej retoryki, schowania radykalnych działaczy i wylansowania nowych frontmanów. Niektórzy zapowiadają, że w marcu ogłoszone zostanie „nowe otwarcie”: Grzegorz Schetyna zostanie odsunięty na rzecz Rafała Trzaskowskiego, a Donald Tusk ogłoszony będzie kandydatem „szerokiej Koalicji Obywatelskiej” do prezydentury. Jest mało prawdopodobne, by Tusk wystąpił o skrócenie swej kadencji w Radzie Europy (do 30 listopada) i by się na to zgodzono, ale gdyby z jakiegoś powodu eurokrajacja uznała to za wskazane, plan taki nie poprawi szans opozycji. Przede wszystkim dlatego, że jest nań za wcześnie – poparcie dla PiS jest wciąż stabilne, jego zużycie władzą nieporównywalnie mniejsze niż w przypadku PO Ewy Kopacz. Społeczeństwo nie jest gotowe do zmiany obecnej władzy na jakąkolwiek, a kuszącej alternatywy wyjałowiona z pomysłów PO już do wyborów nie stworzy.

Zagrożenia dla PiS leżą gdzie indziej i, sądząc po ostatnich politycznych wyda-

FOT. WOJCIECH STRÓŻYŃSKI/REPORTER

rzeniach minionego roku, sam „naczelnik” obawia się zupełnie czego innego niż „program wyższa płaca” i orzeczenia TSUE.

PiS utrzymuje i do wyborów utrzyma poparcie na poziomie 40 proc., co prawda już raczej jako „mniejsze zło” niż jako „większe dobro” i głównie dzięki skupieniu opozycji na „przekonywaniu przekonanych” – i może się wydawać, że to wystarczy, bo – jak mówił Helmut Kohl – „większość to większość, i już”. Problemem jest jednak to, że mimo starań Jarosława Kaczyńskiego PiS jest coraz bardziej niejednorodny. Decyzja o uczynieniu następcą Mateusza Morawieckiego jest nie do przyjęcia dla „starych” działaczy, których „naczelnik” przez lata wychowywał w przekonaniu, że cnotą rozstrzygającą w partyjnej hierarchii jest lojalność. Oto nagle jego kaprys sprawia, że ponad tych, którzy nie odstąpili od niego w najtrudniejszych chwilach, wyniesiony został człowiek, który wtedy zadawał się z Tuskiem i uczestniczył w biesiadach u Sowy i Przyjaciół.

Ta wewnętrzna opozycja buduje narrację, w której wszystkie niemożności i porażki PiS zaczęły się od „rekonstrukcji” rządu oraz odsunięcia Beaty Szydło. Narracja ta jest jedyną odpowiedzią, jakiej udziela PiS – na razie szeptem, w kulisach – na pytania coraz bardziej zirytowanego brakiem sukcesów dobrej zmiany żelaznego elektoratu. Dlaczego nikt nie siedzi za „karuzele VAT-owskie” i Amber Gold? Dlaczego PiS gra na nosie Kościołowi i elektoratowi katolickiemu w sprawie aborcji? Dlaczego o wielu sztandarowych obietnicach, takich jak reforma mediów państwowych, już nawet się nie mówi, a inne grzęzną i rozłazą się w palcach, tak jak reforma sądów?

Żelazny elektorat słyszy od polityków będących symbolami „starego PiS”: to przez Dudę, Morawieckiego, przez wypuszczenie do partii mięczaków, byłych członków Unii Wolności etc. Słyszy też o krzywdzie, której ofiarą padła Beata Szydło, i o uleganiu przez „naczelnika” złym doradcom. Na razie, słyszy też, trzeba się z tym godzić, bo perspektywa powrotu do władzy Układu wciąż jest realna, ale...

Te nastroje zaszły już za daleko, by jedność PiS mogła długo przetrwać. Skończy się ona, kiedy nastąpi jedno wydarzenie z dwóch: albo władza prezesa z jakiegokolwiek przyczyny osłabnie, albo PiS wygra drugą kadencję. Oczywiście to drugie wydaje się bliższe. Tym bardziej że – podobnie jak widać to było w sejmikach, zwłaszcza na Podlasiu – utrzymanie tej wygranej będzie wymagać zaspokojenia

oczekiwań różnych frakcji, a te zaczynają wysoko cenić swoich kilka czy kilkanaście niezbędnych do większości szabel.

NA PRAWO OD PiS

Słowem – tą czy inną drogą zacznie się w nowym roku „dekompozycja sanacji”, która w połączeniu z postępującą marginalizacją opozycji totalnej wyznaczy następny front wojny polsko-polskiej, już nie między PiS a PO (tę czeka los SLD), ale między tą częścią PiS, która klęskę dobrej zmiany tłumaczyć będzie zdradą rewolucji przez agentów starego porządku, a tą, która przypisze ją radykałom.

Ostatnie wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego wskazują, że obok jedności partii jego dużą troską jest to, co się dzieje „na prawo od PiS”. I to może się wydawać dziwne, bo przecież nie dzieje się tam nic. Powstała koalicja ledwie istniejących w sondażach korwinistów i narodowców, Kukiz mimo degrengolady swego klubu utrzymuje się ponad progiem wyborczym, „blokując” ewentualną nową siłę na prawicy, Marek Jurek sam progu wyborczego nie przekroczy, „partia Rydyzka” jest raczej negocjacyjnym straszakiem niż realnym zagrożeniem, a zapowiadany udział w wyborach Bezpартyjnych Samorządowców urwie kilka procent raczej opozycji, a nie obozowi władzy.

„Naczelnik” jednak wie, że „na prawo od PiS”, jest ok. 10–15 proc. elektoratu (fakt, że premier nagle zaczął się posługiwać retoryką wolnościowców, jakkolwiek śmieszny w zestawieniu z etatystyczną praktyką jego rządów, zdaje się tę świadomość potwierdzać). A to znaczy, że kogoś „stamtąd” w Sejmie spodziewać się należy. Nade wszystko wie zaś Kaczyński, że po wyborach przyjdzie jeszcze okres „moszczenia się” nowo wybranych sił w Sejmie i u władzy, w którym to procesie transfery w rodzaju radnego Kałuży będą odgrywać istotną rolę. Ostatecznie więc ktoś, kto dostanie się do Sejmu z list Kukiza, Biedronia, Bezpартyjnych czy Korwin-Mikkego, ale także ktoś, kto gotów będzie zmienić partyjne barwy, zadecyduje, co wyłoni się z chaosu na następne cztery lata.

Czyli w praktyce – z kim i za jaką cenę będzie rządził dalej PiS, zanim w poczuciu zwycięstwa ulegnie wspomnianej już wcześniej dekompozycji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. DANIEL GNAPEAST NEWS

ŁUKASZ WARZECHA: Czy Unia, do której wstępowaliśmy, już się skończyła?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Nie ma tu prostej odpowiedzi. Może było tak, że nie mieliśmy pełnej świadomości, jaka Unia jest. Pewnych rzeczy nie widzieliśmy, a inne, choć je wiedzieliśmy, nie były przez nas traktowane wystarczająco poważnie. Nie rozumieliśmy, że w Unii działa system skrajnie większościowy i że rządzi nią ta sama konstelacja polityczna niezależnie od wyników wyborów. Wyobrażaliśmy sobie Unię raczej jako seminarium dwudziestu kilku krajów, gdzie przy wspólnym stole znajduje się optymalne rozwiązania. Czy faktycznie w chwili naszego wstępowania do UE system większościowy był tak brutalny, jak jest teraz – trudno mi powiedzieć, bo ja również pełnej i głębszej wiedzy o UE nie miałem. A wydawało mi się, że ją mam – z lektur i okazjonalnego bezpośredniego oglądu.

Przyjmując, że faktycznie działa skrajnie większościowy system – czy w wyniku nadchodzących wyborów do PE on się skończy?

Myślę, że raczej nie, ale może zostać poważnie ograniczony.

Czy wiedząc to wszystko, co pan dzisiaj wie, byłby pan w 2004 r. nadal za tym, żeby do UE wstępować?

Nie jesteśmy Norwegią ani Szwajcarią, więc nie mamy tak dużego pola manewru jak te kraje. Z pewnością jednak negocjacje musiałyby inaczej wyglądać, gdybyśmy wiedzieli wtedy to, co wiemy teraz. Należy pamiętać, że wstępowaliśmy do UE nawet nie jako czeladnicy, ale jeszcze jako uczniowie. W Europie Środkowej trwała rywalizacja pomiędzy Polską, Czechami i Węgrami – kto sobie lepiej radzi, kto jest prymusem, kto jest bardziej chwalony, kto się szybciej wywiązał z zobowiązań. Mieliśmy poczucie, że powinniśmy być najlepsi i w jakiejś mierze było to nawet uzasadnione, ale nie rozumieliśmy, że jeśli ktoś na samym początku ustawia się w roli ucznia, to bardzo trudno będzie mu się wybić na czeladnika, a później wejść do gildii rzemieślników.

Chyba że ktoś naprawdę nie ma umiejętności, żeby zostać czeladnikiem, a potem mistrzem.

Może, ale wtedy nie należy się oszukiwać, że Unia to związek równych państw, lecz raczej protektorat, któremu ci mniej sprawni powinni się poddać. Taki



Z prof. Ryszardem Legutką, europosem PiS rozmawia Łukasz Warzecha

Koniec z hasłem „Więcej Europy”

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOPIA

przekaz zresztą słyhać coraz częściej zarówno ze strony naszej opozycji, jak i wielu polityków europejskich. Stosunek Europy Zachodniej do Europy Wschodniej jest nadal protekcyjny, ale ta protekcyjność jest zmieszana z irytacją, że ci uczniowie czy może już czeladnicy zaczynają mieć własne zdanie, zamiast korzystać z okazji, żeby siedzieć cicho – by zacytować wypowiedź sprzed lat Jacques’a Chiraca pod adresem Polski.

Wygląda jednak na to, że sytuacja nie rozwija się już linearnie, czyli nie ma mowy o powolnym awansie od ucznia do mistrza. W grze nagle jest całe mnóstwo nowych czynników, od prezydenty Trumpa począwszy, poprzez kryzys migracyjny, na roli Chin skończywszy. Pytanie brzmi: Czy to nie wymaga od nas, od Polski, całkiem nowego podejścia także do obecności w UE?

Nie jesteśmy globalnym graczem wobec Chin czy USA i na razie nie będziemy. Można się nawet zastanawiać, czy takimi graczami są największe kraje Europy. Zadałbym natomiast pytanie, czy takim graczem może być Unia jako całość.

Na to właśnie wskazują zwolennicy ścisłej integracji: że tylko zjednoczona UE jest w stanie wziąć udział w wielkiej rozgrywce.

Mam wrażenie, że Unia nie jest poważnym zawodnikiem, choć w Polsce wielu sądzi, że być powinna. Wciąż jednak bardziej patrzy się na przywódców Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii niż na przewodniczącego Komisji Europejskiej. Powód jest oczywisty: Unia jest tak skonstruowana, że nie może działać samodzielnie jako UE. Co więcej, im bardziej stara się przełamać opór państw członkowskich przed połączeniem jednej czy drugiej polityki, tym większy ten opór jest i tym bardziej UE popada w kryzys. Ostatnie pięć lat to największy impas w historii UE: nie tylko jedno państwo z Unii wychodzi, lecz także pojawia się wiele sił politycznych, dążących do opuszczenia wspólnoty. To są skutki nacisku, żeby działać jako jeden gracz – dokładnie odwrotne od intencji.

Czy europejskie elity mają świadomość, że strategia jednoczenia na siłę powoduje skutek odwrotny? Słuchałem z uwagą wystąpienia Donalda Tuska na Igrzyskach Wolności w Łodzi. Oczywiście ono było podyktowane bieżącą krajową potrzebą polityczną, ale próżno było w nim szukać śladu takiej refleksji, choćby najdelikatniejszej.

Kiedy słucha się przywódców, takich jak właśnie Donald Tusk, Angela Merkel czy Jean-Claude Juncker, tej świadomości u nich nie widać. Charakterystyczna była tutaj reakcja na brytyjskie referendum – unijni politycy twierdzili, że wina nie leży po ich stronie, że nie mają sobie niczego do zarzucenia. Było także wspólne wystąpienie Merkel i Junckera, którego sens był taki, że trzeba uczynić wszystko, aby wychodzenie z Unii było trudniejsze. Czyli nie było mowy o rozwiązaniu problemów, które przyczyniły się do takiego, a nie innego wyniku referendum w Wielkiej Brytanii, ale o takim utrudnieniu procesu opuszczania Unii, by nikomu do głowy nie przychodziło organizowanie podobnych referendów. Podobne deklaracje padają z ust innych polityków. Może to – paradoksalnie – pokazuje, że jest u nich jakaś świadomość zagrożenia, ale ich reakcja jest przedziwna – zamiast naprawiania usterek, zrobienie skoku do przodu „jeszcze więcej Europy”.

W tym wątku pojawiają się różne propozycje, np. niemieckiej kanclerz, żeby powołać „armię europejską”. Przy czym takich inicjatyw trochę już było, w tym najnowsza – PESCO. Można się w tym pogubić.

Unia nie jest poważnym zawodnikiem. Wciąż jednak bardziej patrzy się na przywódców Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii

To dobry przykład: zrobimy więcej rzeczy wspólnych nie dlatego, że są one dobre, ale dlatego, że wówczas będziemy bardziej zintegrowani. Tak zostało wprowadzone euro – mimo mocnych argumentów przeciw. Nikt się nie zastanawia, czy armia europejska jest w ogóle potrzebna i dlaczego miałyby być skuteczniejsza niż NATO. Wojsko służy przecież do konkretnego celu – do obrony terytorium, a nie do jednoczenia narodów. Myli się przyczynę ze skutkiem: armia wymaga społeczeństwa, które jest zjednoczone, a sama nie jest środkiem do jednoczenia. Tendencja do harmonizacji wszystkiego sprawia wrażenie obsesji. Dopiero co brałem udział w posiedzeniu grupy parlamentarnej, na której omawialiśmy pomysł harmoni-

zacji systemu ubezpieczeń społecznych. Po co taką harmonizację wprowadzać? Przecież nie dlatego, że wspólny system ubezpieczeń miałby być lepszy, ale dlatego, żeby było „więcej Europy”.

Można mieć wrażenie, że myślenie, które pan opisuje, jest bardzo anachroniczne w zestawieniu z nowymi problemami, przed którymi stanęły Unia i świat. Gdzie pana zdaniem leży główny ośrodek tej anachroniczności?

Pracuję w Parlamencie Europejskim, którego wyjątkowość polega m.in. na tym, że od lat rządzi tu ten sam sposób myślenia. Czasem zastanawiam się, na ile jest on typowy dla klasy politycznej w Europie. Kiedyś miałem wystąpienie na seminarium, na którym obecny był także były holenderski komisarz Frits Bolkestein. Mówiłem wówczas o skutkach zbyt długo trwających rządów większości, na co Bolkestein powiedział: „Pan ma fałszywą perspektywę – perspektywę Parlamentu Europejskiego, a PE nikt nie bierze poważnie. Prawdziwe rzeczy dzieją się gdzie indziej, a PE tylko przeszkadza”. Zatem być może moje doświadczenie jest faktycznie nieco egzotyczne. Zasiadam w instytucji, gdzie oprócz mnie jest 750 posłów, z czego 600 mówi to samo. Zatem gdy mnie pan pyta, kto utrwała to anachroniczne myślenie, musiałbym odpowiedzieć: prawie wszyscy. Owszem, z Komisją Europejską sprawa wygląda trochę inaczej. Specyfika tego ciała nie jest jednak dobrze w Polsce opisana. KE ma na papierze potężną władzę. Łączy w sobie wszystkie trzy jej gałęzie: wykonawczą, legislacyjną, a nawet w jakimś stopniu sądowniczą. Z punktu widzenia zasad, wypracowanych w toku rozwoju myśli politycznej w Europie, jest to bardzo niepokojące. Realnie natomiast KE nie jest tak potężna, ponieważ wielcy europejscy gracze starają się Komisję sterować, a ona – paradoksalnie – musi się temu w jakimś stopniu poddać, jeżeli chce utrzymać część swojej władzy. Te i inne wady konstrukcyjne tłumaczą, dlaczego Unia ciągle zajmuje się sobą. Żadne państwo tak sobą się nie zajmuje jak Unia, bo gdyby się zajmowało, to wszyscy uznaliby je za chore. Tłumaczy to po części także anachroniczność, o którą pan pytał.

Załóżmy, że w 2019 r., w maju, zmieni się znacząco konfiguracja i do PE wejdą siły, które na obecny kształt UE patrzą sceptycznie. Co to

Dla nas oznacza, wzięwszy pod uwagę, że są to ugrupowania takie jak Ruch Pięciu Gwiazd, Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen czy AfD, które znacznie przychylniej niż Polska patrzają na Rosję, a nawet opowiadają się za zniesieniem sankcji, związanych z jej agresją na Ukrainę? Jaki to może mieć wpływ na miejsce PiS w nowym PE?

Trzeba by się zastanowić, co może być wspólną płaszczyzną, na której można oprzeć przymierz w PE. A nie ma takich płaszczyzn wiele. Owszem, problem Rosji jest bardzo ważny, ale też polskie stanowisko wobec Moskwy jest w Europie skrajnie mniejszościowe. Można powiedzieć, że Marine Le Pen jest prorosyjska, lecz przecież tak naprawdę wszystkie partie we Francji są prorosyjskie. AfD jest bez wątpienia proputinowskie. Jednak czy mniej prorosyjscy są socjaliści

tycznej reformy UE i dlatego PiS należy do grupy, której nazwa zawiera słowo „reformatorzy”. I to jest płaszczyzna, na której można starać się zbudować porozumienie – koalicję kilku grup albo jedną większą grupę, to się okaże.

Na czym właściwie miałyby polegać reforma Unii?

Pierwszym krokiem powinno być przestrzeganie traktatów. Od tego powinniśmy zacząć, zanim będziemy myśleć o dalszych krokach.

Traktaty nie są przestrzegane?

Oczywiście, że nie. Choćby harmonizacje wszystkiego, o czym wspominałem. Odchodzenie od zasady konsensusu na rzecz głosowania

szeffa KE. Pojawił się nawet pomysł, aby PE podjął uchwałę, że poparcie mogą dostać jedynie ci kandydaci, którzy będą uczestniczyli w tej procedurze.

Kandydata na szefa KE, zgodnie z traktatami, wskazuje Rada Europejska na zasadzie uzgodnienia między rządami. Tak będzie i tym razem.

Kto ma największe szanse spośród nazwisk, które pojawiają się na giełdzie?

Pojawia się nazwisko niemieckiego eurodeputowanego Manfreda Webera, ale mówi się, że jest bez szans. Francuski były komisarz Michel Barnier ma spoglądać na tę kotłowaną jak na zabawę chłopców w piaskownicy, bo podobno wie, że to on zastąpi Jeana-Claude’a Junckera. Jak będzie – zobaczymy.

Nowy Parlament Europejski będzie też pierwszym bez brytyjskich posłów. Brak Wielkiej Brytanii mocno zmienia UE?

Wyjście Wielkiej Brytanii z UE może się okazać dobre dla Brytyjczyków, ale na pewno nie jest dobre dla Unii. Wielka Brytania, przy wszystkich zastrzeżeniach, które możemy do niej mieć, była jednak wciąż przedstawicielem zdrowego rozsądku, zwłaszcza po stronie torysów. Była naszym sojusznikiem w walce o zreformowanie UE.

Dla PiS to dodatkowy problem, bo brytyjscy europosłowie byli ważną częścią EKR.

Stanowili około jednej trzeciej składu. Jednak prace nad poszerzaniem grupy trwają, ja sam jestem w to bardzo mocno zaangażowany, i wygląda to dobrze. Więcej mówić na razie nie chcę. Mam natomiast nadzieję, że za rok PE będzie wyglądał inaczej niż dziś, przede wszystkim dlatego, że uda się przełamać dominujące od lat podejście. Oby wreszcie zarzucono hasło, które od dawna jest tutaj powtarzane przy każdej okazji: „Więcej Europy”. Należy rygorystycznie i bez podwójnych standardów oddzielić to, czym Unia się zajmować może, od tego, czym jej się zajmować nie wolno. I niech się skupi na problemach, a nie na tym, by „Europy było więcej”, bo to rodzi kolejne kłopoty. Kiedyś w wystąpieniu plenarnym powiedziałem, parafrazując powiedzenie Stefana Kisielewskiego o komunizmie, że Unia to taka organizacja, która odważnie boryka się z problemami, które sama wywołuje. Mam nadzieję, że to się skończy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Prawa człowieka są wygodnym instrumentem narzucania państwom rozwiązań, np. dotyczących kwestii moralności czy rodziny

albo CDU? Włochy, Hiszpania, Portugalia – wszystkie te kraje są generalnie prorosyjskie. Dlatego trzeba powiedzieć jasno: nie da się w Europie stworzyć bardzo szerokiego frontu, który miałby na celu konsekwentne powstrzymywanie imperializmu rosyjskiego.

Tylko czy wszyscy są tak samo zapatrzeni w Rosję? CDU i rząd Merkel jednak za każdym razem opowiadali się za przedłużeniem sankcji wobec Rosji o kolejne pół roku i tak jest nadal. Zieloni, którzy cieszą się w Niemczech coraz większym poparciem, są sceptyczni wobec Nord Stream 2, czyli w tej sprawie mamy w nich sprzymierzeńca. Są tu różnice.

Zgoda, różnice są. Jednak trzeba pamiętać, że dla Niemiec Rosja jest i pozostanie bardziej strategicznym partnerem niż Polska, co wynika z siły obu tych państw. Niemcy muszą się liczyć z Rosją i odwrotnie. Oczywiście trzeba doceniać gesty niemieckiego rządu i starać się je podtrzymywać, ale pamiętajmy, że logika polityczna sprawia, iż Niemcy i Rosja są na siebie skazane, co stawia nas w niekorzystnej sytuacji. Wracając natomiast do kształtu przyszłego PE – wśród ruchów, które mają szansę się w nim znaleźć, są takie, które opowiadają się za wyjściem ich krajów z UE, ale i takie, które chcą zmiany samej Unii. Partia, która rządzi Polską dzisiaj oraz mówiący te słowa, chcą poli-

wiekszościowego. Zupełnym chuligaństwem było wrześnie głosowanie w PE w sprawie Węgier, gdy z obliczenia wyłączono głosy wstrzymujące się, żeby dobić do odpowiedniej większości, podczas gdy art. 354. Traktatu o funkcjonowaniu UE mówi wyraźnie, że powinni być wzięci pod uwagę wszyscy głosujący posłowie, a więc i wstrzymujący się. Podobnie grandą jest cała procedura praworządności. Wymyślono to jako wewnętrzny dokument KE, a służby prawne Rady Europejskiej wydały w tej sprawie opinię miażdżącą. Komisja może mieć tylko takie uprawnienia, jakie zostały jej explicite nadane w traktatach. Nikt jej nie nadał uprawnienia bycia recenzentem, prokuratorem i sędzią rządów państw członkowskich. Nagminnie łamana jest również zasada pomocniczości, np. poprzez odwoływanie się do Karty praw podstawowych UE. W ogóle prawa człowieka są bardzo wygodnym instrumentem narzucania państwom rozwiązań, np. dotyczących kwestii moralności czy rodziny, które są przecież wyłącznie w ich gestii. Wątpliwa z punktu widzenia traktatów jest także procedura Spitzenkandidaten – wiodących kandydatów na przewodniczącego Komisji Europejskiej.

Niektórzy europejscy politycy twierdzą, że to najbardziej demokratyczny sposób wyboru



100 lat temu zagrzewała
Powstańców do walki.

Myśl o Niepodległości.



ORLEN



**Z George'em Friedmanem,
prezesem Geopolitical Futures,
byłym szefem Stratforu**
rozmawia Piotr Włoczyk

FOT. ADRIAN STOK

To będzie polskie stulecie

PIOTR WŁOCZYK: Czy w 2118 r. Polacy będą świętowali 200. rocznicę odzyskania niepodległości w suwerennej Polsce?

GEORGE FRIEDMAN: Nie widzę dookoła was niczego, co mogłoby wam zabrać niepodległość.

Czyli wciąż patrzy pan tak optymistycznie na przyszłość Polski jak dekadę temu, gdy w swojej książce „Następne 100 lat” prognozował pan olbrzymi wzrost znaczenia Polski? Przez te 10 lat sporo się jednak na świecie zmieniło. Szczególnie jeżeli chodzi o największe zagrożenie – Rosję.

To nie jest optymizm, tylko efekt chłodnej analizy. Ostatnia dekada minęła tak, jak tego oczekiwałem. Pytanie o przyszłość Polski to oczywiście również pytanie o przyszłość Rosji.

W mojej książce pisałem, że Rosja stanie się agresywnym krajem. To się wówczas jeszcze nie mieściło ludziom w głowach. Tymczasem tak się właśnie stało. Napisałem też, że to, jak skonstruowana jest rosyjska gospodarka, będzie wielkim obciążeniem dla tego kraju w przyszłości. I to właśnie widzimy. Rosyjska gospodarka nie przeszła głębokiej transformacji od momentu upadku Związku Sowieckiego. Pod względem gospodarczym to wciąż w zasadzie kraj Trzeciego Świata, ponieważ Rosja żyje ze sprzedaży surowców, których cen nie jest w stanie kontrolować. Dlatego Kreml słabnie.

Tylko czy słabnące państwo byłoby w stanie inwestować w swoją armię tak potężne środki?

Jeżeli przeanalizujemy przyczyny upadku ZSRS, to na pierwszym planie widoczny jest spadek cen surowców w latach 80. połączony ze wzrostem nakładów na budżet obronny. To wykończyło Sojuz, co zresztą przyznał sam Michaił Gorbaczow.

Rosja wydaje dziś na zbrojenia pieniądze, które są jej potrzebne w innych sektorach. Przy obecnych – niskich – cenach ropy taka polityka osłabia Rosję. Mimo tych ewidentnych rosyjskich słabości widzę, że Polacy uważają Rosję za giganta. Takie myślenie to błąd.

Czyli siła Polski w regionie wynikać ma po części ze słabości Rosji. Jednak może właśnie taki model gospodarczy Rosji będzie do utrzymania przez długie dekady i nic się pod tym względem nie zmieni? Nie bierze pan pod uwagę takiego scenariusza?

Rosjanie potrzebują 70–80 dol. za baryłkę, by dopiąć swój budżet. Fluktuacje cen ropy sprawiają, że nie da się tak żyć w nieskończoność. To jak powrót do lat 80.

Każdy myślał, że ZSRS to kolos, który może zdmuchnąć wszystkich dookoła, tymczasem ten kraj upadał. Rosjanie starają się sprawiać wrażenie potężniejszych, niż są w rzeczywistości. Dokładnie tak samo przeżyli muskuły w latach 80.

W takim razie ile czasu daje pan Rosji?

Pytanie, co rozumiemy pod terminem „Rosja”. To nie będzie tak, że Rosja kompletnie zniknie.

Coś na wschodzie na pewno będzie. Dzisiejsza Rosja nie ma nic wspólnego z ZSRS z lat 60. czy 70., gdy ten kraj faktycznie był potęgą. Obecne wcielenie jest dużo słabsze od poprzedniego. Kolejne będzie jeszcze słabsze od dzisiejszej Rosji. Trajektoria Rosji biegnie w kierunku słabości.

Tylko jak ta słabość miałyby być wykorzystana przez Polskę?

To wszystko sprawi, że na Ukrainie i Białorusi będzie w przyszłości naprawdę niestabilnie. Nie będziecie mieli wyboru. Albo będziecie żyli z tą niestabilnością i uchodźcami ze wschodu, albo... przejdziecie do akcji.

W jakim sensie? Chyba nie mówi pan o zmianie granic na korzyść Polski?

Jeżeli na wschodzie zapanuje kompletny chaos, to dlaczego nie?

Ta myśl może być bardzo niepokojąca dla wielu Polaków – przecież w Europie granice zostały ustanowione raz na zawsze.

A ilu Polaków spodziewało się, że ZSRS się rozpadnie? Wszyscy w latach 80. myśleli, że świat już zawsze będzie podzielony na dwa obozy. Najpierw musicie jednak zbudować silną gospodarkę. To podstawa. Wasze intelektuły to największy zasób Polski. Jesteście w tym dobrzy, macie mnóstwo zdolnych ludzi. Stwórzcie dla biznesu przyjazne środowisko, dzięki któremu spieniężcie ten wasz największy zasób i zyskacie prawdziwą siłę. Patrząc pod tym względem na Amerykę, pod żadnym pozorem nie bierzcie przykładu z modelu europejskiego, który jest bardzo zachowawczy pod względem biznesowym.

Mówi pan, że Rosja słabnie, ale przecież zaledwie miesiąc temu Moskwa zagarnęła na Morzu Azowskim dwie ukraińskie jednostki, co doprowadziło do dużego kryzysu. Pańskim zdaniem nie powinniśmy się tym przejmować?

Cała ta historia jest niedorzeczna. Rosja zabrała Ukrainie dwa małe jednostki. Dziennikarze mają naprawdę niesamowicie

te poczucie humoru, że zrobili z tego taką wielką sprawę. W relacjach na temat tego incydentu kompletnie brakuje szerszej perspektywy. O co chodziło Rosjanom? Oczywiście chcieli pokazać, jak bardzo są potężni. Jak mogli to zrobić, skoro tak naprawdę są słabi? Co najwyżej mogli Ukraińcom zabrać te małe jednostki. Tak samo jest z Syrią. Po co Rosjanie się tam pojawili? Żeby coś udowodnić, choć tak naprawdę ich obecność tam nie przynosi im dużych korzyści. Rosjanie chcą, żebyście wierzyli, że są potężni. Przeprowadzając akcję, która z wojskowego punktu widzenia jest żartem, a wy dajecie im wiarę...

A jednak szczególnie na Ukrainie zostało to potraktowane śmiertelnie poważnie. Jaką przyszłość widzi pan dla Kijowa w najbliższych latach?

Ukraina to spory problem. Amerykanie i Rosjanie świetnie się jednak rozumieją w sprawie Ukrainy. Amerykanie zostają w Rumunii w Karpatach, a Rosjanie na wschodzie Ukrainy i na Krymie. Mamy więc strefę buforową. Wiadomo, że ani oni nas nie zaatakują, ani my ich. Niebezpieczeństwem jest natomiast to, że Ukraina może się po prostu rozlecieć. Ukraina jest fundamentalnie ważna dla Rosjan, prawda? W 2014 r. ten kraj zwrócił się w kierunku Zachodu. Skoro Ukraina jest dla Rosji tak ważna, to dlaczego Kreml nic wówczas nie zrobił? Odpowiedź jest bardzo prosta: ponieważ Rosja słabnie.

A interwencja zbrojna na wschodzie Ukrainy?

Próba wywołania dużego powstania na wschodzie się nie udała. Pamiętajmy też, że Rosjanie nie dokonali inwazji na Krym. Oni już tam byli, dlatego tak łatwo im poszło. Faktem jest, że w Kijowie jest wrogi Moskwie rząd. To sytuacja kompletnie nie do zaakceptowania dla Putina, ale w związku z tym, że Rosjanie nie są w stanie nic z tym zrobić, ukradli dwie małe jednostki... Spójrzcie na to w ten sposób: Rosjanie zabrali dwie jednostki, ale nic poza tym. Zachęcam do przyjrzenia się faktom. Te mówią jasno: jeżeli Rosja byłaby silna, to Ukraina nigdy nie zwróciłaby się na Zachód.

Na miejscu polskich władz nie martwiłby się pan sytuacją na Ukrainie pod kątem wybuchu dużej wojny?

Nie. Bo kto miałby tam walczyć? Rosjanie nie poszli na wojnę w 2014 r., gdy w Rumunii nie było jeszcze amerykańskich wojsk. Nigdy się nie bójcie, bo

Do to do niczego dobrego nie prowadzi. Uzbrojcie się dobrze, współpracujcie z Amerykanami, cały czas miejcie się na baczności, ale się nie bójcie. Jesteście Polską, poważnym krajem, a nie żartem.

W rozmowie o przyszłości Polski trzeba też chyba poruszyć temat naszego drugiego wielkiego sąsiada.

Tak. Nad Niemcami zbierają się bardzo czarne chmury. To szansa dla waszego kraju.

O jakich kłopotach Niemców pan mówi? Chyba nie gospodarczych?

50 proc. niemieckiego PKB generuje eksport. Przykładowo w przypadku USA ten współczynnik jest ok. pięciu razy mniejszy. Dla czwartej największej gospodarki na świecie taka struktura PKB to prosty przepis na katastrofę gospodarczą. Jeżeli niemiecki eksport osłabnie o 10 proc., to Niemcy stracą 5 proc. PKB. Tymczasem utrata 10 proc. eksportu nie jest niczym niezwykłym – chciałbym tylko przypomnieć, że świat zmierza w kierunku recesji. To naturalny cykl gospodarczy i to musi nastąpić. Pierwszą rzeczą, którą zrobimy w takim przypadku, będzie zmniejszenie importu dóbr takich jak np. mercedesy i skomplikowana maszyneria.

Dekadę temu udało się jednak Niemcom wyjąć z gigantycznych problemów gospodarczych obroną ręką. Poza tym Niemcy od dawna są potęgą eksportową i coraz bardziej się na tym bogacą.

To prawda, ale niemieckie uzależnienie od eksportu osiąga coraz większe rozmiary. Czegoś takiego jeszcze Niemcy nie przeżywały. Niemiecki system bankowy też jest bardzo słaby, a już dekadę temu przeżywał olbrzymie trudności. To, co narastało przez dekady, to całe uzależnienie od eksportu, musi się wreszcie skończyć. Ten koniec nie będzie przyjemny.

Polska jest jednak bardzo silnie związana gospodarczo z Niemcami. Kryzys za Odrą oznacza dla nas nie szansę, ale kłopoty.

I to jest realny problem dla Polski. Dlatego musicie przestawić swoją gospodarkę na inne tory. Musicie znaleźć innych klientów. Musicie zglobalizować swoją gospodarkę. Nie możecie zależeć tak bardzo od Niemiec, które uzależniły się od eksportu.

Wspomniał już pan o naszym największym zasobie – potencjale intelektualnym. A gdzie

upatruje pan największy problem dzisiejszej Polski?

W myśleniu, że nic się nie zmienia. To jest wasze największe obciążenie. Nie doceniacie potęgi przekonania, że macie siłę. Bez tego ciężko zbudować sukces gospodarczy.

Powszechnie wiadomo, że kluczowym czynnikiem dla bezpieczeństwa Polski w przyszłości jest obecność amerykańskich żołnierzy. Jest pan przekonany, że powstanie u nas Fort Trump?

Ta baza nie będzie się tak nazywała, ale coś takiego powstanie. Chociaż, prawdę mówiąc, wolałbym, żeby w Polsce amerykańskie oddziały stacjonowały na zasadzie rotacji.

Dlaczego?

Ponieważ nieważne, ilu żołnierzy przesunęlibyśmy do Polski do stałej bazy, to w przypadku konfliktu musielibyśmy dosyłać posiłki. Tymczasem każdy z amerykańskich oficerów, który zna Polskę i współpracował z polskimi oficerami, będzie gwarantem tego, że wspólna obrona będzie bardziej skuteczna. Rozumiem, że polski rząd wolałby stałą obecność wojsk amerykańskich, bo wygląda to na trwalsze zobowiązanie do obrony, ale uważam, że rotacja ma więcej plusów z wojskowego punktu widzenia.

A jaką przyszłość prognozuje pan dla naszego drugiego filaru bezpieczeństwa – UE?

Nie wyobrażam sobie, by UE przetrwała w takim kształcie, biorąc pod uwagę wszystko to, co wyczynia ostatnio Bruksela. Obecnie Unia jest na wojnie z Wielką Brytanią, Włochami, Grecją, Węgrami, Polską i Rumunią... Jakim cudem organizacja, która jest cały czas w konflikcie z własnymi członkami, może przetrwać? Europejska strefa wolnego handlu była świetnym pomysłem, ale już traktat z Maastricht jest nie do utrzymania na dłuższą metę. Dzięki niemu biurokraci, którzy nie byli wybrani w żadnych wyborach, mówią suwerennym narodom, jak mają żyć. Fundamentem liberalnych demokracji jest prawo do samostanowienia. Jakim prawem Bruksela mówi wam, kto ma być u was sędziami?

Bruksela walczy w ten sposób o jeden europejski standard. Bez ujednolicenia całej UE nie da się zbudować europejskiego superpaństwa, a przecież do tego zmierzają unijne elity.

Tak, eurokraci mówią o tym nonsensie, ale najpierw zobaczymy, czy Wielka

Brytania będzie mogła opuścić ten klub, czy Włosi będą mogli mieć taki budżet, jak chcą, a Polacy takich sędziów, jak im się podoba. Jak twór, który targany jest wewnętrznymi konfliktami, może się stać superpaństwem? Weźmy choćby armię europejską. Kto będzie nią dowodził? Problem z UE jest taki, że do rozwiązania każdego problemu potrzebny jest tam komitet, który podejmuje decyzję po czterech latach. Tymczasem w armii decyzja potrzebna jest w kwadrans i musi podejmować ją jeden dowódca.

Populizm nie jest dziś największym problemem, który destabilizuje Europę?

Ja bym się upierał, że to Bruksela destabilizuje Europę. Bo czym jest populizm? Populistami są politycy, których nie lubimy. Sednem jest tu głęboka niechęć do tego, jak urządzono UE pod względem gospodarczym. Opór wzbudza też próba narzucenia przez Brukselę Europejskiemu jednemu modelowi demokracji liberalnej. UE chce wszystkim narzucić model franko-germański. „Grecy i Polacy muszą żyć jak Francuzi i Niemcy!” Populiści to po prostu odpowiedź na destabilizację prowadzoną przez Brukselę.

Jakie szanse daje pan UE na przetrwanie najbliższej dekady?

To zależy, co rozumiemy pod pojęciem „przetrwać”. Duże organizacje rzadko kiedy naprawdę umierają. Jestem pewien, że do dziś w jakimś zakurzonej pokoju w biurówcu w Genewie działają dwie starsze panie reprezentujące Ligę Narodów (śmiech). UE zapewne będzie istniała. Jednak czy będzie tak wyglądała? Moim zdaniem – nie. Sprzeciw państw, które nie chcą dyktatu Brukseli, jest zbyt duży. To jest nie do powstrzymania, ale elity brukselskie nie widzą, że taka unia nie działa. Kompletnie nie rozumieją, dlaczego druga największa gospodarka chce odejść, czwarta gospodarka chce mieć własny budżet, a wschodnia flanką podniosła bunt. Jak można być na tyle ślepym, by upierać się, że taki model ma szanse na przyszłość?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



George Friedman

– amerykański politolog, założyciel i były dyrektor Stratfor, doradca dowódców wojskowych w kwestiach bezpieczeństwa; autor książek m.in. „Następne 100 lat. Prognoza na XXI w.”



Z Markiem Janem Chodakiewiczem, historykiem
rozmawia Maciej Pieczyński

Warszawa musi rozwinąć potencjał nuklearny

MACIEJ PIECZYŃSKI: Polska nie jest w stanie sama się obronić przed potencjalną agresją, dlatego – pańskim zdaniem – powinniśmy uznać zwierzchność silniejszego. Jako najkorzystniejszy wariant proponuję pan ścisły sojusz z Ameryką. Czy – biorąc pod uwagę aktualny stan relacji z Waszyngtonem i możliwy ich rozwój – gdyby doszło w najbliższych miesiącach, latach do agresji na Polskę, US Army nas obroni?

MAREK JAN CHODAKIEWICZ: Siły zbrojne USA (a nie tylko armia) nie obronią niktogo bez udziału tego partnera. Po pierwsze, Polska musi być w stanie się obronić. W tym celu musi mieć broń nuklearną oraz maksymalny potencjał gospodarczy i wolę do niepodległości. Po drugie, Polska powinna wybrać sobie wariant, który najbardziej opłaca się Warszawie. Ponieważ zwierzchnictwo amerykańskie jest najbliższe z możliwych, trzeba postawić na USA. Odpowiedź więc brzmi: Jeśli Polska konsekwentnie będzie dążyła do pogłębienia współpracy z USA, jeśli z tego wyjdą bazy amerykańskie nad Wisłą, to Stany Zjednoczone siłą rzeczy będą musiały walczyć, gdy ktoś napadnie na Polskę. Stąd kluczowe jest – bez względu na koniunkturę w Waszyngtonie – wszędzie i stale pogłębiać współpracę na wielu poziomach, nie tylko militarnym.

Nieprzewidywalność Trumpa jest powszechnie znana. Spróbujmy jednak przewidzieć: Jak pańskim zdaniem będzie się w najbliższym czasie kształtować polityka Białego Domu wobec Rosji? Co Trump jest

skłonny sprzedać Putinowi, żeby w zamian ogłosić swój geopolityczny sukces?

Trump jest przewidywalny w swojej nieprzewidywalności. Dla niego wszystko ma cenę, wszystko można sprzedać, wszystko można negocjować, ale tylko jeśli prezydent USA na tym zyska. Ponieważ liczą się percepcje, Trump będzie dopasowywał swoją politykę zagraniczną vis-à-vis Moskwa do wymogów polityki wewnętrznej USA. Chodzi mu o ponowny wybór na prezydenta. Jest on zagrożony narracją lewicową głoszącą, że Trump to zdrajca i agent Kremla. W związku z tym przez następny rok czy dwa będzie starać się udowodnić, że z jednej strony jest twardzielem, który się stawia Putinowi, a z drugiej – że jest zupełnie rozsądny i chce się z Rosją dogadać. Oznacza to w praktyce, że sprawy polskie będą szły swoim biegiem. Powoli powinna powstawać infrastruktura amerykańskiej obecności wojskowej oraz przedsięwzięć prywatnych, szczególnie na poziomie energetycznym. Będzie to dotyczyć też byłych krajów strefy postsowieckiej, członków paktu warszawskiego, takich jak Rumunia i Bułgaria. W mniejszym stopniu podobne procesy będą promieniować na państwa bałtyckie. Retorycznie jednak NATO nadal będzie stało murem za Litwą, Estonią i Łotwą. A jeśli chodzi o Ukrainę, to USA pošlą więcej broni, pewnie instruktorów, ale nie zanoszą się na to, że amerykańskie siły zbrojne będą walczyć o Krym czy Ługańsk.

Można też się spodziewać, że Waszyngton będzie dalej zaglądać do Azji Środkowej, aby nie zostawić całkowicie inicjatywy Moskwie i Pekinowi.

Czy Polska może być przedmiotem dealu między Trumpem a Putinem?

Naturalnie. Wszystko jest na sprzedaż. Co jednak taki handel miałby dać Trumpowi? Wygrane wybory prezydenckie? Nagrodę Nobla? To absurd. Za Obamy obawialiśmy się Jałty II, a nawet obumarcia NATO. Teraz jest to dużo mniej prawdopodobne. Należy naturalnie bardzo na wszystko zwracać uwagę i awanturować się nawet wtedy, jeśli jest cień podejrzenia, że Trump chce zawrzeć takiego rodzaju deal z Putinem.

Często pan podkreśla, że nie możemy czekać na zbawienie ze strony sojuszników, ale sami musimy budować swoją potęgę. Jakie zadania w tym zakresie stoją przed Polską na najbliższe lata? Co powinniśmy zrobić, żeby zwiększyć nasze bezpieczeństwo polityczne i militarne?

Po pierwsze – w długiej perspektywie – trzeba obniżyć podatki i zacząć zachęcać mały i średni sektor do bardziej dynamicznego rozwoju. Potęgą gospodarczą – obok ducha – jest podstawą potęgi militarnej. Po drugie, RP musi rozwinąć potencjał nuklearny. Naturalnie do pokojowego zastosowania. Po trzecie, należy postawić na nowe technologie, które łatwo przekładają się na korzy-

■ ści w wojnie asymetrycznej. Wojna elektroniczna i cyberwojaczka to sposób na uzyskanie przewagi nad Goliatem. Po czwarte, należy w związku z tym przemyśleć, czy konieczne są drogie systemy obronne (np. raketowe), czy należałoby postawić na obronę terytorialną z bronią indywidualną (np. tak jak Egipt w wojnie Jom Kippur, gdzie małe zespoły w początkowej fazie tego konfliktu zniszczyły w dużym stopniu izraelskie oddziały pancerne). A może oba systemy są pożądane? Nad tym wszystkim należy pomyśleć.

Jesienią PGNiG podpisało kontrakt na 20 lat na dostawę amerykańskiego gazu, który wbrew pesymistycznym prognozom będzie tańszy niż ten rosyjski. Nawet antypisowskie media oceniły to jako wielki sukces. Czy to oznacza, że Amerykanie będą bronić swojego rynku zbytu jak niepodległości?

Sprawa energii jest kwestią polityczną. Jeśli USA utrzymywały Europę Zachodnią przez ponad 40 lat, to stać je na subsydiowanie energii dla całej Europy, ze specjalnym wskazaniem na Polskę. RP powinna stać się centrum i zapleczem amerykańskich produktów energetycznych. W tym momencie amerykańskie inwestycje nad Bałtykiem spowodują zwiększenie zainteresowania Polską. W rezultacie powstanie propolskie lobby wśród firm amerykańskich robiących interesy w Polsce. Naturalnie pomoże tutaj bardzo obniżenie podatków nad Wisłą. Zachęci to do inwestycji.

Pańskim zdaniem Polska powinna starać się uzyskać dostęp do broni nuklearnej. Szczególnie że prezydentura Trumpa stwarza najlepszą od czasów Reagana koniunkturę w stosunkach Warszawy z Waszyngtonem. Dlaczego Amerykanie mieliby nam w tym pomóc? W jaki sposób powinniśmy ich od tego przekonywać?

Sprawa jest prosta. Im silniejsza Polska, tym mniejsze nakłady na obronę tej części świata muszą ponosić USA. Zniewieściały Berlin przecież nie ma zamiaru się bić. Wręcz rozłoży się przed Moskwą i z zadowoleniem zgodzi się na każdy gwałt. Warszawa nie. Przynajmniej taką trzeba mieć nadzieję. Polska po prostu przejmie obowiązek obrony tej części świata od USA w ramach NATO i sojuszu Trójmorza, a Amerykanie będą mogli bardziej się skoncentrować na kontrowaniu zagrożenia chińskiego oraz uspokajaniu sytuacji na Bliskim Wschodzie. Bez silnej Polski Stany

Zjednoczone muszą rozproszyć swój potencjał obronny.

A czy Amerykanie nie obawiliby się, że posiadając broń nuklearną, będziemy nieobliczalni i niebezpieczni?

To zależy. Jeśli Polska i Polacy utrzymają demokrację i wolność, bez ześlizgiwania się w degrengoladę, jak to się dzieje w Europie Zachodniej, to USA nie powinny mieć większych obaw. Ponadto właściwie każdy w Waszyngtonie się zgodzi, że Polska nie ma zamiaru napadać ani na Rosję, ani na Niemcy. W tym sensie Polska jest obliczalna i bezpieczna. I trzeba to zawsze i wszędzie tłumaczyć. Celem strategicznym jest bezpieczeństwo RP, w tym oparte na broni nuklearnej. Naturalnie musi to być operacja stopniowa. Najpierw rotacja rakiet amerykańskich z jednoczesnym rozwijaniem potencjału nuklearnego do pokojowego zastosowania przez Polskę, a potem stopniowo powstające elementy własnej siły jądrowej. To będzie pewnie proces bardzo powolny.

Gdyby Warszawa miała wolę, by rozpocząć starania o uzyskanie dostępu do broni nuklearnej od Stanów Zjednoczonych – jak pan prognozuje – w jakiej perspektywie czasu możliwa byłaby realizacja tego planu?

Myślę, że 25 lat. Oczywiście, o ile nic się nie wydarzy. Na przykład gdyby doszło do ostrego konfliktu globalnego, Ameryka mogłaby natychmiast przekazać Polsce takie narzędzia do utrzymania niepodległości. Nie są to żarty. Niedawno wyszła głośna książka „science fiction” „Ghost Fleet” o III wojnie światowej: USA vs. Chiny i Rosja. Tylko Wielka Brytania i Polska zostają po stronie Ameryki. Reszta wybiera neutralność. I Polacy dostają w nagrodę broń jądrową. To science fiction w cudzysłowie, bo jest to powieść z przypisami. A autorami są intelektualiści związani z Pentagonem i – ogólnie – ze sprawami bezpieczeństwa narodowego. To jest żywcem wyjęte z gier wojennych, w które siły zbrojne USA grają rutynowo.

Załóżmy, że mamy już tę broń nuklearną. Czy wtedy protektorat Stanów Zjednoczonych przestanie nam być potrzebny?

Dlaczego? Przecież w prawie każdym układzie przydadzą się sojusznicy. No, chyba że chciałby pan nad Wisłą tworzyć autarkię à la Korea Północna.

Podkreślmy: broń nuklearna to straszak, który paradoksalnie jest najlepszą gwarancją pokoju.

Kryzys wokół ustawy o IPN pokazał, że zbytne uzależnienie się od Stanów Zjednoczonych i brak innych wartościowych sojuszy mogą się na nas mścić. Amerykanie, wiedząc, że jesteśmy od nich zależni, mogą dyktować wygórowane warunki. Może więc powinniśmy szukać lepszych relacji z Niemcami czy generalnie z Unią? A jeśli tak, to w jaki sposób, na jakich zasadach?

Kryzys w sprawie ustawy o IPN pokazał, że polski rząd jest nieskoordynowany i nie potrafił wytłumaczyć nikomu, o co chodzi. Faktycznie, RP nie jest w stanie udawać, że jest wielką potęgą, bo nią nie jest. I za to trzeba płacić pewną uległością, najchętniej pozorną. Czyli wybierać takie bitwy, z których wychodzi się zwycięsko.

Ponadto proszę się nie łudzić – polityczna poprawność zaprezentowana przez USA dotyczy też i Brukseli, i Berlina. Pewnie tylko Chiny bądź Rosja stanęłyby po stronie Polski w sprawie ustawy IPN. Naturalnie ceną byłoby podporządkowanie się tym potęgom. I skakanie na ich smyczy. A uległość wobec Moskwy i Pekinu byłaby bardziej bolesna niż wysłuchiwanie komunałów na temat politycznej poprawności z Waszyngtonu.

Można grać ze wszystkimi, o ile się potrafi. A czy polska klasa polityczna potrafi? Ogólnie warto jest mieć różne opcje i utrzymywać przyjazne czy poprawne stosunki z jak największą liczbą graczy. Jeśli jednak chodzi o sprawę egzystencjalną, to trzeba się zdecydować i stawiać na najmniej uciążliwego hegemonu. A takim jest Waszyngton.

Trzeba tylko wiedzieć, jak z USA się gra. Na pewno nie na kolanach, tak jak już ćwiczano w Warszawie względem Moskwy, a potem Berlina i Brukseli. Bez hysterii, ale z godnością. I pomoże w tym zrozumienie amerykańskiej kultury. Argumenty wysuwane nad Wisłą są zupełnie niezrozumiałe nad Potomakiem. Politykom polskim się wydaje, że wystarczy, iż polskie hasła ubiorą w słowa do złudzenia przypominające angielski, a wszystko będzie świetnie. Tak nie jest.

Niemcy wyraziły chęć przystąpienia do inicjatywy Trójmorza i wykorzystania jej do budowania mostów między Europą Wschodnią a Zachodnią. Powinniśmy się na to zgodzić?

Można się nie zgodzić, ale czy jest na to siła? Niemcy chcą przejąć projekt. I zrobić na swoją modłę. „If you cannot beat them, join them”. Można się zgodzić pod twardymi warunkami, np. kontroli inwestycji niemieckich oraz odrzucenia imperializmu kulturowego. Nie ma się jednak co

ludzi: tzw. golden rule oznacza, że ten, kto ma kasę, dyktuje warunki. Odrzucanie kasy jest niekoniecznie właściwe. Jeśli chcą, to niech budują autostrady, pod warunkiem że na osi północ-południe, a nie wschód-zachód. Albo lokalne drogi. Jeżeli się obrażą, to tych rzeczy nie zwiną, nie wezmą na plecy ani nie wywiozą do Reichu.

Trójmorze nabiera kształtów. A co z Międzymorzem? Jakie czekają Polskę wyzwania na pomoście bałtycko-czarnomorskim w najbliższych latach?

Intermarium to są ziemie między morzami. Nie rozróżniałbym między Trójmorzem a Międzymorzem w taki sposób. Faktycznie jednak wschodnia flank Intermarium to osobne wyzwania. Są głosy np. na Ukrainie, aby budować to na zasadzie ciągłości z Rosją Kijowską i Wielkim Księstwem Litewskim. Bez Polaków. Litwini, wiadomo, się uśmiechają, ale uważają to za nierealne pod batutą Ukraińców. Woła Unię Europejską i NATO. Tymczasem rozpad ukraińskiego państwa posuwa się z zewnątrz i od wewnątrz. Nie pomogą szaleństwa integralnych nacjonalistów, którzy myślą, że zbawi ich Bandera jako antidotum zarówno na Putina w Moskwie, jak i na oligarchicznych kleptokratów u władzy w Kijowie.

A tymczasem Kreml miesza, jak może. Czy przejmie Ukrainę szybko? Chyba będzie się starał ją dalej podminowywać. Tak jak RP w XVIII w. Cierpliwości. Dla Polski Ukraina to wygodna bariera geopolityczna. Odradzam jednak się tam łądować bezpośrednio militarnie przeciw Rosji. Zanim zajmujemy się innymi, należy wyleczyć Polskę z jej przypadłości.

Naturalnie wiele zależy od postawy USA. Co będzie, gdy Waszyngton się wmixa, mimo że jest to prawie całkiem nieprawdopodobne? Gdy wybuchła wojna na Korei w 1950 r., Japonia siedziała cicho, natomiast zarabiała krocie na aprowizacji amerykańskich sił zbrojnych. Polska powinna powielać ten model. Może jakichś symbolicznych ochotników wysłać? O tym wszystkim trzeba sobie pogdybać.

Co powinniśmy zrobić, żeby Ukrainę i Białoruś, które zwłaszcza w ostatnich latach się od nas oddaliły, włączyć do naszych geopolitycznych planów?

Najpierw trzeba ich włączyć do polskich planów gospodarczych. Ustanowić mały ruch graniczny, szczególnie z Białorusią. Z Ukrainą trzeba postępować ostrożnie, bo nie panuje nad swymi granicami wschodnimi. Nie warto w ten sposób przyjmować niezaproszonych

gości z Trzeciego Świata. Jednak także z Ukrainą należy promować mały ruch graniczny i rozmaitego rodzaju wymiany gospodarcze. To są pierwsze kroczki. Bez zmiany reżimów w Mińsku i Kijowie nie ma co marzyć o wielkich planach geopolitycznych. Tylko o jakie zmiany chodzi? Jeśli władzę przejmą tam integralni nacjonaliści, to jest to cios w Intermarium. Sugeruję oddziaływać na Białorusinów i Ukraińców kulturą. To najpotężniejsza broń.

Trójmorze i Międzymorze to inicjatywy geopolityczne. A jakie czekają Polskę w najbliższych miesiącach, latach wyzwania kulturowe, cywilizacyjne? Czy przypadnie nam w udziale rola przedmurza chrześcijaństwa?

W tej chwili Polska to nie przedmurze chrześcijaństwa, ale Okopy św. Trójcy. Jest to ostatnia enklawa łacińskiej cywilizacji. Chrześcijaństwo jest w zupełnym odwrocie na Zachodzie, zniknęło z publicznych miejsc, jest w katakumbach. Kościół katolicki w Polsce powinien, po pierwsze, odnowić się i wydzwignąć z postkomunizmu, a po drugie, zacząć reewangelizować Europę oddolnie. Tak jak księża podążyli za swymi owieczkami w czasie komuny do blokowisk i potworów takich jak Nowa Huta, tak teraz pasterze muszą być wszędzie. A do tego trzeba ducha konserwatywnej, tradycyjnej odnowy. I mszy trydenckiej. Naturalnie pragmatyka nakazuje wielką elastyczność. W każdym razie wszystko zaczyna się od kultury chrześcijańskiej, a wyzwania geopolityczne to małe piwo w porównaniu z dziełem rekonkwisty cywilizacyjnej, którą trzeba odbyć w całej Europie. Najpierw trzeba zająć się Niemcami, potem Francją i Wielką Brytanią.

Czy Polska powinna stanąć na czele chrześcijańskiej kontrewolucji w Europie? A jeśli tak, to czy ma na to szansę?

„Where there is a will, there is a way”. Oczywiście. Trzeba tylko mądrych elit i ognia wśród misjonarzy laickich i duchownych.

Jak wiadomo, wiele z europejskich ruchów prawicowych ma prorosyjskie nastawienie. Putin umiejętnie kreuje się na ojca chrzestnego ruchu antyliberalnego. Co Polska powinna robić, żeby przekonać europejskich konserwatystów, że to nie Moskwa, ale Warszawa ze wsparciem Waszyngtonu jest wielkim przedmurzem chrześcijaństwa?

Tak, w Polsce też chamokomuna wychwala Putina jako katechona. W Europie to są zwykle ruchy populistyczne, tożsamo-

ściowe, rasistowskie czy nacjonalistyczne. Niekoniecznie jest to prawica. Antyliberalizm je jednak łączy.

Warszawa nie powinna tracić czasu na bezpośrednie bicie w bęben Waszyngtonu na użytek zachodnich Europejczyków. Polska powinna pokazać czynem, że klucz jest nad Wisłą, a nie nad Moskwą. I takim przykładem, który zapiera dech w piersiach w zachodniej Europie i północnej Ameryce, jest Marsz Niepodległości. Przekaz podświadomościowy jest taki: spójrzcie na nas, jesteśmy wolni i suwerenni dzięki sobie i dzięki sojuszowi z Ameryką. Droga do niepodległości to nie multi-kulti, to nie marksizm-lesbianizm, ale „my chcemy Boga!” oraz „Bóg, honor, ojczyzna!”

Pomógłoby też, gdyby Polacy zaktywizowali się w Internecie po angielsku. Na razie głównie krzyczą po polsku. Szkoda. Trzeba polskie racje stale powtarzać. We wszystkich językach, ale przede wszystkim po angielsku.

Sam pan przyznał, że skutkiem ubocznym z natury nierównego sojuszu z USA jest amerykański podbój kulturowy, a co za tym idzie – ekspansja lewicowych trendów intelektualnych, które nazywa pan zbitką „marksizm-lesbianizm”. Jednak twierdzi pan, że jeśli wiemy, kim jesteśmy, mamy świadomość swojej tożsamości, to nie damy sobie „wcisnąć tego cheeseburgera”. Czy nie wcisną nam go na siłę?

Amerykanie nie wcisną na siłę. Pdbój kulturowy polega na uwodzeniu zdomowanego narodu. Japończycy się nie dali. Mają zbyt silną samoświadomość. To od Polaków zależy, czy nad Wisłą zakwitnie to, co najlepsze z Ameryki, czy zachwasczą krajobraz patologie. Na przykład – dlaczego Polacy nie upomną się o prawo do posiadania broni, państwa minimum i niskich podatków? To przecież jest esencja Ameryki. A dlaczego niektóre elity nadwiślańskie myślą Amerykę z Hollywood i Madison Avenue? Dlaczego chcą klonować nad Wisłą wydziały humanistyczne i nauk społecznych, a nie inżynierii i medycyny z amerykańskich uniwersytetów? To przecież są źródła chorób drążących USA.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Marek Jan Chodakiewicz

– historyk specjalizujący się w badaniu stosunków polsko-żydowskich, tematyki Holokaustu oraz historii Europy Środkowej i Wschodniej XIX–XX wieku.

MACIEJ PIECZYŃSKI: W swojej najnowszej książce pt. „Rzeczpospolita między lądem a morzem. O wojnie i pokoju” obszar Polski nazywa pan „naturalnym hubem komunikacyjnym trzonu lądowego Europy we wszystkich kierunkach”, który łączy masy kontynentalne Eurazji. Dlaczego nie potrafimy wykorzystać tego korzystnego położenia?

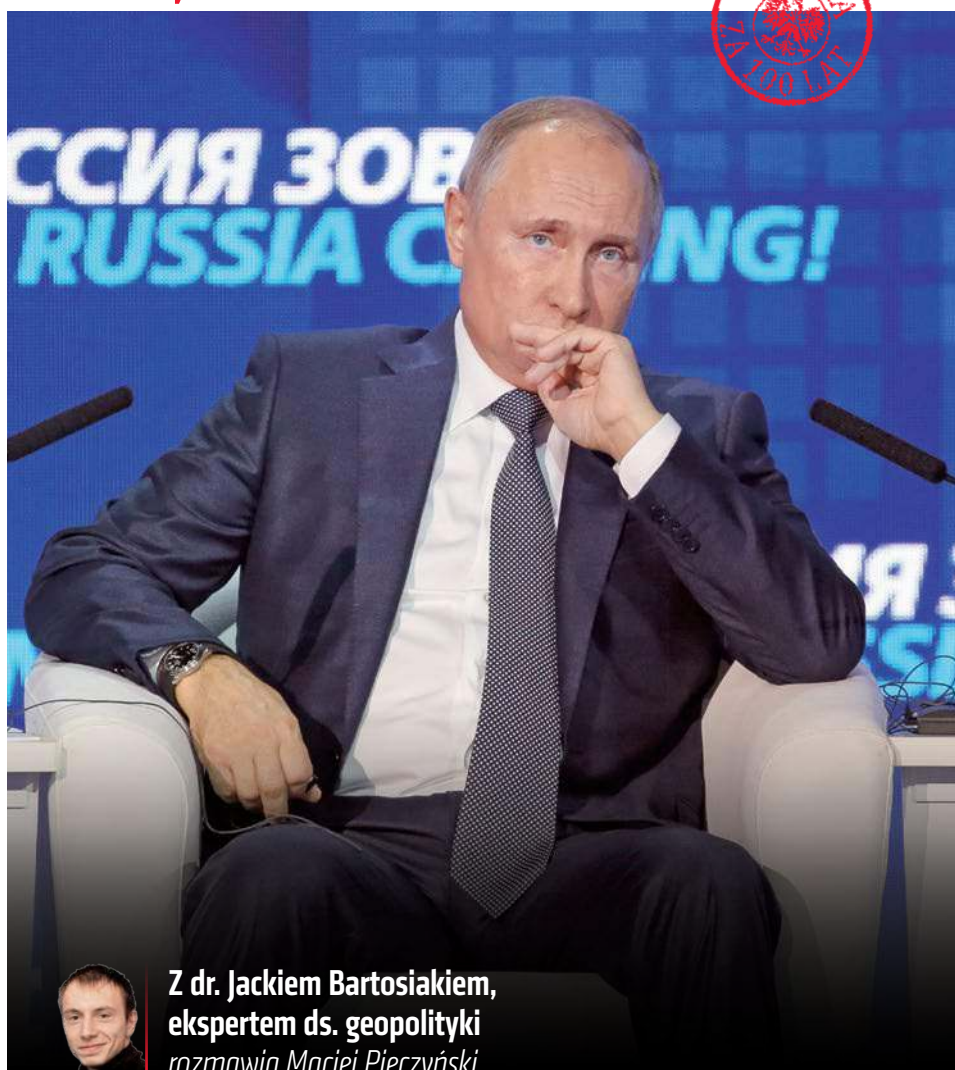
DR JACEK BARTOSIAK: Dlatego że byliśmy tradycyjnie słabsi od mocarstw, które były zainteresowane uregulowaniem tej przestrzeni pod swoje potrzeby. Geografia nie skazuje nas na porażkę. O tym, że nie jesteśmy dziś imperium, zdecydowała słabość państwa, ale również pewna niekorzystna koniunkcja zdarzeń. Nasza historia mogła jednak w kilku momentach potoczyć się inaczej. Gdybyśmy w XVI czy w XVII w. zdusili w zarodku dopiero kształtującą się potęgę Rosji, to my byśmy skonsolidowali pod polskim panowaniem Europę Wschodnią, sięgając wpływami aż do Uralu. W ten sposób wyeliminowalibyśmy zagrożenie ze Wschodu. Z drugiej strony, jako mocarstwo lądowe stalibyśmy się potencjalnym geopolitycznym rywalem dla mocarstwa morskiego – wcześniej Wielkiej Brytanii, a obecnie USA. Można kreślić wiele alternatywnych scenariuszy. Przede wszystkim jednak o naszej porażce w XVIII w. zdecydowała słabość państwa. Zapewne historia potoczyłaby się inaczej, gdybyśmy mieli ustrój społeczny umożliwiający wykorzystanie owoców wielkich odkryć geograficznych, a więc wysoko rozwinięty stan kupiecki, wykształcone stosunki kapitalistyczne, większą mobilność społeczną.

Do pewnego momentu w odwiecznym sporze geopolitycznym Polski z Rosją to my byliśmy górą. W XVIII w. szala zwycięstwa przechyliła się na stronę naszych rywali. Czy to już nieodwracalne? Czy miał rację Pułaski, pisząc w XIX w., że „przesądził dawno los tę naszą starą waśń”?

Wręcz przeciwnie. Gra o panowanie na pomoście bałtycko-czarnomorskim wciąż się toczy. Przypomnę, że w wojnie z bolszewikami w latach 1919–1921 to my byliśmy górą.

Nie udało się jednak zrealizować koncepcji federacyjnej Piłsudskiego. Nie powstał bufor w postaci niepodległych Ukrainy i Białorusi.

Jednak Sowieci nie byli w stanie zniszczyć kształtujących się wówczas załączków samodzielnosci pomostu bałtycko-czarnomorskiego. Wygraliśmy tę wojnę, a przypomnę, że jeszcze kilka lat wcześniej byliśmy poddawanymi Imperium Rosyjskiego.



Z dr. Jackiem Bartosiakiem,
ekspertem ds. geopolityki
rozmawia Maciej Pieczyński

Gra Polski z Rosją wciąż się toczy

Piłsudski miał wówczas okazję, by zjednoczyć się z siłami białych i zniszczyć ostatecznie Rosję sowiecką. Czy to pańskim zdaniem była wielka, niewykorzystana szansa na pozbycie się wschodniego zagrożenia? Czy może jednak dobrze, że nie podjęliśmy tej próby?

Gdy Halford John Mackinder nawiązał Piłsudskiego, by wraz z białymi poszedł na bolszewików, usłyszał w odpowiedzi: „Mógłbym w maju być w Moskwie. Tylko co dalej?”. Ogrom-

ną przestrzeń Rosji można zająć, ale niezmiernie trudno jest ją utrzymać. Poculi to na własnej skórze wszyscy, którzy nadchodzili z Zachodu: Polacy, Napoleon, Hitler... Jednak ta ogromna przestrzeń daje możliwość gry. Pobiliśmy Rosjan w latach 1919–1921, pokonaliśmy ich również w 1991 r. – niezależnie od tego, na ile do upadku ZSRS doprowadziła światowa koniunktura, faktem jest, że w efekcie Rosjanie zostali wypchnięci

FOT. BLOMBERG/GETTY IMAGES

z pomostu bałtycko-czarnomorskiego i znaleźli się w Bramie Smoleńskiej, bardzo daleko od obszaru rdzeniowego Rzeczypospolitej. Moskwa straciła zewnętrzne i wewnętrzne bufory – Ukrainę, Białoruś, państwa bałtyckie, Kaukaz, Azję Środkową.

Jednak teraz Putin odbudowuje dawną potęgę.

Rosjanie są przekonani, że to my jesteśmy ich głównym przeciwnikiem w walce o panowanie nad pomostem bałtycko-czarnomorskim i w tej walce sprytnie wykorzystujemy siłę innych – Amerykanów, Brytyjczyków.

W książce pisze pan: „Polska musi wyciągnąć ze swojej dotychczasowej słabości wnioski i użyć zarówno zdolność do projekcji siły w swojej strefie buforowej, jak i idące za nią (oraz za wpływami ekonomicznymi) wpływy polityczne na całym pomoście bałtycko-czarnomorskim”. Wówczas nikomu nie przysłoby do głowy, aby pomijać Polskę w rozmowach na temat losu obszarów położonych pomiędzy Polską a Rosją. Tylko jak tę zdolność uzyskać? Jakie mamy pole manewru? Czy projekt Trójmorza może być szansą na wzmocnienie naszej pozycji na pomoście?

Trójmorze to sojusz państw, które zostały pominięte w wielkich morskich odkryciach geograficznych, a które znajdują się pomiędzy obszarami rdzeniowymi imperiów tureckiego, niemieckiego i rosyjskiego, czyli w strefie zginiotu. Z kolei pomost bałtycko-czarnomorski to grupa państw położonych pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym. To różne pojęcia.

Jednak czy inicjatywa Trójmorza może stanowić przeciwwagę dla Rosji, tym samym wzmacniając potencjał bałtycko-czarnomorskiej strefy buforowej?

Pytanie, co w takim razie z Białorusią i Ukrainą, które do Trójmorza nie należą. Trójmorze to próba budowy siły, która będzie absorbować środki infrastrukturalne, rozbudowywać połączenia komunikacyjne, aby ta część Europy mogła rozwijać się w sposób niezależny. Formuła jest jeszcze niedookreślona. Międzymorze, czyli koncepcja bloku państw na pomoście bałtycko-czarnomorskim, to strefa buforowa, której zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa ze strony Rosji. Nie sądzę, by te dwa projekty można było połączyć.

W książce stawia pan tezę, w myśl której z perspektywy ostatnich prawie 30 lat zbyt mało

zadbano o „uzyskanie realnych wpływów na żywotnie ważny dla Polski obszar buforowy” na Białorusi i na Ukrainie. Jak zatem eksportować polskość na Wschodzie? Co mamy do zaoferowania Białorusinom i Ukraińcom oprócz zachodniości?

Należałoby raczej zapytać: Co mogliśmy mieć. Poprzez Polskę Ukraina, Białoruś, ale również państwa bałtyckie są skomunikowane z Europą. Jesteśmy ich zwornikiem ze światem atlantyckim. Pośredniczymy w handlu z Zachodem. Pod względem gospodarczym szczególnie cenni jesteśmy dla Białorusinów, którzy nie mają przecież dostępu do morza. Jesteśmy gwarantem bezpieczeństwa dla państw bałtyckich. Z kolei sytuacja geostrategiczna Ukrainy byłaby o wiele trudniejsza, gdyby Rzeczpospolita była częścią rosyjskich wpływów. Mamy więc tym państwom do zaoferowania bardzo wiele w kwestii bezpieczeństwa. W przyszłości im Polska będzie miała silniejszą gospodarkę i wojsko, tym bardziej państwa pomostu bałtycko-czarnomorskiego, w obawie przed rosyjską ekspansją, będą orientowały się na sojusz z Warszawą.

Nawet Białoruś pod rządami Łukaszenki obawia się rosyjskiej ekspansji i szuka czasem kontaktu z Zachodem. Przeciągnięcie Mińska na naszą stronę byłoby zapewne ogromnym sukcesem Warszawy. Szczególnie że to niewykorzystany, niezagospodarowany kierunek. Z Białorusinami nie mamy też większych rachunków historycznych do wyrównania. Jednak do tego potrzebne są pieniądze – polskie, nie zachodnie.

Im więcej byśmy inwestowali na Białorusi, tym łatwiej byłoby ją wciągnąć do naszej strefy wpływów. To proste. Dopóki nasza polityka wobec Białorusi będzie uzależniona od stanowiska Zachodu, dopóty nie będziemy suwerenni. Musimy prowadzić suwerenną politykę zagraniczną. Szczególnie w obecnych czasach, gdy świat Zachodu przeżywa wewnętrzny kryzys i traci swoją jedność. Pokój po rozpadzie ZSRS uspił naszą czujność. Uznaliśmy, że Zachód jako całość jest wystarczająco silny, aby za nas prowadzić politykę wschodnią. Rosjanie są zresztą przekonani, że to właśnie Polska jest głównym czynnikiem dynamizującym procesy rozszerzeniowe, że to my dynamizujemy ekspansję UE i NATO w Europie Środkowo-Wschodniej,

forsując projekty takie jak Partnerstwo Wschodnie. Moskwa wciąż traktuje nas jak poważnego rywala, przypisując nam zasługi, o które sami byśmy siebie nie podejrzewali.

Nie jesteśmy skuteczni. Partnerstwo Wschodnie to niewypał. Z Mińskiem niemal nie utrzymujemy relacji, z kolei Kijów woli rozmawiać z Europą poprzez Berlin niż za pośrednictwem Warszawy.

Nie jest tak źle. Ważne, że wciąż między Polską a Rosją istnieją mniej lub bardziej niepodległe państwa, które tworzą dla nas bufor bezpieczeństwa.

Czy opłaca nam się sfinansować Fort Trump? I czy jest szansa, że w ogóle powstanie?

Problemem nie są finanse, ale to, że Amerykanie nie chcą mieć stałej obecności w Polsce. Po pierwsze, jesteśmy położeni zbyt daleko od Atlantyku. Po drugie, rosyjskie systemy antydostępowe zwiększają koszty ewentualnego stacjonowania. Po trzecie – rotacyjna obecność jest dla USA bardziej wygodna i bezpieczna. Po czwarte – i tak już Amerykanie łamią globalny ład, więc ich ewentualna stała obecność na terenie Polski zostałaby odebrana jako gest antyniemiecki.

W książce „Rzeczpospolita między lądem a morzem...” przekonująco pisze pan o rosnącej potęgze Chin. Czy Polska powinna dołączyć do nowego jedwabnego szlaku?

Nowy jedwabny szlak byłby całkowicie nowym systemem relacji handlowych na obszarze ładu Eurazji. Musimy dobrze się zastanowić, czy chcemy w tym wziąć udział. Najpierw jednak trzeba poczekać na wynik wojny handlowej, którą USA wytoczyły Chinom m.in. właśnie po to, aby ten szlak nie powstał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**JACEK BARTOSIAK
„RZECZPOSPOLITA
MIĘDZY
ŁĄDEM
A MORZEM.
O WOJNIE
I POKOJU”
ZONA ZERO 2018**



dr Jacek Bartosiak – ekspert ds. geopolityki i strategii, absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, adwokat. Szef spółki celowej ds. budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego.



Piotr Gociek



W Intergalaktycznym Archiwum Mnogich Światów i Wszelkich Linii Czasowych można znaleźć zapis każdej możliwej przyszłości lub przeszłości. Inna sprawa, że nikomu oprócz najbardziej zaciekle badaczy nie chce się ich studiować. A gdy już ktoś rozpocznie ich przeglądanie, szybko odkrywa, że trudno znaleźć nawet wspólny aparat pojęciowy pozwalający na ich rzetelną analizę i zrozumienie. Spory dotyczą nawet kwestii tak podstawowej jak metody archiwizowania i numeracji. Według jednej z interpretacji im wyższy numer zapisanej wersji wydarzeń, tym opisywana linia czasowa jest mniej prawdopodobna. Jednak i to nie jest pewne, tak jak wszystko w naszym pięknym, dziwnym i wciąż niezbadanym

ze wszystkiego, co przydatne, grasowały bandy zdziczałych psów. Między bandami psów czasem grasowali zdesperowani głodni ludzie, dla których schwytanie i upieczenie psa było największym marzeniem.

Pogoda zmieniała się częściej niż nagłówki wiadomości w obwieszczeniach wykrzykiwanych przez ulicznych gaziarzy. Nie sprzedawali gazet, ale nazwa przetrwała. Umorusani, wszędobylscy, uczyli się na pamięć tego, co wyświetlały nieliczne działające jeszcze terminale informacyjne, a potem za co łaska wyrzaskiwali nowiny tym,



Jutro

Wszechświecie. Niektóre zapisy dotyczą miejsca, które być może znacie.

ROK 2119. WERSJA 107

Wkrótce po wschodzie słońca w Korycie otwierano stragany. Kiedyś piaszczystą wstęgą płynęła tu rzeka zwana Wisłą, dziś było to miejsce, w którym drobni lokalni handlarze chronili się przed wściekłymi burzami i gorącym słońcem. Blaszone stragany wzmocniano płytami pleksi, obudowywano bloczkami kruszejącego betonu. W tej części Europy nikt nie budował niczego nowego od bardzo dawna. Za to ruiny starych domów, garaży i fabryk dostarczały darmowych materiałów tym, którzy mieli odwagę szabrować. Między szkieletami odartymi

których było stać na nadstawienie ucha.

Prognozy były najbardziej pożądanym towarem, choć sprawdzały się rzadko. Czasem wichura, czasem grad, czasem skwar. Najgorzej bywało, kiedy wiatr wraz z deszczem przynosił opady radioaktywne znad dawnych elektrowni jądrowych na Litwie, Białorusi i Ukrainie.

Co kilka dni od południa dnem wyschniętej Wisły nadszcigały karawany śmieciarzy z drogocennym ładunkiem. Bryły węgla z biedaszybów, złom, w którym czasem trafiały się rzadkie metale, samogon. Tylko niektórzy chcieli handlować z właścicielami straganów w war-

szawskim Korycie.

Większość oganiała się od nielicznych dzieci, dużo liczniejszych grasantów i najliczniejszych wynędzniałych starców. Właściciele karawan jechali dalej, do punktów wymiany towarów przy centrach dystrybucji pomocy humanitarnej. Tłum rozstępował się przed opancerzonymi ciężarówkami, przy których kołach stragany miejscowych wyglądały jak szałaszy dla lalek. Wśród huczących potworów



po babce, smukłej Chince z Hongkongu.
„Takt i humor po mnie” – lubił myśleć
Yildiz Chen.

Od miesiąca byli
w drodze, od ty-
godnia wędrowali
przez dawne Polonya
topraklari. Mieli już
prawo być znużeni,

lecz kiedy Yildiz pytał syna,
czy nie tęskni za Izmiirem, za
domem i miejskimi rozrywkami, ten
uśmiechał się tylko i odpowiadał werse-
tem z Koranu przypominającym, że nie
dostąpi pobożności, kto nie będzie czynił
ofiary z rzeczy ulubionych.

Rozmyślania Chena przerwała krótka
palba. Karawana stanęła. Grupa najem-
ników chroniących ciężarowe furgony
trzymała karabinki lufami ku górze,
jeden stał na dachu pierwszej pancerki
i sygnalizował, że to nie atak. Strzały były
ostrzegawcze. Za chwilę do ojca podje-
chał Kartal Chen, dosiadający rosnącego
srokosza.

– Biedota – rzucił krótko w odpowie-
dzi na pytające spojrzenie ojca. – Nic
zorganizowanego.

– Żebracy z Koryta – rzekł Yildiz.

Wyspy
Rosja
oraz koncer-
ny recyklingowe

z LibAmeryki i konkurującej
z nią ConAmeryki. Od tych ostatnich
wynajmował po korzystnej cenie mikro-
drony, krążące nad karawaną jak chmara
insektów.

Tego lata prowadził osobiście jedną
z największych karawan, bo tym razem
najważniejszy był nie zysk (uśmiechnął
się do siebie – zysk zawsze był ważny),
lecz lekcja życia dla Kartala, jego pierwo-
rodnego syna, który żegnał się z czasami

będzie jutro

kroczyły niewzruszone wielbłądy i muły,
ciągnąc wozy z najmniej wartościowym
towarem: z celulozą i ze starymi ubra-
niami. To, co naprawdę cenne – owoce,
sól, stare komputery i wszelka elektro-
nika – kryło się w stalowych potworach
ochronianych przez działka plazmowe.

Tego dnia dnem wyschniętej rzeki
ciągnęła wyprawa czcigodnego Yildiza
Chena, którego kupieckie godło – sza-
ry wilk w białym kole – znane było od
Morza Czarnego do Bałtyku. Yildiz Chen
był prawdziwym człowiekiem interesu
i szczylił się tym, że z każdej najbardziej
nawet zabitej dechami dziury potrafi
wydusić coś, co przyniesie zysk. A także
tym, że liczą się z nim dostojni partnerzy
z dalekich granic: kupcy z Syberyjskiej

dziecinny i był coraz bardziej ciekaw
szerokiego świata.

Yildiz Chen był dumny z syna, który
od pierwszego dnia podróży za natural-
ne uznał, że nie będzie jedynie drogocen-
nym towarem (cóż cenniejszego dla ojca
od pierworodnego syna – myślał Yildiz),
lecz prawdziwym użytecznym członkiem
ekspedycji. Wraz z dorosłymi trzymał
na zmianę nocne warty, w rumuńskich
górach ustrzelił orła, majestatycznego
ptaka, od którego wszak pochodziło imię
Kartal. Był młody, a już umiał radzić so-
bie z ludźmi. Nikogo nie traktował z góry,
uczynny, wesoły, wygadany, rozmawiał
równie chętnie z najętymi do pracy
Chińczykami, Wietnamczykami czy Buł-
garami. Talent do języków odziedziczył

– Bardziej nachalni niż zwykle. Nieraz ich
jeszcze zobaczysz. To przekłeta ziemia.

Karawana ruszyła dalej. Najemnicy
kolbami rozginali tłum obszarpanych
postaci. Jedni ustępowali w milczeniu,
inni miotali obelgami. Ktoś rzucił kamie-
niem, jednak nie znalazł naśladowców.

Gdy byli już za zakrętem wyschniętej
rzeki, Kartal Chen zwrócił się do ojca.

– „Jezdem guodny”, „Ratucie nase
duższe” – próbował koślawo powtarzać
młodzieniec. – „Zozdewiadzie naz na
smercz”. Nie znam tego języka. Co to za
ludzie, ojczyste?

– Polaki – odpowiedział Yildiz Chen. –
Był kiedyś taki naród. Dawniej wszystko
wokół należało do nich.

– Co się z nimi stało, ojczyste?

Yildiz Chen wzruszył ramionami.
– To, co od zarania dziejów przydarza się częściej, niż myślisz, Kartal. Narody wyłaniają się z mroków historii, by potem na powrót się rozpuścić w ciemnościach. Są wielkie albo nie ma ich wcale.

Kartal milczał przez chwilę, a potem popędził konia. Na niebie zbierały się ciężkie chmury. Pogoda znów miała się zmienić.

ROK 2119. WERSJA 3960

Gdy tylko usłyszał brzęk monety wpadającej do automatu przy drzwiach, już wiedział, że wrzucił za mało. Napis „BLOKADA” świecił nad kławką. Pochylił się nad czytnikiem i pozwolił mu odczytać siatkówkę oka. Na ekranie pojawił się nowy napis: „KWOTA BAZOWA – SPŁACONA. ODSETKI – BRAK WPŁATY”.

Inflacja znów ruszyła, a on nie przedpłacił czynszu, nie mógł więc otworzyć własnych drzwi. Emeryt trzeciego stopnia, Jędrzej Jankowski, odnotował to ze stoickim spokojem. Trzeba będzie

czyć ich na mieszkanie, ale stać go było na kilka obiadów. Jeśli zostanie przy algach, to nawet na kilkanaście. „Dobra nasza!” – myślał Jędrzej Jankowski, pamiętający czasy poprzedniego (którego to już?) wielkiego kryzysu.

Wrócił więc na ulicę, pozostawiając za sobą 20-piętrowy blok, w którym był zaledwie jednym z 17 lokatorów. Pozostałe mieszkania stały opustoszałe z dwóch powodów. Po pierwsze, i tak nikt nie chciał w nich mieszkać, bo na każde rodzące się dziecko (rzadkość nad rzadkościami) i tak przypadało około stu pustostanów, rodzice mogli więc przebierać w dużo lepszych miejscówkach. Po drugie, dyrektywa antykoncentracyjna zabraniała korzystania z więcej niż jednego mieszkania, mimo że obywatele ubywało, a mieszkań – nie.

Dyrektywę wprowadzono 13 kampanii wyborczych wcześniej, na żądanie Europejskiej Partii Równowagi i Zasobności. Jednym z haseł jej programu było: „Europejczyk korzysta roztropnie!”. Jak pamiętał, efektem owej roztropności wprowadzonej w życie było zmniejszenie porcji alg serwowanych w świetlicach dla emerytów. Co z kolei doprowadziło do Zielonego Marszu Głodnych w roku 2097, przyspieszonych wyborów i wygranej Partii Umiarkowanego Dobrobytu oraz Sprawiedliwego Podziału.

Ulicą znów maszerowała demonstracja. Emeryt trzeciego stopnia Jędrzej Jankowski trzymał się przezornie z boku i ruchem na tyle płynnym, na ile pozwalały mu obolałe kości, próbował obrać kurs na świetlicę. Tłum siwowłosych, łysych, zgarbionych ludzi płynął w stronę Śródmieścia. Nie musiał czytać haseł na transparentach, by wiedzieć, że głównym żądaniem demonstrantów jest zarejestrowanie Partii Emerytów Wszystkich Stopni. Pokręcił głową ze zniechęceniem. To nie miało sensu. Żaden rząd na Ziemi nie chciał się zgodzić na zarejestrowanie partii, która obejmowałaby 90 proc. populacji.

– Przynajmniej sobie pospacerują – mruknął do siebie z wisielczym humorem.

Na obrzeżach demonstracji krzątały się wolontariusze innych partii.

– To dla ciebie, siostró, to dla ciebie, bracie – mówili przedstawiciele Partii Czystego Powietrza, rozdając ziołowe

preparaty eutanazyjne. – Zaśnienie dla dobra ludzkości – dodawali. Jankowski zauważył, że jeden z demonstrantów, zarośnięty starzec na wózku inwalidzkim, przyjął podarek. – Niech twój brak oddechu da nadzieję na oddech innych – podziękowali mu z szacunkiem za trudną decyzję aktywiści.

Przedzierając się ku świetlicy, potykał się o plastikowe torby z dobytkiem koczujących na chodnikach imigrantów. – Szanuję cię – powtarzał standardowe pozdrowienie, wprowadzone dyrektywą dobrosąsiedzką. – Szanuję bardziej niż siebie!

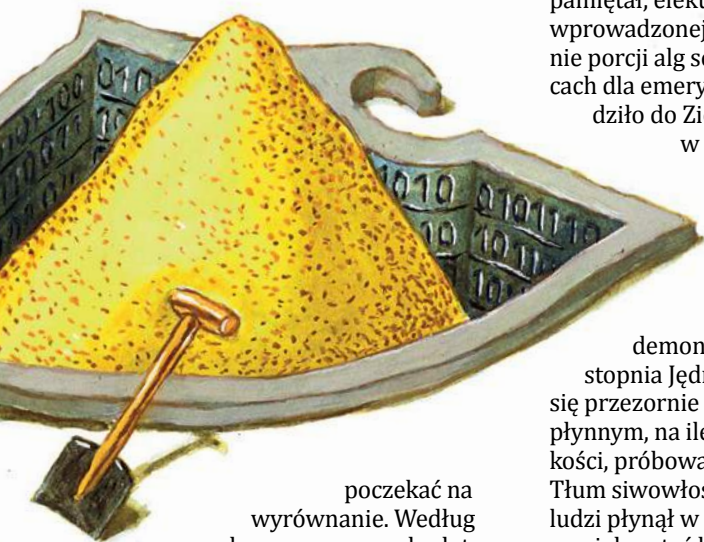
W odpowiedzi zwykle słyszał słowa grube i szorstkie. Dyrektywa asymilacyjna nie nakładała bowiem na przybyszów obowiązków wynikających z dyrektywy dobrosąsiedzkiej. Uznano, że byłoby to karygodne pogwałcenie fundamentów kulturowych osób przybywających do Europy z innych kręgów kulturowych. Samej Europy nie uznawano przy tym za krąg kulturowy, co emeryt Jędrzej Jankowski rozumiał znakomicie – stara Europa była jedynie eksporterem nienawiści, wyzysku i nietolerancji, cóż to więc za kultura. Nowa Europa natomiast wciąż się wykuwała, a młoty historii miały bić w kowadło tak długo, aż się wykuje albo zniknie. „Mnie tam bez różnicy” – myślał Jankowski, który widział w życiu niejedno i wszystko przyjmował bez większych emocji. Nieraz myślał o ziołowych preparatach eutanazyjnych, ale na razie nazbyt cenił sobie ciasteczka algowe ze sztucznym cukrem. „Pojemy, pożyjemy, zobaczymy” – takie motto przyświecało mu od lat.

W świetlicy numer 87 jak zawsze pannał tłok, w którym dostrzegł od razu kilka znajomych twarzy.

– Chodź Jędrus, zaraz się zacznie! – zawołał dobry znajomy, Kosma Kętrzyński, emeryt czwartego stopnia, zatem nieco mniej zasobny od Jankowskiego, ale nadrabiający to dobrym humorem, żywotnością, śmiałością i zaradnością. Ot, choćby teraz wsunął Jankowskiemu w dłoń nielegalne ciasteczko algowe z posypką z kryla, a przecież było to jawne pogwałcenie dyrektywy dietetycznej, zabraniającej obywatelom dzielenia się z innymi nadprogramowymi kaloriami.

– Jak leci? – zapytał emeryt Jankowski, sadowiąc się obok kompana. I szybko łykając ciasteczko. – Pycha!

– Stara bida – odparł zgodnie z tradycją emeryt Kosma Kętrzyński. – Dobrze jest! Właśnie wpłynęło mi na konto



poczekać na wyrównanie. Według harmonogramu dopłat, zasiłków i rewaloryzacji powinno wpłynąć na jego konto po południu i pokryć przynajmniej odsetki. W razie czego prześpi się w świetlicy, dopóki nie otrzyma awaryjnych bonów mieszkaniowych. Gdzieś w głębi duszy poczuł nawet ulgę, że nie wraca do siebie. Puste pokoje go przygnębiały. Teleścianka nastawiona na kanał Utracone Skarby Natury przygnębiała go jeszcze bardziej.

Spacer – zdecydował szybko, spacer i coś do jedzenia! Sprawdził środki na koncie żywnościowym. Zgodnie z dyrektywą antykorupcyjną nie mógł przezna-

wyrównanie do zapomogi niwelującej nierówność rewaloryzacji dopłat do emerytury! Kupię bilet tygodniowy i dopłacę do powietrza na dwa dni!

– Z wyrównania? – zdziwił się emeryt Jankowski. – Od kiedy wypłacają nam takie wyrównania?

– Ciiiicho – szepnął emeryt Kętrzyński. – Wziąłem chwilówkę pod zastaw nerki. W BodyBanku.

– Przecież nie masz już nerek – zdziwił się emeryt Jankowski, który pamiętał dobrze, że dwa lata wcześniej jego kompan nabył w ich miejsce nigeryjskie pompki dializujące, głośnie jak cholera, ale wydajne i tanie.

Kętrzyński położył palec na ustach.

– Ale oni o tym nie wiedzą!

– Co oglądamy? – spytał emeryt Jankowski.

– Transmisję z Japonii. Wielki świat! No i dzieją się wielkie rzeczy!

Tak rzeczywiście było. Przedstawiciele wszystkich krajów, oprócz Rosji, podpisywali na wyspie Kiusiu umowę KIFUS: Konwencję Inżynierii Finansowej Układu Słonecznego. Pozwalała ona sygnatariuszom na zwiększanie deficytu budżetowego poprzez wliczanie do dochodów potencjalnych wpływów z eksploracji planet, księżyców, asteroid i komet Układu Słonecznego. Nikogo nie było stać na taką eksplorację, lecz nie bez powodu mowa była o inżynierii finansowej, a nie zwyczajnej.

Na koniec przewidziano pokaz ekologicznych fajerwerków, ale tego emeryt Jędrzej Jankowski już nie zobaczył. Zwiśł bezwładnie i bez życia na ramieniu emeryta Kosmy Kętrzyńskiego, który wówczas umieścił ziołową pigułkę eutanazyjną w darowanym kumplowi algowym ciasteczku. Wiedział, co robi. Zgodnie z dyrektywą dorosłaśdzką bezpośredni świadek zgonu innego obywatela miał prawo do jego świadczeń socjalnych przez cały okres bezpośredniej traumy wywołanej zgonem. A emeryt Kętrzyński był pewien, że czuje się bardzo, bardzo strauumatyzowany.

ROK 2119. WERSJA 2789976

Żeby powitać delegację, musieli zjechać głęboko w trzewia podziemnej części Europejskiego Portu Komunikacyjnego „Solidarność”. Ziemia drżała. Teraz nad głowami mieli cztery poziomy: jednym poruszały się składy transportowe, drugim lokalne ekspresy pasażerskie, nad nimi zaś krzyżowały się wstęgi

hermetycznych autostrad, gdzie każdy gram powietrza zanieczyszczonego przez silniki hydrogazowe oczyszczany był przez kolektory zanieczyszczeń i dopiero wtedy wypuszczany w górę. Zanieczyszczenia były śladowe, ale jak przypominały płynące po ekranach reklamowych slogany: „Każdy gram jest ważny”. Rzeczpospolita Wielu Narodów była światowym liderem w recyklingu powietrza.

Hyperloop „Paderewski” z Lizbony przybył na peron pół sekundy przed czasem. Delegacja Małego Kalifatu wysiadła z pierwszego wagonu. Na jej czele kroczył przewodniczący delegacji, Sajf Allah al-Basri. Oczekiwała go grupka urzędników RPWN, z ministrem bez teki, Remigijusem Borodziechem na czele.

Podczas gdy oficjele wymieniali powitania i uprzejmości, tuż obok scenie przyglądali się stojący tłumacze obydwu grup: Bento Scolari i Tomasz Franko. Tłumaczenie nie było tak naprawdę

Główny kanał informacyjny pokazywał tymczasem gwałtowne zamieszki na ulicach Brukseli i Düsseldorfu. Mieszkańcy eurolandu obejmującego Niemcy i Beneluks protestowali przeciw gwałtownej dewaluacji waluty. Po krótkiej przerwie na reklamę Agencja Kosmiczna Trójmorza ogłosiła początek nowej fazy eksploracji Pasa Asteroid. Rozpoczynał się nabór pracowników kontraktowych do kompanii górniczych na Ceres, ukraińsko-czeskich spółek finansowanych przez polskie towarzystwa kredytowe.

– Franko to nie jest polskie nazwisko, prawda? – Bento Scolari pochylił się ku swemu rozmówcy i odpowiednikowi.

– A Remigijus to nie jest polskie imię?

– Litewskie, ukraińskie, polskie. Cóż to ma za znaczenie. Rzeczpospolita ma wielu synów, a ci synowie mają wiele nazwisk – Tomasz Franko rozłożył szeroko ręce. – Mój dziadek był Ukraińcem, ja jestem obywatelem Rzeczypospolitej Wielu Narodów. Minister Borodziech to potomek

Hyperloop „Paderewski” z Lizbony przybył pół sekundy przed czasem. Delegacja Małego Kalifatu wysiadła z pierwszego wagonu

potrzebne, wszystkie frazy podpowiadane były i przesyłane urzędnikom przez Polską SI prosto na ekrany wszczepione w gałki oczne – włącznie z właściwą wymową, którą przesyłano do implantów w uszach. Tradycja wymagała jednak, by delegacjom tego szczebla towarzyszyli żywi tłumacze, na wypadek kłopotów z interpretacją przekładu dokonywanego przez sztuczną inteligencję. Kłopoty się zdarzyć nie mogły, Polska SI należała do najlepszych na świecie. To miały być bardzo łatwo zarobione pieniądze – co do tego obaj tłumacze byli zgodni. Gdy nadeszła ich kolej, skłonili się nisko i także wymienili pozdrowienia. Tradycja i nowoczesność – to były kamienie węgielne Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

Naścienne ekrany informacyjne pokazywały inne wydarzenia, które rozgrywały się na terenie EPK „Solidarność”. Na jednym z peronów żegnano polskich bankierów udających się z misją doradczą pod Kopułę Szwajcarską, na innym sprzęt składali lekarze, którzy wyruszyli szczerpieć Duńczyków i Norwegów. Rząd RPWN uznawał, że lepiej wydawać pieniądze na prewencję, zamiast walczyć potem z zalewczonymi z zagranicy epidemiami.

Tatarów spod Nowogródka na Litwie. Cała rodzina to praktykujący muzułmanie od kilku stuleci, to zapewne pana zaciekawia. No, może bardziej ministra Al-Basriego.

– Dużo o was czytałem – powiedział Scolari – ale widzę, że wielu rzeczy będę się musiał uczyć dopiero tu, na miejscu.

– Reaktory zimnej fuzji warte są takiego poświęcenia – uśmiechnął się Tomasz Franko.

– Amerykanie do dziś są wściekli, że jako pierwsi daliście sobie radę z rozwiązaniem tego problemu.

– Nie ma takiej rzeczy na świecie, z którą Polacy nie mogliby sobie dać rady – powiedział Franko. – No, może z wyjątkiem samych Polaków – zażartował.

– Tego właśnie nie rozumiem – rzekł portugalski tłumacz. – Przecież jeszcze sto lat temu byliście jednym z najbardziej skłóconych narodów na świecie.

– To prawda. Ale na szczęście udało się nam sprawić, że... © © Wszelkie prawa zastrzeżone

(Zanowny czytelniku, wyczerpałeś limit darmowego dostępu do Intergalaktycznego Archiwum Mnogich Światów i Wszelkich Linii Czasowych. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, to wykup abonament. Przyjmujemy shmekle i złotówki).

Jastrzębie i gołębie

Kilka dni przed wyborami samorządowymi, gorący dla PiS okres po opublikowaniu przez portal Onet.pl tzw. taśm Morawieckiego. W Prawie i Sprawiedliwości robi się nerwowo, część polityków się obawia, że publikacje łączące obecnego premiera z ekipą byłego premiera Donalda Tuska i stawiające go w niekorzystnym świetle opisy nagrań rozmów zarejestrowanych w jednej z warszawskich restauracji wpłyną niekorzystnie na wynik wyborczy partii. Uaktywnia się długo nieobecny w mediach prezes Jarosław Kaczyński. W kilku wywiadach mówi o tym, że Morawiecki ma poparcie jego i jego partii. Jeden z takich wywiadów to długa rozmowa przeprowadzona przez Danutę Holecką dla TVP. Krótko po tym nagraniu, jak mówią nasi informatorzy,



Wojciech Wybranowski

Nadchodzące wybory do Parlamentu Europejskiego mogą mocno zmienić układ sił wewnątrz Prawa i Sprawiedliwości. Zyska frakcja partyjnych „gołębi” bliska Mateuszowi Morawieckiemu, „jastrzębie” polecą do Brukseli, a po ewentualnie wygranych przez PiS wyborach Zbigniew Ziobro będzie mieć problem, by „odnowić” ministerialny mandat

dochodzi do nieoficjalnego spotkania prezesa PiS z bliskimi mu ludźmi, również związanymi z mediami. Padają pytania o obecną sytuację.

– Prezes, jak to on ma w zwyczaju, unika komentowania całej sprawy. Ale w pewnym momencie rzucił ze znaczą-

cym uśmiechem: „Na razie musimy naszego Mateuszka wspierać” – opowiada jeden z naszych informatorów. Dodaje, że wśród części działaczy PiS, zwłaszcza kojarzonych ze stronnikami Beaty Szydło, uznano to za dowód, iż pozycja Morawieckiego słabnie.



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORBIS

narracyjną pałeczkę, lecz także – podczas głosowania w sprawie wotum nieufności zmusił swoich wewnętrznych przeciwników do jednoznacznego opowiedzenia się po jego stronie.

– Był to ważny element gry wewnętrznej. Dla elektoratu, również tego, który jest bliższy prawemu skrzydłu naszej partii niż „miększonom” Morawieckiego, głosowanie było czytelnym sygnałem, że premier ma poparcie Kaczyńskiego, a wewnętrzni krytycy są słabi – uważa inny z polityków PiS, bliski Morawieckiemu.

GRY FRAKCYJNE

Obowiązujący w PiS jeszcze przed wyborami w 2015 r. podział wewnątrzfrakcyjny na grupy „zakonników PC”, „ziobrystów” i „hofmanowców” już dawno przestał być obowiązujący.

– Nie ma już takich prostych linii podziału. Wśród partyjnych fighterów jest świadomość, że jeśli się wewnętrznie podzieli, to ich PO-KO rozszarpie, a potem powsadza, a przynajmniej będzie próbowała – opowiada jeden z działaczy Zjednoczonej Prawicy. Teraz największe grupy wpływów w obozie dobrej zmiany to tzw. jastrzębie, których twarzą stała się Beata Szydło, ale też zaliczani są do nich m.in. Krzysztof Jurgiel, były minister rolnictwa, Witold Waszczykowski, były minister spraw zagranicznych, czy Mariusz Kamiński, minister koordynator służb specjalnych, a także będący jednak ciałem odrębnym Antoni Macierewicz, były szef MON. Do partyjnych „jastrzębi” należą też „ziobryści”, na czele ze Zbigniewem Ziobrą i z Patrykiem Jakim.

Drugą, obecnie najbardziej wpływową grupę w Zjednoczonej Prawicy stanowią partyjne „gołębie”, w samym PiS nazywane także nieco łagodniej – „pragmatykami”. Za nieformalnego lidera tego obozu uchodzi Mateusz Morawiecki, któremu co prawda udało się umieścić ludzi ze swojego otoczenia w spółkach Skarbu Państwa i kluczowych resortach, ale któremu także do tej pory nie udało się zbudować własnego, mocnego zaplecza będącego realną siłą w polityce. O powodzeniu planów Morawieckiego stanowi część ludzi z dawnego, podzielonego dziś „zakonu PC”, w tym zwłaszcza Joachim Brudziński – szef MSWiA, Marek Suski, szef gabinetu politycznego premiera, i Mariusz Błaszczak, szef resortu obrony narodowej, wicepremier Jarosław Gowin i Adam Bieleń, wicemarszałek Senatu, oraz cieszący się coraz większym zaufaniem Jarosława

Kaczyńskiego minister Michał Dworczyk, szef KPRM.

Pozycję Morawieckiego i jego ekipy znacząco poprawił finalny wynik boju o sejmiki wojewódzkie. Jeszcze przed jesiennymi wyborami samorządowymi zakładano w PiS nieoficjalnie, że partia zdobędzie większość w góra czterech, może pięciu sejmikach. Ostatecznie, mimo że PiS nie udało się przejąć władzy w żadnym z wielkich miast, po wielu rozmowach koalicyjno-transferowych, okazało się – już kilka tygodni po zakończeniu wyborów – że PiS samodzielnie rządzi w siedmiu województwach – w tym w śląskim, w którym partii Kaczyńskiego udało się przeciągnąć do siebie radnego Nowoczesnej Wojciecha Kałużę oraz dodatkowo w koalicji z Bezpartyjnymi Samorządowcami na Dolnym Śląsku. Ten ostatni sejmik, którego przejęcie w PiS uznano za szczególny sukces, bo wcześniej region uważany był za matczynek Platformy, to zasługa przede wszystkim ministra Michała Dworczyka.

A ludzie Morawieckiego „ustabilizowanie” pozycji premiera wewnątrz PiS uznali za dobry moment, by – jak opowiadają nam politycy tej partii – pokazać stronnikom Beaty Szydło, którzy uaktywnili się po wyborach, że plotki o osłabieniu Morawieckiego są zdecydowanie przedwczesne. W połowie listopada pojawiły się wewnątrz partii pogłoski, jakoby obiecane wcześniej Szydło miejsce „wchodzące” do Parlamentu Europejskiego nie było już takie pewne, w dodatku w niektórych mediach pojawiły się liczne publikacje uderzające w wizerunek byłej pani premier, np. o tym, że pobiera wysokie wynagrodzenie, choć nie ma żadnych ważniejszych obowiązków, i że już w połowie tygodnia jeździ do domu, w dodatku rządową kolumną.

– Jest jakieś zlecenie na Beatę Szydło i co jakiś czas jest ono odnawiane – mówiła Beata Szydło na początku listopada w rozmowie z Robertem Mazurkiem na antenie Radia RMF FM. A dzień później w rozmowie na antenie internetowej telewizji wPolsce.pl dawała do zrozumienia, że ataki na nią są inspirowane przez ludzi funkcjonujących na zapleczu obozu dobrej zmiany.

– Nie boję się o tym mówić. Nie wystraszę się. Proszę o cofnięcie tego zlecenia, nie ze względu na Beatę Szydło. [...] To szkodzi naszej drużynie i warto, aby to się skończyło – mówiła Szydło. Z kolei w grudniu po raz już enty pojawiły się pogłoski o rzekomej rekonstrukcji rządu jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, na którą ma naciskać ponoć premier Morawiecki.

Efekt? Podczas jednego ze spotkań przy Nowogrodzkiej, zorganizowanego zaraz po pierwszej turze wyborów samorządowych, pojawiły się głosy domagające się zastąpienia Morawieckiego byłą premier, na co Kaczyński miał nie dać przyzwolenia.

W międzyczasie jednak sztab PiS zamówił badania popularności Morawieckiego w twardym elektoracie PiS. Okazały się zaskakująco dobre. Pokazały bowiem, że co najmniej 80 proc. zdecydowanych zwolenników PiS akceptuje syna Kornela Morawieckiego jako przedstawiciela partii, i to mimo wpadek oraz liberalnych poglądów gospodarczych. A w połowie grudnia, przy okazji sejmowego wniosku o wotum nieufności dla Morawieckiego, złożonego przez Platformę Obywatelską, premier zagrał va banque. Nie tylko odebrał opozycji

Według sondażu panelu Ariadna opublikowanego przez Wirtualną Polskę najwięcej, bo aż 43 proc., Polaków miałyby domagać się odejścia z rządu właśnie Szydło.

– Beata dostała bardzo poważne wizerunkowe uderzenia, dano jej do zrozumienia: „Bierz miejsce do PE, dopóki możesz je mieć”, a jej zaplecze, że nie warto za nią politycznie umierać. Jednak Szydło to twar- da kobieta, wyznaje zasadę, że co cię nie zabije, to cię wzmocni. Odczeka, wzmocni się i odda cios bez litości – uważa znany członek Klubu Parlamentarnego PiS.

BRUKSELA I PROBLEMY „JIZU”

Na razie nie ulega wątpliwości, że sama Beata Szydło i bliska jej frakcja „jastrzębi” są w mocnym odwrocie, a w najbliższych miesiącach, jeśli potwierdzą się plany, o których nieoficjalnie się mówi w kulu- arach PiS – dotyczące rozdziału miejsc na listach partii w wyborach do PE – pozycja radykałów wewnątrz partii znacznie osłabnie. Dlaczego? Czołówka z nich może bowiem znaleźć się na miejscach, które dają szansę na mandat eurodeputowanego.

– Premier Beata Szydło nie traktuje Parlamentu Europejskiego jako emerytury, podobnie nie myślą ludzie z jej otoczenia. Oni nie uważają, że przegrywają walkę z ludźmi Morawieckiego, lecz że wycofują się na z góry upatrzone pozycje, by wrócić w nieodległym czasie – mówi nam jedna z osób z grona „jastrzębi”.

W nieoficjalnych rozmowach w PiS spe- kuluje się, że z grona „jastrzębi” na listach wyborczych do PE mogą obok Szydło znaleźć się także m.in. Witold Waszczy- kowski oraz Krzysztof Jurgiel (w kuluarach traktuje się ich niemal jako pewniaków); niektórzy wymieniają też w tym gronie Antoniego Macierewicza, któremu władze PiS chcą znaleźć nowe stanowisko z daleka od polskiej polityki.

To jednak niejedyne osłabienie „jastrzę- bi”, jakie może nastąpić w związku z wybo- rami do PE, ponieważ w gronie osób, które mogą – o ile przekonają najpierw Jarosła- wa Kaczyńskiego, a następnie wyborców – zmienić miejsce pracy z Warszawy na Brukselę, wymienia się także najważniej- szych ludzi Zbigniewa Ziobry.

Nasi informatorzy z obozu Zjednoczonej Prawicy mówią nam, że raczej na pewno z list PiS-Zjednoczonej Prawicy do PE wy- startują Beata Kempa, zaufana Zbigniewa Ziobry, i wiceprezes Solidarnej Polski (dru- gie miejsce na liście we Wrocławiu), a tak- że Patryk Jaki, były wiceminister sprawie-

dlowości. Według naszych źródeł w gronie ziobrystów, którzy chętnie przeprowadzi- by się do Brukseli, jest także poseł Tadeusz Cymański, ale nie jest jeszcze przesądzone, czy dostanie miejsce na liście.

– Gdyby tak się stało, a najbardziej rozpoznawalni ludzie Ziobry wylecieliby do Brukseli, to pozycja Zbigniewa Ziobry w „czystej polityce” w walkach o wpływy na Nowogrodzkiej mocno by osłabła. Zostałby bowiem tu, na miejscu, sam, tylko z wiceministrem Michałem Wójcikiem i „nohejmami” bez większego znaczenia – słyszymy od działacza Solidarnej Polski.

Nasz rozmówca obawia się, że w takiej sytuacji Zbigniew Ziobro w trakcie koalicyj- nych negocjacji przed wyborami parla- mentarnymi w 2019 r. może mieć poważny problem z przekonaniem Kaczyńskiego i jego współpracowników, by po ewen- tualnie wygranych wyborach kolejny raz powierzyli mu mandat ministerialny na kolejną kadencję.

Zaskoczeniem dla polityków PiS, zwłaszcza z grupy „radykałów”, była też

wiskiem toruńskiej rozgłośni eurodeputo- wany historyk Mirosław Piotrowski, złożył w sądzie wniosek o rejestrację nowej partii o nazwie Ruch Prawdziwa Europa, który miałby wystartować w wyborach do PE.

Nowemu ciału politycznemu część mediów poświęca w ostatnich dniach sporo uwagi, próbując przedstawiać je jako alternatywę czy konkurencję wobec PiS. Tyle że polityczna rzeczywistość skrzeczy, a udziałem w partii Piotrow- skiego czy choćby stworzeniem jego koła poselskiego zainteresowania na razie nie wyrazili parlamentarzyści PiS uważani za ludzi o. Tadeusza Rydyzka. W samym obozie Zjednoczonej Prawicy ugrupowa- nie Piotrowskiego traktuje się wyłącznie jako element negocjacyjnej gry przed ostatecznym ułożeniem list. O co chodzi? O element nacisku, który miałby dopro- wadzić do tego, by PiS – podobnie jak to miało miejsce przed wyborami w 2014 r. – wpuścił na swoją listę Piotrowskiego, a także silnie związanego z o. Rydzykiem Andrzeja Jaworskiego, byłego posła PiS,

Nie ulega wątpliwości, że sama Beata Szydło i bliska jej frakcja „jastrzębi” są w mocnym odwrocie

niedawna deklaracja poseł Krystyny Paw- łowicz, jak ze śmiechem mówią niektórzy w Zjednoczonej Prawicy – „najtwardszej z twardych”, która niedawno ogłosiła na Twitterze, że od Nowego Roku żegna się z aktywną polityką. „Mój czas w polityce w te Święta dobiegł końca, teraz młodzi”. Dopytywana przez Piotra Semkę, publicy- stę „Do Rzeczy”, wyjaśniła na Twitterze, że „Nikt nie zamykał mi ust. Jestem w najlep- szych relacjach ze wszystkimi. Ale zdrowie wymaga już działań naprawczych. Starzy ludzie tak już mają. Tylko tyle”.

Z kolei z obozu „gołębi” raczej pewne miejsca na listach PiS-Zjednoczonej Prawi- cy do PE mają Adam Bielan i Jacek Żalek. Nasi informatorzy mówią, że do Brukseli chciałaby się dostać również kojarzona ze środowiskiem Radia Maryja poseł Anna Sobecka, ale szanse na to, że PiS wstawi ją na miejsce „biorące”, są dziś niewielkie.

NOVA PARTIA CZY NOWE SKRZYDŁO?

Tymczasem katolicy konserwatyści bliscy Radiu Maryja dali wyraz swojemu niezadowoleniu umiarkowaną, jak ocenia- ją, obecną polityką PiS. Kojarzony ze środo-

obecnie zawieszono w prawach człon- ka PiS, czy posłankę Gabrielę Masłowską.

– Negocjacje, a może raczej szantaż, istotny bardziej nawet przed wyborami parlamentarnymi niż europarlamentarnymi, to w polityce sygnał: „Albo dacie nam miejsca, albo urwiemy wam 2–3 proc.”, a te już w przypadku kolejnych wyborów, tych do Sejmu, może zabraknąć PiS do sa- modzielnego rządzenia – uważa członek Komitetu Politycznego PiS.

Nasz rozmówca mówi, że jeśli Nowo- grodzka porozumie się z Piotrowskim, to jego grupa mogłaby stać się w przyszłości prawym skrzydłem Zjednoczonej Prawicy. A jeśli Ruch Prawdziwa Europa pod ci- chym patronatem Radia Maryja wystarto- wałby samodzielnie w wyborach do PE? Tego działacze Zjednoczonej Prawicy dzi- siaj nieszczególnie się obawiają, zwracając uwagę, że w majowych wyborach małe, konserwatywne ugrupowanie mogłoby zdobyć maksymalnie trzy mandaty, a to sprawia, że nie jest graczem, który mógłby spowodować odpływ zainteresowanych udziałem w nowym ruchu posłów czy działaczy Zjednoczonej Prawicy.



Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl



Kamila Baranowska

Jak na co dzień funkcjonuje Mateusz Morawiecki? Jaki ma styl zarządzania i jaki jest dla swoich współpracowników?

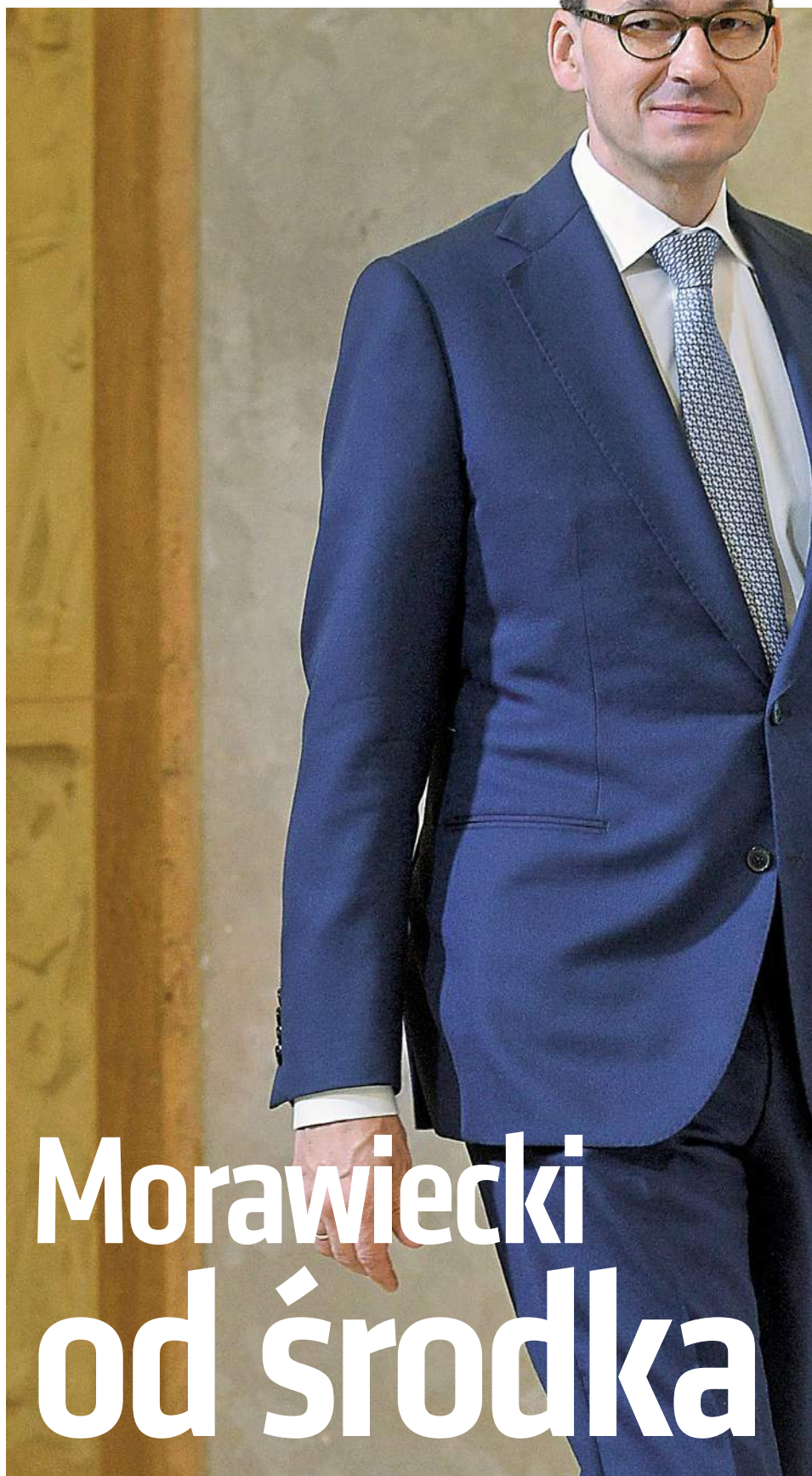
Jest jak cyborg, nie do zdarcia – odpowiada półżartem jeden z politycznych znajomych Mateusza Morawieckiego, gdy pytamy o to, jak na co dzień funkcjonuje premier.

Dzień premiera zaczyna się wcześniej. Już od godz. 7 rano wysyła pierwsze e-maile, ostatnie pisze i wysyła ok. godz. 1.30–2 w nocy. Tak samo funkcjonował, gdy był prezesem banku. Po prostu, jak opowiadają jego współpracownicy, potrzebuje mało snu, wystarcza mu jakieś pięć godzin.

Duża wytrzymałość fizyczna to, wbrew pozorom, w polityce rzecz dość istotna. I to nie tylko w kampanii wyborczej, gdy polityk jeździ po Polsce i musi wygłaszać kilka przemówień dziennie, kierując je często do mieszkańców różnych regionów. Jeden ze znajomych premiera opowiada, jak Morawiecki po powrocie z USA udał się prosto do pracy. Reszta ekipy była „padnięta”, bo podróż, bo zmiana czasu, bo intensywne rozmowy tam na miejscu. Podobnie było ostatnio, gdy po dwóch dniach spędzonych na spotkaniu Rady Europejskiej w Brukseli premier pojechał do Sejmu na debatę nad złożonym przez Platformę wnioskiem o wotum nieufności. Do godz. 22.45 odpowiadał na zarzuty posłów opozycji. Podczas swojego wystąpienia – w przeciwieństwie do Grzegorza Schetyny – mówił bez kartki.

WYMAGAJĄCY ZADANIOWIEC

Niektórzy, obserwując to, jak pracuje Morawiecki, uważają, że jest w tym pewna ostentacja neofity, bo premier ma poczucie, że wciąż musi udowadniać, iż w polityce daje radę. Komu udowadniać? Wyborcom PiS, partyjnym działaczom, parlamentarzystom, a także samemu prezesowi Kaczyńskiemu. Chociaż temu ostatniemu najmniej, bo on akurat jest najbardziej przekonany co do tego, że Morawiecki jest właściwą osobą na właściwym miejscu. Swojej decyzji powierzenia mu stanowiska premiera nie żałuje.



Morawiecki od środka



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Prezes niezmiennie uważa, że Morawiecki ma duży polityczny potencjał, choć wiele będzie zależało od tego, jak wykorzysta obecny czas. Ostatni rok pokazał zaś, że Morawiecki nie zasypia gruszek w popiele. Wykonał niemałą pracę, by przekonać do siebie partyjne doły, a także elektorat PiS, który cały czas z tęsknotą wspomina Beatę Szydło. W kampanii samorządowej jeździł od powiatu do powiatu, ścisnął ręce, pozował do zdjęć, słuchał problemów i uczył się tego, jak do ludzi mówić, by chcieli słuchać. Pierwsze efekty widać choćby w jego publicznych przemówieniach. Te z początku premierowania i te obecne dzieli przepaść, jeśli chodzi o sam styl i sposób mówienia.

Ci, którzy go znają i mieli okazję z nim współpracować, podkreślają jedno i to samo – że jest bardzo wymagający. Zarówno wobec siebie, jak i innych. Dlatego praca z nim do najłatwiejszych nie należy. Jest zadaniowcem i jeśli zleca komuś jakąś rzecz, to chce otrzymać konkretne rezultaty. Najlepiej szybko.

– Przyjście na rozmowę nieprzygotowanym i liczenie na to, że jakoś się uda to przykryć dobrym wrażeniem i laniem wody, to jak samobójstwo – opowiada jeden z naszych rozmówców. – On lubi konkret. Od razu zadaje mnóstwo pytań, dopytuje o każdy szczegół, chce znać jak najwięcej danych, porównań i statystyk. Nie ma możliwości ściemniania – dodaje. I śmieje się, że to budzi przerażenie u części ludzi z PiS.

Dlaczego? Politycy PiS są bowiem przyzwyczajeni do innego modelu uprawiania polityki. Takiego, w którym dużo się dyskutuje, rozmawia, spotyka. Nie zawsze coś z tego wynika, ale liczy się sam proces, bo w ten sposób buduje się relacje na lata. – Mateusz kompletnie tego nie rozumie, dla niego większość takich spotkań to strata czasu. Gdyby mógł, to w ogóle wszystko załatwiałby e-mailem. Niestety, z prezesem tak się nie da, choć i tak sporo z nim ustala telefonicznie, co jest postępem, bo w PiS większość wybiera jednak tradycyjną drogę pielgrzymowania na Nowogrodzką – dodaje nasz rozmówca.

E-maile premier często dyktuje, ma taką funkcję w telefonie i lubi z niej korzystać, pisząc zaś używa emotikonów, co w pierwszej chwili bywa zaskakujące dla nowych współpracowników, bo średnio pasuje do wizerunku surowego bankowca. Mimo to ów wyniesiony z banku nawyk „e-mailowego zarządzania” to z mora

ministrów – premier potrafi stać ich dziesiątki, jeden po drugim, wchodząc w wielowątkowe dyskusje i prowadząc w ten sposób rozmowy.

Przy tej okazji ujawnia się jeszcze inna cecha. – Ma skłonność do mikrozarządzania, bardzo głęboko wchodzi w poszczególne sprawy, którymi zajmują się resorty, lubi wszystko wiedzieć, wklęka się w rozstrzyganie jakichś nie zawsze istotnych sporów na niższym szczeblu. To z jednej strony bardzo imponuje Kaczyńskiemu, ale z drugiej nie wiem, czy nie pozbawia go pewnego dystansu. Koncentrując się bowiem na detalach, można stracić ogłęd sytuacji z lotu ptaka – wskazuje jeden z naszych rozmówców.

Słyszymy, że chętnie słucha innych i nie udaje, iż wie wszystko najlepiej. – Potrafi siedzieć na spotkaniu i przez 40 minut w ogóle się nie odzywać, bo ktoś o czymś ciekawie mówi. Byłem z nim kiedyś na kolacji, podczas której nagle, siedząc przy stole, wyciągnął notes i zaczął coś notować, bo zainteresował go jakiś wątek rozmowy – opowiada jego znajomy.

Jeden z polityków PiS dobrze życzących Morawieckiemu zwraca uwagę na dużą rotację ludzi w otoczeniu premiera. – Część osób nie wytrzymuje presji oraz tempa pracy i przypląca to problemami w życiu prywatnym, więc na jakimś etapie odpada, ale często jest tak, że odchodzą do innych zadań, odsapną trochę, poukładają swoje sprawy i wracają – opowiada.

Być może powodem jest to, że ludzie, których Morawiecki przyprowadził ze sobą z banku, nie zawsze dobrze odnajdują się w świecie polityki. Byli przyzwyczajeni do innego świata. – Tutaj ciągle się okazuje, że tego się nie da, tego nie wolno zwolnić, bo jest z czegoś nadania, tego nie można zatrudnić, bo coś tam, i nagle się okazuje, iż nawet premier nie może sobie poukładać spraw w kancelarii premiera po swojemu – opowiada jego współpracownik. – Pod tym względem lepiej było w Ministerstwie Finansów. Proszę spojrzeć, jak tam wszystko teraz działa. To nie kwestia mechanizmów, ale ludzi, których Mateusz powymieniał. W KPRM jest mniej swobody pod tym względem – dodaje.

ON I JEGO LUDZIE

W PiS o współpracownikach Morawieckiego mówi się z lekkim przekąsem per „młode otoczenie premiera”.

■ Z naciskiem na „młode”, co w domyśle ma oznaczać przede wszystkim niedoświadczone. Jednak w polityce umiejętność wyłuskiwania zdolnych ludzi, promowania ich, a następnie obsadzania w kluczowych miejscach jest nie do przecenienia. – U niego jest tak, że jeśli jest się dobrym, to szybko można z etapu asystenta przeskoczyć wyżej, obrać sobie konkretną ścieżkę rozwoju i iść dalej. Nie jest tak, że przez 20 lat nosi się tylko teczkę i odbiera telefon – opowiada jeden z jego bliższych współpracowników.

O swoich ludzi Morawiecki stara się dbać. Robił to, będąc w banku, robi i w kancelarii premiera. Pamięta o ślubach, chrztach, urodzinach, rocznicach. Jednemu ze swoich współpracowników jeszcze w czasach bankowych kupił na święta strój Realu Madryt razem ze wszystkimi klubowymi gadżetami, bo doszły go słuchy, że ten jest fanem i bardzo chciałby taki zestaw mieć. Z kolei podczas ostatniej kampanii wyborczej przejechał wraz z żoną pół Polski, by być na ślubie swojej asystentki.

Ludzie z jego otoczenia podkreślają, że nigdy nie widzieli go, by krzyczał na współpracowników. Gdy jest z czegoś niezadowolony, mówi o tym i każe poprawiać do skutku. W tym swoim opanowaniu, jak słyszymy, przypomina Kaczyńskiego. Prezes też rzadko pokazuje nerwy, chyba że w bardzo wąskim gronie, wtedy potrafi wybuchnąć. Morawieckiego współpracownicy krzyczącego jeszcze nie widzieli. Za to przeklinającego – owszem. Zresztą nieparlamentarny język premiera można było usłyszeć na opublikowanych przez Onet taśmach. Sam Morawiecki tłumaczył się potem w wywiadzie dla „Do Rzeczy”: „Kto nie przeklina, niech pierwszy rzuci kamieniem. Być może istnieją podobni święci, ale ja, gdy poruszam się w obszarze bardziej prywatnym, czasem użyję niecenzuralnego słowa” – podsumował.

Postowie PiS żartują, że właśnie za ten język na taśmach Morawiecki dostał największego minusa od prezesa Kaczyńskiego. Nie za to, co mówił, tylko jak. Kaczyński bowiem nie przeklina w ogóle.

– Mateusz jest specyficzny, to nie jest typ człowieka, z którym masz ochotę od razu konie kraść. Ma duże poczucie humoru, ale takie, które nie każdy od razu chwyta. Ma coś takiego w sobie, że niektórzy przy pierwszym spotkaniu się go boją – wskazuje jeden ze znajomych premiera, polityk.

Z tym właśnie wizerunkiem oschłego, nieco wyniosłego bankowca, który budzi pewien lęk, próbuje walczyć otoczenie premiera. Trudno jednak z Mateusza Morawieckiego, choćby nie wiem, jak bardzo się starał, zrobić drugą Beatę Szydło. Ilekroć próbuje się go wsadzić w jej buty – a to spot, w którym maluje jajka na Wielkanoc, a to podrygiwanie na urodzinach Radia Maryja – tylekroć nie wypada wiarygodnie. W PiS swego czasu popularny był żart, że niedługo ktoś wpadnie na pomysł, by w ramach ocieplania wizerunku premiera przypiąć mu broszkę.

Bliscy współpracownicy denerwują się, gdy pytamy ich o wizerunek premiera, bo uważają, że to, jak jest postrzegany, ma się nijak do rzeczywistości. Wymieniają liczne przykłady tego, jak angażuje się w pomoc ludziom: finansuje studia dzieci z wielodzietnej rodziny, którą poznał, będąc na urlopie, opiekuje się ludźmi z Solidarności Walczącej, którym różnie poukładało się w życiu, wspiera i finansuje mnóstwo inicjatyw społecznych, jeździł porządkować cmentarz Orląt Lwowskich, pomagał w pracach na „Łączce”. Podkreślają też, że jest normalnym facetem, takim, który nie zbliżował się do nadmiaru pieniędzy. Mówią, że nie nosi ostentacyjnie drogich garniturów ani zegarków. Lubi placki ziemniaczane. W ciągu dnia zamiast kolejnej kawy popija „miętkę”, a z alkoholi lubi nalewki i czasem wino do kolacji. Od lat w sierpniu z okazji rocznicy powstania warszawskiego przez 63 dni nie pije alkoholu w ogóle. Lubi powieści Józefa Mackiewicza i poezję Baczyńskiego, którego cytował w swoim exposé. Ma fajną rodzinę, dobre relacje z dziećmi i udane małżeństwo. Do tego piękną kartę opozycyjną i ojca, założyciela Solidarności Walczącej, z którym łączy go szczególna więź.

JAK PREMIER Z PREZESEM

Sęk w tym, że szerszej prawicowej publiczności to wszystko wciąż nie do końca przekonuje. I wyborcy PiS, i sami działacze tej partii wciąż nie rozumieją, dlaczego Morawiecki musiał zastąpić Beatę Szydło, która cieszyła się ich ogromną sympatią i zaufaniem. Skoro zmiana była z jakichś powodów konieczna, to dlaczego Kaczyński sam nie stanął na czele rządu? Dlaczego rzucił na głęboką wodę właśnie Morawieckiego, osobę spoza partii, bez politycznego doświadczenia? Nic dziwnego, że najczęściej powtarzaną odpowiedzią jest ta, iż widzi w nim

swojego politycznego następcę, być może przyszłego lidera prawicy.

Ich relacja jest specyficzna. Dużo ich łączy. Obaj pasjonują się historią i potrafią godzinami o niej rozmawiać, wchodząc w szczegóły, skacząc po epokach i przerzucając się anegdotami.

Do tego Kaczyński ceni Morawieckiego za jego idealizm i patriotyzm, który – jak uważa prezes – wynosi się z domu. – To nie jest usynawianie, jak twierdzą złośliwi, bo to nie jest relacja emocjonalna, lecz bardziej oparta na zbliżonym poziomie intelektualnym i tym samym kodzie kulturowym – ocenia nasz rozmówca. Inny dodaje, że w Morawieckim Kaczyński widzi „młodszą i doskonalszą wersję samego siebie”. Dlaczego doskonalszą? – Bo bardziej światową i znającą języki – odpowiada bez namysłu.

Jarosław Kaczyński ma do Morawieckiego zaufanie także dlatego, że ten daje mu wyraźnie odczuć, iż wie, jakie jest jego miejsce w tej układance. Konsultuje decyzje, dzwoni, pyta, nie udaje, że jest ważniejszy, niż jest. I potrafi przekonać prezesa do swoich racji. Nawet jeśli są niepopularne w partii, tak jak chociażby wyciszenie sporu z Brukselą o reformę sądownictwa.

Morawiecki, jak słyszymy, po roku intensywnej pracy i rozmaitych zakrętach (kilka dni po objęciu funkcji premiera musiał zmierzyć się z kryzysem w stosunkach polsko-izraelskich, wywołanym nowelizacją ustawy o IPN) wejścia do polityki nie żałuje. Gdyby miał decyzję podjąć jeszcze raz, byłaby identyczna. – On od dziecka żył w świecie wielkiej polityki i od dziecka jest to, obok historii, jego pasja. To nie jest tak, że jest bankierem, który zboczył w stronę polityki, to raczej wejście w bankowość było tylko pewnym etapem jego życia – tak to widzi nasz rozmówca.

Podczas wywiadu dla „Dziennika Gazety Prawnej” dziennikarze zapytali Morawieckiego, jak to jest, że tak bardzo krytykuje establishment, skoro do niedawna sam jako prezes wielkiego banku był jego częścią. – To nie funkcja oznacza, że jestem częścią tego czy innego korpusu, lecz to, co mam w głowie i sercu. Proszę spojrzeć na to, co robiłem przez 25 lat, a będziecie wiedzieć, że mój system nazywał się Polska – odpowiedział Morawiecki. Jarosław Kaczyński mu wierzy. I na razie nie wydarzyło się nic, z taśmami włącznie, co by tę jego wiarę w Morawieckiego istotnie zachwiało.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Czas na zmiany – obsługa klienta na miarę XXI wieku

Blżej klienta dzięki aplikacji mBOK PGNiG

Mówi się, że najcenniejszą walutą dzisiejszego świata jest czas. Trudno się z tym nie zgodzić szczególnie, że każdy z nas w życiu zawodowym czy prywatnym doświadcza jego braku. Być może właśnie dlatego organizacje prześcigają się w kreowaniu coraz to nowszych technologii pomagających rozwiązać problem deficytu czasu. Firmy wychodzą naprzeciw naszym oczekiwaniom i proponują nam swoje usługi w oparciu o rozwiązania mogące zaoszczędzić nasz codzienny wysiłek i czas. Jedną z takich organizacji jest PGNiG Obrót Detaliczny. Spółka w tym roku wprowadziła **mBOK** - nową platformę komunikacji, która wyznacza nowy kierunek myślenia o Kliencie i jego potrzebach.

- ✓ **Bezpieczne i łatwe** płatności elektroniczne
- ✓ **Możliwość podawania** odczytów licznika
- ✓ **Wygodny dostęp** do posiadanych umów i możliwość edycji danych

Z badań wynika, że przynajmniej raz w tygodniu dwóch na trzech dorosłych Polaków korzysta z Internetu, a ponad 89% z nich posiada smartfony. Ponadto najnowsze dane pokazują, że przeciętny użytkownik Internetu korzysta z urządzeń i usług internetowych przez około 6 godzin dziennie, co oznacza, że poświęca na ten cel około jedną trzecią życia.

i w AppStore w kategorii Biznes. **mBOK PGNiG** jest także bardzo pozytywnie oceniana przez Klientów, o czym świadczyć mogą ich opinie i komentarze w Internecie.

Dzięki nowej aplikacji Klienci zyskali jeszcze szybszy sposób zarządzania swoimi rachunkami. **mBOK** daje możliwość bezpiecznego i błyskawicznego opłacenia faktury, dokonania zmian w umowie czy podania odczytu stanu swojego gazomierza lub licznika, jak również zapoznania się z aktualną ofertą PGNiG Obrót Detaliczny. Wszystko to dosłownie na wyciągnięcie ręki, niezależnie od czasu i miejsca – mobilnie czyli niezależnie.

Z aplikacji **mBOK PGNiG** w ciągu dziewięciu miesięcy skorzystało już



Henryk Mucha,
Prezes PGNiG Obrót Detaliczny

Idea, która przyświeca temu projektowi wynika wprost ze strategii biznesowej, która definiuje rolę PGNiG Obrót Detaliczny hasłem: razem – nowocześnie - blżej Klienta.

Zgodnie z wytycznymi kierunkami rozwoju, wspieramy i rozwijamy postrzeganie naszej marki, jako zaufanego dostawcy energii dla domu i biznesu. Naszym głównym celem jest kształtowanie w świadomości Klientów pozytywnego obrazu PGNiG jako firmy nowoczesnej, podążającej za najnowszymi trendami – podkreśla Henryk Mucha Prezes PGNiG Obrót Detaliczny.



Numer „1” w sklepie Google Play w kategorii Dom oraz w kategorii Biznes w AppStore



ponad 20 000 użytkowników w niespełna 3 miesiące od udostępnienia aplikacji



2 000 pobrań dziennie

mBOK PGNiG to bezpłatna aplikacja dzięki, której wszystkie formalności możesz załatwić na urządzeniu mobilnym z dowolnego miejsca na świecie i o każdej porze dnia lub nocy. Ta nowoczesna platforma komunikacji pozwala Klientom nie tylko na zdalną obsługę, a także stwarza możliwość skutecznego dotarcia do klientów, dla których angielski termin „mobile” to nie tylko hasło, ale styl życia.

Klienci PGNiG docenili nowe rozwiązanie. Od momentu wdrożenia **mBOK** w kwietniu 2018 roku, firma notuje średnio **około 2000 pobrań każdego dnia**. To absolutny rekord jeśli odwołamy się do wyników osiąganych przez inne firmy z sektora energetycznego. W tym momencie **mBOK** jest najchętniej pobieraną aplikacją zarówno w sklepie Google Play w kategorii Dom jak

200 tys. użytkowników. Wyniki są bardzo obiecujące zważywszy na fakt, że funkcjonalności aplikacji będą wciąż rozwijane. Firma za cel stawia sobie optymalizację procesów oraz zautomatyzowanie pracy backoffice'owej. W efekcie czego nastąpi znaczące przyspieszenie realizacji dyspozycji otrzymanych od klientów, a sami klienci zaoszczędzą czas.



Agnieszka Niewińska

Karnawał w rytmie kujawiaka lub oberka? To możliwe, bo muzyka tradycyjna wraca do łask. Już niemal w każdym większym mieście organizowane są ludowe potańcówki i warsztaty, na których można nauczyć się ludowych tańców

Kalorie spożyte za świątecznym stołem wytupać na parkiecie można już przed sylwestrem. W sobotę 29 grudnia w wielu miastach Polski zabrzmiały oberki i owijoki, mazurki i kujawiaki. W Toruniu grupa „n obrotów” na zamknięcie muzyczno-tanecznej roku przygotowała potańcówkę, na której będzie można zatańczyć w parach, w kole, a także w korowodzie. Muzyka – rzecz jasna – na żywo. Łódź zaprasza na potańcówkę kołędniczą z warsztatami starodawnych kołęd, które przy akompaniamencie liry korbowej poprowadzi Janusz Prusinowski. Kiedy towarzystwo się wyśpiewa, ruszy na parkiet. „Wstęp wolny, impreza koszykzkowa, przyniesimy ostatki z wigilijnego stołu” – informują organizatorzy czyli łódzka grupa „Po Staremu” i Poleski Ośrodek Sztuki. W Krakowie 30 grudnia zabrzmiały melodie z regionu rawskiego, łowickiego i skierniewickiego. Towarzystwu do tańca będzie przygrywać kapela O!STATKI.

Chętni na sylwestra z muzyką tradycyjną skrzykują się na wspólną zabawę np. w warszawskiej kawiarni Proces Kawi. W Poznaniu rok 2019 mogą powitać w restauracji Pan Gar na Jeżycach. Na dolnym parkiecie zagrają Przodki, kapele Diabubu oraz Napięcie. Nowy rok to już zupełnie inna historia. Każdy weekend można będzie prześpiewać i przetańczyć na ludowo, tyle jest propozycji w całej Polsce.

DOSTAĆ KOTA NA PUNKCIE MAZURKÓW

– Zainteresowanie muzyką tradycyjną jest w tej chwili ogromne. W zasadzie w każdym większym mieście jest grupa, która organizuje wydarzenia związane z tradycyjną muzyką – opowiada Dominik Wółtański z toruńskiej grupy „n obrotów”, która zaprasza na potańcówki, warsztaty



Wirowanie na potańcu

tańca tradycyjnego, muzyczne zajęcia dla dzieci, a także sesje, na których można nauczyć się, jak grać do tańca. – Nie są to organizacje masowe, ale tworzone oddolnie, wspólnotowe, bo ważnym elementem jest stworzenie wspólnoty, w której muzyka i taniec służą spotkaniom ludzi. Poza tym grupy mają swoje preferencje. Jednym bardziej do gustu przypadły kujawiaki, a innym radomskie obery. Starają się też nawiązywać do starych lokalnych tradycji. Na naszych potańcówkach pojawia się zwykle ok. 50 osób, ale już na festiwalu Wszystkie Mazurki Świata bawi się nawet 2 tys. osób.

– Najlepiej bawia się oczywiście ci, którzy już mają pewną swobodę w tańcu, choć widzę też początkujących, którzy obserwują innych, sami próbują i wracają na kolejne potańcówki – mówi Mateusz Kowalski, skrzypek grający muzykę tradycyjną, który współtworzył wiele zespołów i często gra na potańcówkach. – Radość z ludowego tańca czerpie się, gdy można w pełni uczestniczyć w zabawie. Tańczy się w parze, ale i całą salą. Tańczące towarzystwo wchodzi też w interakcję z orkiestrą i na tym polega cała

fajda – mówi. To, że muzyka tradycyjna była do tej pory przez społeczeństwo zapomniana, wynika jego zdaniem z tego, że wielu osobom kojarzy się ona wyłącznie z zespołami takimi jak Mazowsze czy Śląsk. – Tymczasem ich sceniczne występy nie przypominają tego, co się działo na polskiej wsi. Tam inaczej się śpiewało, inaczej się grało, tańczyło, muzyka brzmiała inaczej. Występy ludowych zespołów na uroczystościach państwowych utrwaliły przekonanie, że to coś kiczowatego. Tymczasem jeśli pozna się tę muzykę i tradycyjne tańce, to ma się wrażenie, że się powraca do czegoś, co już się miało, ale się to utraciło dawno temu. Tradycyjna wiejska muzyka po prostu pasuje do nas, Polaków. Niektórzy badacze wiążą trójmiar tradycyjnych tańców – czyli rozliczanie ich na trzy czwarte – z tym, jak rozkłada się akcent w języku polskim. We wstępie do płyty z muzyką z Kujaw przeczytałem z kolei, że ona po prostu odwzorowuje kujawski krajobraz – opowiada muzyk.

Organizatorzy warsztatów i potańcówek z muzyką tradycyjną zapewniają, że do zabawy wystarczy chęć do tańca.



FOT. MARIUSZ CIEŻENSKI

jeśli pojawi się ktoś nowy, to z pewnością go zauważą i zaproszą do wspólnej zabawy. Często tańczy się w kole czy korowodzie, więc nie trzeba się martwić tym, że zostanie się samemu na parkiecie. Łatwiej też w grupowych tańcach przełamać barierę nieśmiałości – mówi Dominik Wóltański. Na potańcu najlepiej zjawić się w butach na płaskiej podeszwie lub z co najwyżej dwu-, trzycentymetrowym obcasem. Ubrać należy się tak, by czuć się i swobodnie, i atrakcyjnie.

Grupy organizujące potańcówki z muzyką tradycyjną od wielu lat sięgają też po tańce spoza Polski. Tego typu wydarzenia opisywane są terminem „balfolk”, który pochodzi z Francji i dotyczy zetknięcia się kultur muzyczno-tanecznych różnych regionów na jednym balu. Na grudniowym potańcu „n obrotów” oprócz tańców polskich można będzie poznać tańce szwedzkie, francuskie, bretońskie, węgierskie i portugalskie. – Pośród nich szwedzkie mają szczególne znaczenie. W XVI i XVII w. kultura polska była bardzo modna w Europie, a potem jeszcze w wieku XIX wędrowała wraz z polską emigracją. Polskie tańce do Szwecji trafiły prawdopodobnie wraz z dworem Zygmunta III Wazy. W efekcie najpopularniejszy taniec tradycyjny w Szwecji nosi nazwę „polska”. W Norwegii z kolei tańczy się bardzo podobnego do niego polsa.

JEDEN CZŁOWIEK, TYSIĄC WESEL

Zasługę w przypomnieniu nam naszych muzycznych tradycji przypisuje się Andrzejowi Bieńkowskiemu, który przez przeszło 20 lat zbierał materiały do książki „Ostatni wiejscy muzykanci”. Jeżdżąc po wsiach centralnej Polski, docierał do tytułowych ostatnich wiejskich muzykantów, którzy mogli mu jeszcze opowiedzieć o muzycznych obyczajach regionu. Zafascynowały go zapomniane wiejskie melodie i postanowił zainteresować nimi znajomych muzyków z miast. Zrobił to na tyle skutecznie, że dzisiaj niemal każda interesująca się muzyką tradycyjną grupa w Polsce szuka swoich mistrzów na wsiach, dociera do twórców tradycyjnych wiejskich instrumentów muzycznych, uczy się gry i śpiewu. Wiejscy muzykanci zostali odkryci na nowo. Dzisiaj nie tylko przygrywiają do tańca uczestnikom festiwali czy potańców w wielkich miastach, lecz także doczekali się kontynuatorów tej tradycji muzycznej.

Mateusz Kowalski uczył się muzyki tradycyjnej od nieżyjącego już Jana Gacy

– ludowego skrzypka z Radomszczyzny. Gaca nie mógł nawet zliczyć wesel, na których zagrał. Szacował je na niemal tysiąc, a o melodiach, które gra, mówił, że „ma ich tyle, co liści na drzewie”.

– Moja przygoda z muzyką tradycyjną zaczęła się na studiach. Trafiłem na ludzi, którzy się nią interesowali, i to oni mi powiedzieli, że jest taki skrzypek Jan Gaca, który wpuszcza ludzi do domu i uczy ich, jak grać. Pojechałem do niego, ale na początku niewiele rozumiałem z tego, co tam się dzieje, byłem głuchy na tę muzykę. Pamiętam nagranie jednej z kapel, które wydawało mi się kompletnym jazgotem. Dopiero gdy lepiej poznałem tradycyjną muzykę, wróciłem do tego nagrania i okazało się, że wszystko jest tam na swoim miejscu, żaden dźwięk nie jest przypadkowy. Muzyka tradycyjna okazała się niesamowitą przygodą, zupełnie w nią wsiąknęłam – mówi skrzypek.

Współczesne zainteresowanie muzyką tradycyjną nie jest wcale charakterystyczne dla seniorów. – Na nasze warsztaty i potańce przychodzą przede wszystkim ludzie młodzi. Coś się zmieniło, obserwuję, że dziś młodzież już nie wstydzi się naszej rodzimej kultury, nie uważa, że to wyłącznie domena starszych ludzi albo jedynie sceniczne występy, ale coraz chętniej ją poznaje i chce w niej uczestniczyć.

Mateusz Kowalski zwraca jednak uwagę, że dziś muzyka tradycyjna i potańcówki z mazurkami, oberkami czy kujawiakami paradoksalnie częściej są organizowane w miastach, nie na wsi. – Na wsi to zanika, odchodzi z ostatnimi muzykantami. Dlatego powstają projekty, w ramach których muzycy z miast przypominają młodym mieszkańcom wsi o muzycznych perełkach z ich regionów, dzielą się tym, czego sami się nauczyli. To często inspiruje ich do rozmów z dziadkami, ze starszymi mieszkańcami wsi. Moim marzeniem jest, by muzykę tradycyjną nie tyle ocalić od zapomnienia, ile po prostu ją grać. Ona powinna być żywa, bo choć jest staroświecka w formie, to jej przekaz jest uniwersalny. Opowiada o miłości, życiu, śmierci, codziennych problemach, które aż tak bardzo się nie zmieniły.

Ci, którzy chcieliby wybrać się na potańc, na którym do tańca przygrywa się na skrzypkach, basach, bębnie obręczowym, a może nawet na harmonii pedałowej, wydarzenie w swojej okolicy mogą znaleźć na stronie: www.muzykatradycyjna.pl.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Podstawowe umiejętności możemy nabyć na miejscu. – Dawniej na wsi nikt nie organizował kursów tańca. Obserwowało się to, jak tańczą inni, i próbowało się ich naśladować – opowiada Dominik Wóltański. – Świętej pamięci Stanisław Sieruta, mistrz, od którego uczyłem się kurpiowskiego powolniaka, opowiadał mi, że obserwował dobrego tancerza na potańcówkach, a później podczas wypasania bydła trenował kroki, chodząc wokół kijaszka. W tradycyjnych tańcach polskich charakter ruchów jest podobny do dawniejszej codziennej aktywności, np. podczas pracy w polu. Jest też sporo intensywnego wirowania w parze. Trochę się od tego kręci w głowie, ale jest to do opanowania. Za to przyjemność z tańca jest taka, że nawet tym, którzy tańczą od lat, wcale się on nie nudzi, a wręcz odkrywają coraz to nowe smaczki.

TANIEC SZWEDZKI PROSTO Z POLSKI

– Jak zacząć? Trzeba po prostu przyjść na jedno z organizowanych wydarzeń i dać się porwać do tańca. Stali uczestnicy potańcówek znajdują się między sobą, więc



„Raj” – największy obraz Tintoretta
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niebo spadło na ziemię



Wiesław Chetminiak

Gdyby Kolumb został artystą, malowałby jak Tintoretto. Włosi świętują 500. rocznicę urodzin artysty, który odkrył dla sztuki nowe terytoria

Było ich trzech: Tycjan, Veronese i Jacopo Robusti. Pierwszy już za życia uchodził za geniusza, lecz Wenecja musiała się nim dzielić z Europą. Dzieła drugiego nazywano ucztą dla oczu. Trzeci przeszedł do historii jako Tintoretto, czyli „Farbiarczyk”, bo jego ojciec barwił sprowadzane z Azji jedwabie. Dynamicznemu stylowi zawdzięczał przydomek „Il Furioso”. Postawił na sztukę akcji i emocji, w której prawa rządzące grawitacją, światłem i przestrzenią ulegały chwilowemu zawieszeniu. Z całej trójki tylko on urodził się i umarł nad laguną. Z tego, co wiadomo, wyjechał poza terytorium Republiki Świętego Marka tylko raz w życiu: do odległej o 150 km Mantui, by osobiście nadzorować zawieszenie czterech obrazów, zamówionych przez księcia Gonzagę.

Tycjan często podróżował. Na monarszych dworach czuł się jak ryba w wodzie. Gdy zdarzyło mu się upuścić pędzel, sam cesarz skwapliwie go podnosił. Salonowiec Veronese sławił uroki życia doczesnego. Jego „Ostatnia wieczerza” tak bardzo przypominała wielkopański bankiet, że sprawą zainteresowała się rzymska inkwizycja. Robusti nie był prostakiem, studiował antyczną rzeźbę, miał pojęcie o mitologii i poezji Owidiusza, Biblię zaś prawdopodobnie znał na pamięć. Na co dzień nie obracał się jednak w towarzystwie ludzi dobrze urodzonych ani wyrafinowanych.

Będąc bliżej zwykłego życia, tworzył obrazy zrozumiałe dla ludu. Sacrum i profanum sąsiadowało na nich w sposób, który nigdy nie wzbudził zastrzeżeń Kościoła. Krytyka stylu Jacopa pojawiła się w kręgach wykształconej elity. Trzeba zresztą przyznać, że miała ona racjonalne podstawy. Najbardziej wenecki z weneckich gigantów renesansu lekce sobie ważył renesansowe kanony. Tak się jednak składa, że Serenissima też była dziwnym, niepodobnym do innych miastem.

SZTUKA W ROZMIARZE XXL

Włosi hucznie obchodzą jubileusz Tintoretta, chociaż mają kłopot. Data urodzin artysty jest niepewna. Wiadomo tylko, że gdy umierał 31 maja 1594 r., liczył sobie lat 75. Jedno nie ulega wątpliwości –

przyszedł na świat w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu. Republika wenecka, zwana Królową Mórz, szczyt politycznej potęgi miała już za sobą, lecz nadal imponowała Europie swym bogactwem. Nie słabł popyt na produkty wyrafinowanego rzemiosła (a malarzy wciąż uważano za rzemieślników). Kupieckie dynastie musiały wszak udekorować nowe pałace, a Kościół nowe świątynie i klasztory. Religijne bractwa, będące tak naprawdę towarzyskimi klubami VIP-ów, rywalizowały przepychem swych siedzib. Dwa katastrofalne pożary zniszczyły wnętrza najważniejszej budowli republiki – Palazzo Ducale. Trzeba je było znowu ozdobić dziełami, świadczącymi o tym, że Królowa Mórz nie zamierza abdykować.

Na logo obchodów wybrano obraz „Zuzanna i starcy”, ozdobił kolekcji wiedeńskiego Kunsthistorisches Museum. Dzieła Ribustiego rzadko epatowały erotyzmem, ale prawa reklamy są nieubłagane. Młoda kobieta ubrana wyłącznie w biżuterię łatwiej przyciągnie uwagę turystów niż uduchowione oblicze świętego. Jubilat by to pewnie zrozumiał, bo też wyznawał zasadę „Klient nasz pan”. Umieszczał weneckich notabli w staro- i nowotestamentowych okolicznościach przyrody, za dodatkową opłatą razem z rodzinami. Takie praktyki, powszechne w Europie od wieków, nikogo nie gorszyły.

Najlepszą metodą reklamowania rocznicowych wystaw byłyby murale, gdyż mistrz specjalizował się w wielkich formatach. „Raj” z Palazzo Ducale trafił do Księgi rekordów Guinnessa. 22 metry długości, 7 wysokości – kto powiedział, że tylko małe jest piękne? Realizacja tak prestiżowych zamówień z pewnością umacniała pozycję Tintoretta w ojczyźnie, jednakże absorbowała jego energię na wiele miesięcy. Wahania artystycznej formy specjaliści przypisują jednak nie tyle zapracowaniu, ile pośpiechowi, z jakim „Farbiarczyk” tworzył (w końcu miał na utrzymaniu liczną rodzinę), oraz wyręczaniu się średnio utalentowanymi pomocnikami.

Drażliwą kwestią jest autentyzm wielu płócien. Tylko kilka razy zdarzyło się, by mistrz sygnował swe prace własnoręcznym podpisem. Istnieją podstawy, by podejrzewać, że przynajmniej niektóre dzieła, które popsęły mu opinię u potomnych, wyszły spod pędzla weneckich malarzy gorszego sortu. Historycy sztuki i konserwatorzy o detektywistycznych skłonnościach mają trudne zadanie. Ribusti tworzył pół wieku, lecz o jego życiu wiadomo niewiele. Podobno kochał muzykę i teatr, interesował się mechaniką i miał 20 młodszego rodzeństwa. Sam zaś spłodził ośmioro dzieci. Dwie córki zostały zakonnicami. Najstarsza i ulubiona (choć nieślubna) Marietta poszła w ślady Jacopa. Mówiono, że była uzdolnioną portrecistką i przyczyniła się do sukcesu rodzinnej firmy. Niestety, umarła przed ojcem i tytuł pierwszej europejskiej malarki przypadł Sofonisbie Anguissoli z Cremony.

KAMERA, AKCJA!

Pół setki obrazów i 20 grafik w 11 sach – tak prezentuje się w liczbach retrospektywa Tintoretta w Pałacu Dożów. Otwiera ją autoportret młodzieńca o baczym, świdrującym spojrzeniu, zamyka konterfekt zmęczonego starca, który niczego się już od życia nie spodziewa. Pierwszy przywieziono z Filadelfii, drugi z paryskiego Luwru. Twórcom wystawy zależało na zebraniu w jednym miejscu najlepszych dzieł „Farbiarczyka”, rozproszonych po całym świecie, kolekcjach publicznych i prywatnych. Na cztery miesiące wróciły tam, gdzie powstały.

Artystyczne credo Ribustiego najlepiej oddaje anegdota, być może zmyślona, o napisie „Rysunek Michała Anioła, kolory

Tycjana” znajdującym się na ścianie jego pracowni. Dodajmy do tego przemyślaną kompozycję, niesamowite efekty świetlne, śmiałe skrótory perspektywiczne, rozmach, dbałość o szczegóły i otrzymamy dość wierną definicję stylu Weneccjanina. Pierwsze wrażenie: na tych płótnach dużo się dzieje, dramatycznym pozom towarzyszą gwałtowne emocje. Ich autor musiał być obdarzony nie lada temperamentem.

Alegorie, sławiące cnoty rządu republiki, mogą kojarzyć się dziś z ruchem #metoo. „Minerwa broniąca pokoju przed Marsem” to klasyczne molestowanie, na szczęście zakończone fiaskiem. „Gwałt Tarkwiniusza na Lukrecji” – tytuł mówi sam za siebie. Na podłogę syją się perły z naszyjnika, zerwanego z szyi ofiary. U Tintoretta źli ludzie często mają na głowach turbany. W XVI w. Serenissima stoczyła z Turcją kilka morderczych wojen, co musiało znaleźć odbicie w sztuce. Nawet najlepszym zdarza się powtarzać. Święty Wawrzyniec grillowany na ruszcie przybrał identyczną pozę jak Helena Trojańska, porwana przez Parysa.

„Byłby świetnym reżyserem filmowym, dyrygentem orkiestry lub marszałkiem dowodzącym dowolnym rodzajem wojsk” – twierdzi z przekonaniem współkurator ekspozycji, Frederick Ilchman. Skojarzenia z kinem rzeczywistość są nieodparte. Jubilat stosował suspens na pięć wieków przed Hitchcockiem. Z efektów specjalnych najbardziej upodobał sobie lewitację. U innych malarzy fruwać umiały tylko anioły. U Ribustiego Bóg szybuje razem ze stworzonym przez siebie ptactwem, św. Augustyn spowity dymem leci zaś jak wystrzelony z armaty.

Tajniki warsztatu najlepiej zdradzają dzieła niedokończone i przemalowane. Prześwietlenia promieniami rentgenowskimi pokazały skłonność mistrza do recyklingu. Nie lubił marnować płótna, bez skrupułów przerabiał dozę na św. Katarzynę. „Narodziny” z Bostonu były wcześniej „Ukrzyżowaniem”. W warszawskim Muzeum Narodowym mamy zaś podobną admirala namalowaną na wizerunku mężczyzny w aksamitnym berecie.

Skoro o portretach mowa, „Farbiarczykowi” pozował m.in. król Henryk III Waleczny, bawiący w Wenecji po ucieczce z Polski. Częściej niż młodzieniaszków uwieczniał jednak ludzi w sile wieku: wytrawnych polityków, wzbudających respekt wodzów i szczerwanych kupców. Dzięki doświadczonej elicie Republika Świętego Marka odgrywała w Europie rolę

niewspółmierną do swego terytorium i zaludnienia. Dziwnym trafem pod odejściu heroicznego pokolenia skończyła się również złota epoka malarstwa weneckiego.

ZA WSZELKĄ CENĘ

Współcześni kpili, że celem Ribustiego jest zapełnić każdą ścianę w mieście spektakularnymi dziełami. Wystawa „Młody Tintoretto” w Gallerii dell’Accademia przywołuje czasy, gdy Tintoretto był tylko jednym z wielu. Wbrew legendzie, że pobierał nauki u Tycjana przez 10 dni, zanim mistrz go wyrzucił, wiele wskazuje na to, że Jacopo był samoukiem. Zapełniał szkicowniki rysunkami antycznych rzeźb, kopiował prace uznanych włoskich artystów.

Pierwsze zlecenia otrzymał, gdy miał 20 lat, ale zanim wyklarował się jego styl, sporo wody upłynęło w Canal Grande. Nie objawił się światu jako samorodny geniusz. Uznanie przyszło dopiero po dekadzie. Od początku towarzyszyły mu kontrowersje oraz oskarżenia o uprawianie agresywnego marketingu i nieuczciwej konkurencji. Ponoć dowiedziawszy się o kontrakcie zawartym przez innego malarza, proponował, że zrobi to samo, ale szybciej i taniej.

Z 60 eksponowanych dzieł mniej niż połowa wyszła spod pędzla Ribustiego. Z konfrontacji z pomysłami rywali (przedwcześnie zmarły Pordenone, Paris Bordone czy Andrea Schiavone) nie zawsze wychodzi zwycięsko. Wpływ na wczesną twórczość Jacopa wywarli też przybysze z Toskanii, którzy dali młodym Weneccjanom lekcję wyrafinowanego, dworskiego stylu.

Pierwszy sukces zaliczył, gdy Pietro Aretino, przyjaciel Tycjana, który dla XVI-wiecznej Italii był wyrocznią, kimś w rodzaju Woltera, zamówił u niego dwa obrazy do własnego domu. Przy okazji raczył jednak skrytykować Tintoretta za nadmierny pośpiech i niestaranność. Ta opinia będzie się za nim wlokła. Giorgio Vasari, biograf włoskich artystów, ubolewał: „Gdyby nie zszedł z utartego szlaku, lecz kontynuował piękny styl swych poprzedników, zostałby jednym z największych malarzy, jakich widziano w Wenecji”.

CIAŁA W RUCHU

Przełomem w karierze Ribustiego okazał się „Cud uratowania niewolnika” z 1548 r. Dzięki protekcji teścia dostał zlecenie na malowidło do kapitułarza Scuola Grande di San Marco. Tytułowy niewolnik

■ samowolnie udał się z pielgrzymką do relikwii patrona Wenecji, za co został przez swego pana skazany na męczarnie. Święty nie mógł dopuścić, by pątnikowi stała się krzywda, więc interweniował.

Na obrazie ewangelista, niczym komiksowy Superman, pikuje z obłoków. Nikt go nie dostrzega, wszyscy gapią się na niesłychane widowisko. Kat w bezradnym geście demonstruje panu połamany młotek. Na ziemi leżą inne, równie beużyteczne narzędzia tortur. Scena teatralna co się zowie, lecz Włosi zawsze kochali teatr. Dla Tintoretta najważniejsze są jednak ciała, ich dynamika, napięcie mięśni. Malował je nagie, dopiero potem „ubierał”.

Perspektywę długiego korytarza Akademii zamyka wielki obraz, przypominający, jak zwłoki św. Marka trafiły do weneckiej bazyliki. W 828 r. chrześcijańscy żeglarze wykradli je z egipskiej Aleksandrii, prawdopodobnie przekupując muzułmańską straż, lecz „Farbiarczyk” przedstawił ów epizod w konwencji godnej kina grozy. Na niewiernych próbujących zatrzymać złodziei Bóg zsyła coś w rodzaju trąby powietrznej. Niesamowitym efektem świetlnym towarzyszy widmowa kolorystyka. Muskularne ciało ewangelisty ma w sobie więcej życia niż ludzie cienie, kryjące się pod arkadami przed szalejącym żywiołem.

„SUPERSTAR Z LAGUNY”

Takim tytułem anglojęzyczna gazeta dla turystów zachęca do wędrowania szlakiem Tintoretta. Gra jest warta świeczki: ponad sto dzieł mistrza pozostało w weneckich świątyniach i pałacach, z okazji jubileuszu część z nich poddano konserwacji. Odnowiono też grób malarza w kościele Madonna dell’Orto. Chętnych uprzedzam, że taka artystyczna pielgrzymka jest czasochłonna i dość kosztowna. Minęły bowiem czasy, gdy obiekty sakralne można było zwiedzać bezpłatnie. Jeśli nawet wejście jest darmowe, to trzeba wrzucić monetę, by reflektor rozjaśnił mroczne wnętrza

kaplicy. Na tej zasadzie w kościele San Moisè dostępne jest „Obmywanie nóg”. Mimo wszystko warto. W muzeach obrazy są może i lepiej wyeksponowane i podświetlone, jednak wyjęte z naturalnego kontekstu.

Opus magnum Ribustiego znajduje się w Scuola Grande di San Rocco, siedzibie bractwa w XVI w. skupiającego najbogatszych i najbardziej wpływowych oby-



„Tarkwinius i Lukrecja”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wateli Wenecji. Parter i piętro zdobi cykl 56 monumentalnych religijnych malowideł z oszałamiającym „Ukrzyżowaniem” na czele. Jeśli ktoś chciałby wywołać ducha mistrza, jest to właściwe miejsce: pracował nad jego dekoracją przez 23 lata. Po drugiej stronie ulicy w kościele św. Rocha czeka deser: pięć obrazów poświęconych patronowi chorych. Największy w prezbiterium, dokumentujący różne stadia zarazy. W nawie Chrystus, uzdrowiwszy paralytyka, pochyla się nad cierpiącą kobietą, za nią tłoczą się następni petenci.

W zakrystii Santa Maria della Salute „Gody w Kanie Galilejskiej”, tuż przed cudem. Gospodarze zaniepokojeni brakiem wina, służący wnoszą stągwie z wodą. W Santa Maria Mater Domini, świątyni, której fasada porośła trawą, eleganckie towarzystwo przygląda się odnalezieniu

Krzyża przez św. Helenę. Na szlaku Tintoretta można podziwiać siedem różnych wersji „Ostatniej wieczerzy”. W zakrystii Santo Stefano na pierwszym planie artysta umieścił psa, dziecko z kotem i służących. W San Polo Jezus w geście przywodzącym na myśl ukrzyżowanie obiema rękami podaje chleb przyszłym apostołom. W San Trovaso – zagadka. Który z biesiadników, wstrząśniętych słowami syna Bożego, jest Judaszem? W tym samym kościele cztery rogate demony molestują św. Antoniego. Na odsiecz pustelnikowi (z twarzą sekretarza weneckiej Rady Dziesięciu Antonia Milledonne’a) przybywa sam Chrystus, spadający z chmur niczym jastrząb. Są tu też dwa obrazy Domenica Ribustiego, który po śmierci ojca przejął jego pracownię.

BOHATER NASZYCH CZASÓW

Najzdolniejszych następców „Farbiarczyk” znalazł poza ojczyzną. Rubens, El Greco, Velázquez i Delacroix byli pod wrażeniem jego artystycznej odwagi. XVII-wieczny historyk porównywał Wenecjanina do Kolumba, odkrywającego nowe światy. John Ruskin, guru XIX-wiecznej krytyki sztuki, wyznał, że dopiero po wizycie w Scuola Grande di San Rocco „przytłoczony do ziemi przez Tintoretta”

zrozumiał, czym jest malarstwo. Gdy najważniejszym kryterium stało się nowatorstwo, grzech manieryzmu, odstępstwo od tradycji zamieniły się w cnoty.

„Niestrudzony w poszukiwaniu możliwości, niezłomny w szukaniu nowych pomysłów, bez granic w kreatywności” – zachwalają jubilat kuratorzy wystawy w Pałacu Dożów. Pisarz Henry James powiedział: „Tycjan był boskim poetą, ale Tintoretto prawie prorokiem”. Ta ostatnia opinia chyba najbardziej uszczęśliwiłaby sztukmistrza z Wenecji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawy „Tintoretto” w Palazzo Ducale i „Młody Tintoretto” w Gallerii dell’Accademia zostaną zamknięte 6 stycznia. Obrazy i obchody 500-lecia przeniosą się do Waszyngtonu.

Śmierć libertyna



Krzysztof Masłoń

W teatrze prowokował bardziej niż w kinie, w polityce bardziej niż w teatrze. Pozostały pytania, na które Kazimierz Kutz już nie odpowie



FOT. MIŁOJA STRZIŃSKI / NEWSVIEW POLSKA / FORUM

Jego „Piątą stronę świata”, w dużej mierze autobiograficzną powieść (Kazimierz Kutz nie tylko kręcił filmy) poprzedza motto podpisane nazwiskiem przyjaciela narratora. Brzmi tak: „Kiedy umrę, będę maleńki jak neutrino, a zamknę w sobie cały kosmos, bo on z mojej maleńkości się wzięł, a moja nadwrażliwość z niego się wzięła. Dziełem mojego myślenia podporządkowałem go sobie. Ukazałem mu Boga absolutnego za pomocą mojej wyobraźni i takim, jakim Go pokazałem, pozostanie na zawsze w bierności i w istnieniu. Dałem mu swoją osobowość, która jest maleńka jak neutrino. Bo taki jestem maleńki”.

Zbigniew Zamachowski też jest nieduży, ale pewnie nie tylko dlatego tak świetnie wpasował się w tytułową rolę w „Zawróconym” (1994), jednym z najlepszych filmów Kutza, opowiadającym o prostaczku przemielonym przez tryby historii, między które dostał się absolutnie przypadkowo. Ten śląski plebejusz trafia na manifestację Solidarności w charakterze szpicla z zadaniem sporządzenia donosu dla władz, ale aresztowany i pobity przez milicję, niezrozumiany i odrzucony przez rodzinę całkowicie zmienia poglądy. Oparcie znajduje w społeczności parafialnej, pomaga w budowie kościoła, a w ostatniej scenie filmu wymierza sprawiedliwość swemu dawnemu sąsiadowi, milicyjnemu dzielnicowemu, na kopach wyrzucając go ze świątyni.

Reżyser mówił później, że chciał, „żeby z filmu tego powstała mała alegoria sytuacji Polaka”. I to mu się udało, ukazując jednak przemianę swojego Tomusia-konformisty, czarno na białym dowiódł oczywistej oczywistości, że gdzieś jak gdzieś, ale na jego ojczystym Śląsku ludzie wiedzą, iż w godzinie próby liczyć można tylko na Tego, który nie zawiedzie – na Pana Boga. Reżyser też mógł się o tym przekonać po 13 grudnia 1981 r., gdy internowany – jak miało się okazać, za utrzymywanie niewłaściwych kontaktów z KOR-owcami i współudział w organizowaniu Kongresu Kultury Polskiej – po tygodniu został wypuszczony po interwencji bp. Henryka Bednorza.

Pozostał jednak ateistą i to wojującym. Twierdził wprawdzie, że na swój ateizm dostał niejako pozwolenie od swej „superkatolickiej” babki („bądź tylko porządnym człowiekiem”), ale to tylko rzeczna opowieść. Kwestia wiary to jednak sprawa wyłącznie między Zmarłym a Panem Bogiem i nam nic do tego, ale szlag mnie trafiał, gdy w co drugim wywiadzie, a udzielał ich w pewnym czasie stanowczo za wielu,

■ czy w autorskim felietonie powtarzał niczym mantrę, że jego „anioł stróż ma skłonności do libertynizmu”. Im był starszy, tym libertynizm ten był coraz bardziej wyleniały, a widok zasłużonego reżysera na Paradzie Równości w przyciasnym podkoszulku z napisem: „Mam dwóch tatusiów” bardziej budził niesmak, niż bawił. Do kościoła co prawda nie chodził, ale wiedział, że „polski nacjonalizm jak żaden inny w Europie jest zaszczipiony w parafach. Wszystkie rozstrzyga się na ambonie. A ołtarz wstępuje złą pamięć”. Takie cytaty można mnożyć, tylko po co?

KAZIU, ZAKOCHAJ SIĘ

Krzysztof Mętrak utrzymywał, że Kutz ma talent pomnikowy, w przeciwieństwie do Wajdy czy Munka – talentów, cokolwiek by to miało znaczyć, destrukcyjnych. Wspólnie tworzyli polską szkołę filmową, w której numer jeden przypadł Wajdzie, z czym Kutz nie bardzo chciał się pogodzić, co nie wyszło mu na dobre, bo np. niezależnie od jego rzeczywistych zasług i pracy włożonej w realizację „Kanału” był przy Wajdzie drugim reżyserem, i tylko drugim. A że pan Andrzej potrafił wykorzystywać swoich współpracowników do bólu, to inna sprawa i w końcu też umiejętność. Wątek ten można spuentować zdaniem, że jeśli nawet przez Wajdę Kutz nie zdobył dyplomu łódzkiej filmówki (za pracę dyplomową posłużyć miały właśnie wyreżyserowane przez Kutza fragmenty „Kanału”), to i bez niego jakoś sobie w życiu poradził.

Już początki miał więcej niż obiecujące. Jakże inny był realizm trzech nowel „Krzyża Walecznych” (1959) od rozpoetyzowanych wizji i patosu Wajdy oraz od groteski i ironii Munka, jest za to proza życia i głęboka prawda psychologiczna. Zdumiewa nowatorstwo następnego filmu Kutza – „Nikt nie woła” (1960), w istocie innej wersji historii Maćka Chełmickiego z „Popiołu i diamentu”, który tym razem odmawia wykonania wyroku wydanego przez podziemie. Ciekawe, że walory tego obrazu dostrzeżono z dużym opóźnieniem; po premierze posypały się na twórcę gromy, a autor scenariusza – Józef Hen – zdystansował się od reżysera publicznie, nie tylko dlatego przecież, że akcję filmu przenieść trzeba było z Uzbekistanu na ziemie zachodnie.

Lata 60. przyniosły kolejne niezłe, choć też niedocenione filmy, takie jak odwołujący się do okupacji realistyczny obraz „Ludzie z pociągu” (1961), zrealizowany na kanwie reportażu Krzysztofa Kąkolewskiego „Ktokolwiek wie...” (1966) czy „Skok”

(1967), rzecz o marnowaniu ludzkiego wysiłku w PGR-owskiej rzeczywistości polskiej wsi z Olbrychskim i Opanią w rolach głównych. Przytrafiały mu się i knoty, takie jak „Tarpany” (1961), które należało zapomnieć zaraz po obejrzeniu, czy przeniesiony na ekran Kabaret Starszych Panów, czyli „Upał” (1964), po którym pamiątką pozostała jedynie uroczą piosenką śpiewaną przez Zofię Kucówną „Kaziu, zakochaj się”, adresowana do, rzeczywiście, znanego z romansów reżysera.

SMUTNI I OŚWIECENI

Generalnie jednak, o czym później wspominał, prowadził wtedy Kutz żywot może i barwny, ale nie przynoszący profitów ani materialnych, ani artystycznych, a przy tym szkodliwy dla zdrowia. W końcu brat ściągnął go na Śląsk i ten powrót wygnańca do korzeni okazał się dla reżysera zbawienny w skutkach. Doszło bowiem do powstania „Soli ziemi czarnej” (1970), w której dla opowieści o powstaniach śląskich (ojciec twórcy brał udział w trzecim powstaniu, a za prototyp głównego bohatera filmu posłużyła mu postać wuja) znalazł jakże szczęśliwą formę ballady, zderzając polską tradycję romantyczną ze śląskim pragmatyzmem, który sprawiał, że jego bohaterowie idą do powstania niczym na górniczą szczytę.

Uzyskał Kazimierz Kutz poparcie dla swojego filmu przede wszystkim od wojewody katowickiego, Jerzego Ziętka, też powstańca, który śląskie klimaty czuł jak mało kto. Nieprzypadkowo premierę filmu urządzono w rocznicę „oswobodzenia” Katowic przez Sowietów. W Polsce kończyła się epoka Gomułki, wkrótce do stolicy miał dotrzeć pociąg ze Śląska właśnie. Trudno było o lepszy, wygodniejszy dla władz temat. A przy tym, o czym pamiętano, w 1968 r. Kutz publicznie skrytykował sposoby, w jakich dochodzi się w Polsce do realizacji filmów, kto o tym decyduje i jaką rolę odgrywają kierownicy literaccy. Krytyka ta, niezależnie od intencji autora, utrzymana była w tonie oraz retoryce marcowej i, po latach, Tadeusz Konwicki przypomniał niewygodną dla Kutza prawdę: „Moczarowcy potrzebowali jakiegoś symbolu w filmie, jakiegoś chrześcijanina skrzywdzonego przez Żydów. Człowieka z ludu, którego wykończyła czy uniemożliwiła mu karierę warszawka. Kazio został przez nich wyniesiony na rękach”.

Ten „człowiek z ludu” na starość z ludu tego mocno się jednak wyobcował, wyzywając swoich politycznych przeciwników

od „ciemniaków” i „motłochu”, rzekomo napszczanych przez Jarosława Kaczyńskiego na „bogatszych i mądrzejszych”. Odnosnie do swojej osoby wyliczał: „Zrobiłem 70 filmów i teatrów telewizji. Ważne są konkrety. To, czego się dokonało. Niczego nie muszę się wstydzić”.

O wstydzie to i mowy nie ma, ale następującą polityczną wypowiedź twórcy „Pułkownika Kwiatkowskiego” trudno potraktować serio: „Na naszych oczach toczy się walka siemierznego, starego, ponurego i smutnego nacjonalizmu jagiellońskiego z tą małą grupą oświeconych liberałów”. Zwłaszcza ten jagielloński nacjonalizm robi wrażenie, nieprawdaz?

A wracając do filmów Kazimierza Kutza, to, oczywiście, sukces „Soli ziemi czarnej” postanowił reżyser zdyskontować drugim śląskim obrazem – „Perłą w koronie” (1972), dziejącą się w II Rzeczypospolitej, w której np. znany z „Soli...” przywódca peowiackiej grupy powstańców jest już tylko bezrobotnym, toczy się wielki strajk, w ogóle żyje się marnie. Film jest jednak bodaj jeszcze piękniejszy od poprzedniego, sławi dawną kulturę tego regionu, po części też proletariacką, ale na pewno sakralizującą rodzinę, pracę, dom.

Gierkowska dekada przynosi jeszcze, przed dopełnieniem śląskiej trylogii, dwa filmy Kutza, których winien się wstydzić: „Linie” (1974) i „Znikąd donikąd” (1975). Ten pierwszy to, charakterystyczna dla swojej epoki, historia partyjnego działacza (konkretnie I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR) ukazanego w zwarciu z kliką miejscowych notabli, no, dramat. Dla porównania w tym samym czasie Kazimierz Orłoś w podobnej opowieści nie zgodził się na zrobienie z partyjnego sekretarza pozytywnego bohatera, a w roli czarnej owcy obsadzenia pomniejszego z bonzów i swoją „Cudowną melinę” musiał wydać u Jerzego Giedroycia w Paryżu. Kazimierz Kutz nie mógł swego filmu nakręcić gdzie indziej, ale kto w końcu kazał sięgać mu po powieść Jerzego Wawrzaka (to też musiało być arcydzieło!) i przenosić ją na ekran, gdzie sąsiadowała z równie odkrywczym dziełem Bohdana Poręby „Gdzie woda czysta i trawa zielona”. Tylko że tamten to był ten straszny Poręba, później od „Grunwaldu”, wyszydzany przez Bareję w „Misiu”, a tu był „nasz Kazio”. W każdym razie za „Linie” nagrodę na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych dostał jedynie Wojciech Kilar za muzykę. A reżysera, żeby nie rozpaczął, władze uhonorowały Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Z kolei „Znikąd donikąd” jest regularną propagandą antyakowską, przedstawiającą losy – dziś powiedzielibyśmy – żołnierzy wyklętych, którzy jesienią 1945 r. schodzą z gór do jednej z wiosek Żywiecczyny. Tu też następuje ostateczna ich klęska. Nad filmem należy spuścić zasłonę milczenia, ale może warto odnotować, że wiele lat później senator Kazimierz Kutz będzie przeciwny czczeniu Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

„Paciorki jednego różańca” (1980) – w przeciwieństwie do dwóch pierwszych części śląskiej trylogii Kutza – oglądało się bez specjalnej przyjemności, były nudnawe, nie do końca wydawały się prawdziwe (bohater odmawiający zamiany swojego zakichanego domku na wypasioną willę jest postacią z tysiąca i jednej nocy, a nie z, powiedzmy, Szopienic). A jednak w swoim czasie stanowiąc podzwonne dla epoki Gierka, raczej nieoczekiwanie zasygnalizowały coś, co dzisiaj widzimy znacznie wyraźniej niż wtedy. Przenikliwy krytyk, jakim był Krzysztof Mętrak, na początku lat 90. zeszłego stulecia wskazywał na paralele między „Paciorkami...” a innym, niedocenionym filmem – „Awansem” Janusza Zaorskiego, utrzymując, że ukazują one, „jak pozbawia się pewną społeczność autentyczności, przeszłości i wewnętrznej spójności za pomocą administracyjnych nakazów i woluntarystycznych zapędów. Napis w wiejskiej świetlicy: »Najważniejsza jest dla nas telewizja« i czyjs euforyczny okrzyk: »będziemy żyć jak w telewizorze« – ilustrują tę tezę, że dla ideologów i technokratów postępu nic nie znaczy tak groźne zjawisko jak zatrata przez zbiorowość kulturowej tożsamości. Każdy, kto dostrzega niepowściągniętą tępotę odnoszącego się do żywej materii życia społecznego, linearnego pojęcia postępu, to znaczy takiej jego wizji, która usiłuje zetrzeć – jak gumką myśzką – pielęgnowaną przez lata tradycję, przeszłość z całym jej majątkiem i osobliwością, odczuwa to niebezpieczeństwo rozerwania łańcucha ciągłości, która danej społeczności zapewnia poczucie bezpieczeństwa i nadrzędnego ładu. O tym mówiły »Paciorki...«, o tym napomyka »Awans«. Nie dostrzeżliśmy tego przed laty, bo nie mogliśmy dostrzec. Jak Boga Kocham, czuliśmy, że nam się polepsza”.

CO BOLI, CO WZRUSZA, CO TYLKO ZŁOŚCI

Nie polepszało się za to Kazimierzowi Kutzowi, który – już jako główny reżyser śląskiego ośrodka TVP – skonfliktował

się z I sekretarzem KW PZPR w Katowicach, Zdzisławem Grudniem. Zbliżył się więc do środowiska opozycji demokratycznej i struktur Solidarności (do której jednak nie wstąpił), a już po tym, jak go na krótko internowano, a czołgi rozjechały KWK „Wujek” i połała się krew, zrezygnował z piastowanych stanowisk i w telewizji, i w Zespołach Filmowych. A jeszcze, zdawałoby się, niedawno zapraszano go w sprawach kultury na narady do Komitetu Centralnego, gdzie zdarzało mu się psy wieszać na swym mało zdolnym, za to uparcie realizującym swoje niedobre filmy Stanisławie Barei. To Kutz wymyślił ten zgrabny termin „bareizm”, odnoszący się do sztuki filmowej pozbawionej większych ambicji.

W połowie lat 80., ponoć dzięki przychylności gen. Kiszczaka, ponownie przeprowadził się z Katowic do Warszawy. W ciągu dziewiętej dekady zeszłego wieku nakręcił nie bardzo udane „Na straży swej stać będę” (1983) – o antyhitlerowskich konspiratorach na Śląsku i „Wkrótce nadejdą bracia” (1985), ekranizację dramatu Janusza Krasińskiego. Znacznie bardziej owocne miało stać się następne dziesięciolecie, znaczone „Za-

Po tym, jak go na krótko internowano, a czołgi rozjechały KWK „Wujek” i połała się krew, zrezygnował z piastowanych stanowisk i w telewizji, i w Zespołach Filmowych

kręconym” i „Śmierć i jak kromka chleba” (1994), martyrologiczną opowieścią o pacyfikacji kopalni Wujek, w której ani przez moment nie czujemy nadmierne-go, często trudnego do zaakceptowania patosu. Tutaj wszystko jest na miejscu, wszystko boli i wzrusza i tylko niepodobna pojąć, jak ten sam człowiek, który – jak mawiał – musiał ten film zrealizować, bo był go winny Ślązakom, mógł potem wielokrotnie przekonywać, że gdyby nie stan wojenny, byłoby znacznie gorzej, a komunistyczni generałowie uratowali nas przed bratobójczą wojną.

Udany, komediowy, ale i dotyczący dramatycznych kart naszej historii najnowszej „Pułkownik Kwiatkowski” i serial według Jarosława Iwaszkiewicza

– „Sława i chwała” (1997) – zamykają filmowy dorobek Kazimierza Kutza. Z realizacji spektakłów telewizyjnych ułożyć można by bardzo długą listę, a musiałyby się na niej znaleźć m.in.: „Opowieści Hollywoodu” Christophera Hamptona, „Samobójca” Nikołaja Erdmana, „Antygoną w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego, „Wielebni” Sławomira Mrożka i „Do piachu” Tadeusza Różewicza. W teatrze prowokował bardziej niż w kinie, w polityce, którą zajmował się czynnie od roku 1997, bardziej niż w teatrze. Tyle że jego aktywność na Wiejskiej była znikoma, za to szerokim echem odbijało się to, co miał do powiedzenia. A zawsze miał. Do partii nie należał, kandydował z różnych list, także swojej – osobistej. Był członkiem komitetów wyborczych na prezydenta – Włodzimierza Cimoszewicza i Bronisława Komorowskiego. W 2010 r., solidaryzując się z Januszem Palikotem, opuścił Klub Parlamentarny Platformy Obywatelskiej, wspierając „palikociaranie”, co nie przydało mu się w ostatnich wyborach, w których startował – do Parlamentu Europejskiego w roku 2014. Uzyskał kiepski wynik, do czego nie był przyzwyczajony, gdyż we wcześniejszych rywalizacjach politycznych osiągał senatorskie mandaty z łatwością. Był też senatorem aż przez cztery kadencje, a przez jedną posłem.

Swego czasu bezapelacyjnie zwyciężył w nie za mądrym plebiscycie „Gazety Wyborczej” na najwybitniejszego żyjącego Ślązaka. Z pewnością żył sprawami Śląska, niezależnie od tego, na ile stały się one trampoliną dla jego kariery. Do czasu był w tym, co mówił i robił, bardzo wiarygodny, czy się jego wypowiedzi podobają, czy wręcz przeciwnie. Poważne wątpliwości powstały wtedy, gdy wsparł Ruch Autonomii Śląska. „Autonomia nie jest przestępstwem – przekonywał. – Umniejsza tylko władzę państwa na korzyść demokracji obywatelskiej. Im mniej państwa, tym lepiej dla ludzi. W końcu Polacy to rozumieją...”

Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Kolejny Franciszek Kuc, ojciec Kazimierza Kutza, walczył w powstaniu nie o Śląsk autonomiczny, ale o polski Śląsk. Trzeba zresztą być sprawiedliwym; reżyserowi euforia związana z poczynaniami rasiowców dość szybko przeszła. Pytania jednak pozostały. Już ich nie zadamy. 18 grudnia Kazimierz Kutz zmarł w szpitalu w podwarszawskim Międzyzlesiu. Miał 89 lat.



„Bolesław Śmiały (Prawy)”
– figura z brązu autorstwa
Stanisława Szukalskiego FOT. WIKIPEDIA

Polski „dziadek” DiCaprio



Łukasz Zboralski

Hollywoodzka gwiazda stoi za filmem, który do polskiej popkultury wprowadza zapomnianego artystę – Stanisława Szukalskiego. Kim był Stach z Warty marzący o nowej sztuce narodowej?

W Muzeum Miasta i Rzeki Warty jest takie zdjęcie: roześmiana rodzina na kanapie. Dwie kobiety z kieliszkami wina w dłoniach i starszy pan, też roześmiany, który przytula obejmującego go chłopca. Ten białowłosej kilkulatek z grzywką obciętą „na miskę” to dziś wielka gwiazda hollywoodzkiego kina – Leonardo DiCaprio. A przytulający go z uśmiechem „dziadek” to Stanisław Szukalski, emigrant z Polski, artysta, który więcej zrozumienia dla swojej sztuki znalazł poza Polską. Chociaż to może źle powiedziane. I w kraju wiadano, że jest oryginalny i ciekawy, tyle że nie za bardzo go lubiono – a zwłaszcza mocno załaził za skórę innym artystom i krytykom sztuki.

Historia, która kryje się za tą fotografią, doprowadziła do powstania filmu kupionego przez Netflix. Obraz o Stachu z Warty, jak sam określał się artysta, wyprodukował Leonardo DiCaprio wraz ze swym ojcem George’em. To właśnie tata aktora, rysownik komiksów, poznał nietuzinkowego rzeźbiarza z Polski. Nieraz gościł w pracowni Szukalskiego i zabierał tam swojego małego syna.

Leonardo DiCaprio już wcześniej przypominał sztukę Polaka, był m.in. jednym ze sponsorów pośmiertnej wystawy dzieł artysty zatytułowanej „Zmagania”, którą pokazano 18 lat temu w Laguna Beach.

Teraz postawił na film. Jego tytuł – „Walka: życie i zagubiona sztuka Szukalskiego” – dobrze oddaje percepcję artysty nad Wisłą. W masowej wyobraźni Szukalski w Polsce nie istnieje. A szkoda. I być może dzięki tej produkcji to się zmieni.

ROGATE SERCE

Tak barwną postać jak Szukalski trudno ująć w kilku zdaniach. Wymyka się z każdej szuflady, do której chciałoby się go upchnąć. Był „jakiś”. Nawet chód miał charakterystyczny. Szerokie, zdecydowane kroki zdaniem znajomych Szukalskiego wykształcił w nim ojciec, bo od dziecka traktował go z pełną powagą i nawet na spacerach szedł z nim krokiem dorosłego, za którym mały Staś musiał nadążyć.

Rodzina wywodziła się z Warty. Dziadek Szukalskiego zajmował się podobno rybołówstwem. Miał być tak twardym mężczyzną, że z braku lekarskiego ratunku sam odrąbał sobie chorą nogę. Ojciec Szukalskiego – Dyonizy – odważnie szukał swojego szczęścia na świecie. Z Polski trzymanej w garści przez zaborców wyjechał z żoną do Brazylii. Po powrocie ruszył z kolei do Afryki Południowej,

gdzie walczył w II wojnie burskiej przeciw Brytyjczykom. Po kolejnym powrocie zabrał rodzinę do USA.

Szukalski już jako 15-latek objawił spory talent do rzeźby. Rodzina wysłała go więc na studia do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jego harda dusza – swój rodzaj grupy artystycznej nazwie potem Szczep Rogate Serce – szybko dała o sobie znać. W pracowni prof. Laszczka nie chciał rzeźbić modeli. Szedł własną drogą. A gdy profesor chciał dokonać korekty w jego pracy, stanął odmówił. Oburzył tym nauczyciela i podobno nawet dyskutowano, by wywalić go z uczelni. Pozwolono mu jednak dalej tworzyć własne dziwne rzeźby. Zaczęto też dostrzegać ich wagę – młody artysta był nagradzany, a jego prace wystawiano razem z pracami takich gigantów jak Witkiewicz.

Niechęć do kopiowania dawnych wzorów z latami tylko w nim narastała. Lekcewał się nowoczesną sztuką zachodniej Europy i drażniło go jej kopiowanie przez polskich artystów. Już po odzyskaniu niepodległości, gdy po pobycie w Stanach, po szkole artystycznej w 1924 r. przyjechał do Polski, marzyła mu się raczej nowa droga – szukanie sztuki narodowej i czerpanie do niej z elementów słowiańskich.

Zauważony już w USA (w 1923 r. w Chicago wydano jego pierwszą monografię) nad Wisłą trafił na mur niechęci. Jak wynika ze wspomnień jego znajomego – malarza Mariana Ruzamskiego – kierownik zbiorów państwowych wzgardził przywiezionymi z USA pracami, które artysta chciał ofiarować państwu. Powodem miał być fakt wykonania ich w gipsie, a nie szlachetnym materiale. „Ci panowie nie wiedzą, że szlachetność wyraża się w formie, a nie w materiale” – miał mówić przyjacielowi.

SKANDALISTA OD ZERMATYZMU

Wystawił swoje prace w Zachęcie i podobno wzbudził poruszenie wśród artystów i publiczności, ale oficjalnie go nie chwalono. Potem przeżył musiał jeszcze gorsze upokorzenia. Dostał pierwszą nagrodę w konkursie na projekt pomnika Mickiewicza w Wilnie. Komisja oceniła pracę jako najlepszą pod względem pomysłu i najdrobniejszych detali. Potem jednak monument zamówiono u innego artysty. Taki sam los spotkał nagrodzony projekt Szukalskiego na złotego polskiego, w którym umieścił głowę Kopernika.

Szukalski przeniósł się do Krakowa. Z artystyczną elitą Towarzystwa Sztuk Pięknych miał już taki zatarg, że jego zna-



Stanisław Szukalski (z lewej podczas wystawy swoich prac. Z naszym emblematem rogatego serca) czasem opiekował się małym Leonardo DiCaprio pod nieobecność jego rodziców FOT. NAC, ARMANDO GALLO/ZUMA/FORUM



jomi ze stowarzyszenia Jednoróg musieli uciec się do podstępów, aby umożliwić mu udział w wystawie – zaprosili go jako gościa. Podczas otwarcia wywołał skandal swoim wystąpieniem. „Atakował imiennie w mocnych słowach profesorów Akademii Sztuk Pięknych, związanych i dzierżących władzę w Towarzystwie Sztuk Pięknych. Oskarżał ich publicznie o nieuctwo, nierzetelność ich pracy artystycznej oraz o niszczenie talentów młodych, oddanych im w opiekę” – wspominał Ruzamski.

A na artystach nie poprzestał. Gdy jego prace zaczęły cieszyć się zainteresowaniem i rosła liczba odwiedzających, pojawili się też gazetowi recenzenci. „Szukalski przystępował i mówił przy mnie do każdego z nich: »Pan jest recenzentem gazety (wymieniał tytuł). Oświadczam panu, że na sztuce pan się nie zna i nie ma z nią nic wspólnego, więc proszę o mej wystawie nie pisać«” – pisał Ruzamski. A gdy jeden z obrażonych recenzentów jednak skrytykował jego prace w gazecie, artysta napisał uszczypliwą odpowiedź, którą umieścił przy wejściu do wystawy. Nierozumiejących jego sztuki potem jeszcze wiele razy otwarcie atakował własnymi publikacjami. Jak wielka była do niego niechęć, najlepiej świadczy chyba fakt – przytaczany we wspomnieniach z 1933 r. przez Ruzamskiego – o relegowaniu z ASP trzech studentów, którzy złożyli hołd jego pracom w formie wieńca.

Szukalski nie poprzestawał na rzeźbach. Założył własne czasopismo „Krak”, na którego łamach prowadził dalszą walkę o sztukę. Ostro krytykował m.in. kadre Akademii Sztuk Pięknych za małpowanie francuskiego stylu. Chciał czegoś nowego. Proponował założenie „Twórcowni” – miejsca do uwalniania potencjału młodych, nonkonformistycznych artystów, dzięki czemu Kraków mógłby stać się centrum sztuki inspirującym cały świat.

Skupił przy sobie część plastyków, którzy tak jak on chcieli szukać inspiracji słowiańskich w swojej sztuce. Nazwał grupę Szczepem Rogate Serce.

Szukalski uważał, że tworzenie sztuki narodowej może być częścią odbudowy potęgi kraju. Marzył mu się słowiański polityczny twór „Neuropa” z Polską na czele – wykluczający Francję, Niemcy, Włochy i Anglię. Jego teorie były pełne sprzeczności. Z jednej strony nadzieje na stworzenie nowej Europy pokładał w Piłsudskim, z drugiej gardził ideami socjalistycznymi. Chciał wielkiej Polski, ale w duchu dawnej słowiańszczyzny, odrzucając zupełnie chrześcijaństwo.

Wierzył w indywidualizm (jeszcze w 1916 r. w Chicago publicznie zniszczył przyznane mu wyróżnienie za rzeźby, bo uznawał, że jurorzy nie potrafią ocenić jego prac; rok później zdemolował całą wystawę, gdy próbowano mu ocenzurować jedną z prac), ale brzydził się nietzscheańską ideą nadczłowieka. Stworzył nowe godło kraju – Toporła – łącząc symbol ptaka wpisanego w obosieczny topór.

Po wybuchu II wojny światowej schronił się w ambasadzie USA i przedostał do Stanów. Większość jego prac została zniszczona, rozkradziona (bezsukcesnie starał się je odzyskać, pisząc pisma do urzędników PRL). Za wielką wodą utrzymywał się ze sprzedaży reprodukcji pocztówek, prac przy dekoracjach w studiach filmowych, a na koniec – od 1960 r. – z 250-dolarowej renty przyznanej przez władze Los Angeles, która wystarczała ledwie na opłacenie czynszu. Nadal rzeźbił. Napisał też ręcznie 42-tomową teorię „zermatyzmu”, w której dowodził, że przodkowie Polaków przybyli z Wysp Wielkanocnych, w ostatni etap podróży wyruszając ze szwajcarskiego Zermatt. Uważał też, że ludzie mówili kiedyś wspólnym językiem podobnym do języka polskiego oraz opracował teorię pierwszego wspólnego ludzkiego języka – „macimowy”.

Stanisław Szukalski już za życia znajdował i poklask, i nienawiść. Miał w sobie taką siłę, która nie pozwalała pozostawać wobec niego obojętnym. Pewnie wielu także dziś nie będzie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ekran w cieniu swastyki

Kolejka przed kinem
w Krakowie. Fotografia
z 1941 r. FOT. NAC



TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Obala pan mit, że Polacy podczas niemieckiej okupacji nie oglądali filmów...

KRZYSZTOF TROJANOWSKI: Przekonanie o ziejących wtedy pustką widowniach kin historycy podważali już dawno, ale siła legendy okazała się nader trwała. O wzmożonym zainteresowaniu seansami filmowymi wspominają świadkowie – choćby Aleksander Kamiński w „Kamieniach na szaniec” czy Adam Chętnik, kronikarz okupowanej Warszawy. Kino stało się najbardziej dostępną i najtańszą rozrywką. Ani długie kolejki do kas, ani akcje małego sabotażu nie zdołały zniechęcić miłośników X muzy, wśród których dominowała młodzież. W prasie konspiracyjnej apele o bojkot kin pojawiały się prawie do końca wojny, ale odzew był nikły. Szczególnie dużą frekwencją cieszyły się komedie, filmy muzyczne i sensacyjne oraz polskie produkcje premierowe, których było siedem. Krakowski kinoman Jerzy Semilski wspomina, że bilety na wyjątkowo atrakcyjne filmy u „koników”, czyli spekulantów, sprzedawały się z przeszło dziesięciokrotnym przebicciem.

Dlaczego okupant pozwolił na montaż i udźwiękowienie, a raz nawet dokrętkę tytułów, których realizację przerwał 1 września 1939 r.?

Nowe polskie filmy na ekranach niemieckich kin miały przede wszystkim świadczyć o postępującej „normalizacji”



**Z Krzysztofem Trojanowskim,
adiunktem UMK i autorem książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert**

życia w GG. Plany okupantów były zakrojone szeroko: nie tylko realizacja nowych filmów, w kontrolowanym przez władze ośrodku, wolnym od wpływów „żydowskiej mafii” i bez „protekcji rodzinno-kawiarnianych”, jak pisano w reżimowej prasie, lecz także szkolenie młodych talentów. Podkreślano też to, że dzięki temu pracę w zawodzie znajdą polscy artyści i technicy, co od razu spotkało się z potępieniem w prasie podziemnej. W warunkach okupacyjnych dokończono sześć filmów; jeden – „Sportowiec mimo woli” – był gotowy już przed wybuchem wojny, lecz nie doczekał się premiery w wolnej Polsce.

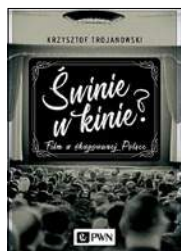
Wyświetlano także ekranową batalistykę. Między innymi poświęconą atakowi na Polskę. Miał powódzenie?

Do polskich widzów trafił jeden dokument pełnometrażowy o tematyce wojennej, „Szlakiem szaleństwa” (niemiecki „Chrząst bojowy”), przypominający o tragedii pokonanej w 1939 r. Polski, uwikłanej w „bezsensowną” walkę z silniejszym przeciwnikiem, rzekomo zmuszonym do zbrojnej interwencji. Jeśli wierzyć prasie gadzinowej, to seanse gromadziły dużą pu-

bliczność, apelowano nawet o wcześniejsze zaopatrywanie się w bilety, ale trudno to zweryfikować. Na pewno wielotysięczną publiczność przyciągały darmowe pokazy pod gołym niebem, złożone z kronik i krótkometrażówek, organizowane letnią porą od lipca 1941 r. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej podobne seanse urządzano także w niektórych kinach, co gadzinowa prasa przyjęła z aplauzem. Programy, poza aktualnym tygodnikiem, zawierały propagandowe filmy o krótkich, streszczających treść tytułach, takie jak „Front wschodni”, „Walki na Ukrainie” czy „Morska flota powietrzna”, sławiąca potęgę militarną III Rzeszy.

Agitki propagandowe III Rzeszy też się znalazły na afiszach?

To może wydawać się zaskakujące, ale Polakom w GG oszczędzono ostrej niemieckiej propagandy antyżydowskiej, którą z kolei chętnie serwowano Polakom na Litwie, gdzie w repertuarze znalazły się zarówno fabularny „Żyd Süß”, jak i wyjątkowo odrażający dokument „Żyd wieczny tułacz”, do którego zdjęcia były kręcone w gettach na terenie Polski. W repertu-



**KRZYSZTOF
TROJANOWSKI**
**„ŚWINIE
W KINIE? FILM
W OKUPOWANEJ
POLSCE”**
PWN 2018

arze wileńskich kin dla Polaków znalazł się także kontrowersyjny dramat „Oskarżam!” Wolfganga Liebeneinera, poruszający problem eutanazji nieuleczalnie chorych. Symbolem antyżydowskiej propagandy na ekranach kin nad Wisłą była krótkometrażówka „Życie ludzkie w niebezpieczeństwie!”, znana również jako „Żydzi – wszy – tyfus”, zrealizowana w Warszawie z udziałem Polaków.

Żydzi mieli zakaz wstępu do kin, nie mogli też widnieć w filmowych napisach.

Niemcy chętnie powoływali się na ów „paragraf aryjski”, ale tylko w przypadku obrazów polskich, ulgowo traktując produkcje amerykańskie czy francuskie. Z sześciu polskich filmów zakupionych przez Niemcy krótko przed wybuchem wojny żaden nie miał berlińskiej premiiery. W okupowanej Polsce rodzime produkcje – wyświetlane do końca lutego 1943 r. – zostały zaopatrzone w nowe czołówki, bez nazwisk żydowskich artystów czy techników, które zniknęły również z programów reklamowych. Czasem zdarzały się niedopatrzienia: Juliusza Gardana, reżysera „wyciskacza łez” „Wrzos”, zamieniono na Michała Waszyńskiego, który także był Żydem. Jednak już w programie do „Szczęśliwej 13” jako odtwórcę głównej roli męskiej – zamiast Żyda Stanisława Sielańskiego – wymieniono Władysława Grabowskiego, występującego na drugim planie.

X muza nie funkcjonuje bez gwiazd.

Wbrew pozorom diwy niemieckiego kina wcale nie były rodowitymi Niemkami, co nikomu nie przeszkadzało. No, może czasem Goebbelsowi, który podejrzewał niektórych zagranicznych artystów o żydowskie pochodzenie. Na ekranach królowały cudzoziemki i półcudzoziemki: Polka Pola Negri, Rosjanka Olga Czechowa, Czeszka Lida Baarova, Szwedki Zarah Leander i Kristina Söderbaum, Węgierka Marika Rökk, Chorwatka Hilde Krahl, pół-Holenderka Ilse Werner... Ulubieńcami pań byli śpiewający amanci z Austrii: Willi Forst i Viktor Staal, głosem uwodzili także Włoch Beniamino Gigli i Holender Johannes Heesters. Nad Wisłą rekordy popularności były zwłaszcza premierowe filmy muzyczne z Forstem, Leander i Rökk, doskonale znanymi z lat przedwojennych. Żadna z tych sówicie opłacanych gwiazd

nie należała do nazistowskiej partii, oportunistycznie wybierając polityczną naiwność, choć niekiedy tylko pozornie. Negri, pomagająca żydowskiemu przyjacielowi w Niemczech, w pewnym momencie po prostu uciekła do Francji, nie wywiązując się z kontraktu, a w świetle najnowszych doniesień Czechowa i Leander od czasów przedwojennych współpracowały z wywiadem sowieckim.

Przez dekady udział polskiej obsady w filmie „Heimkehr” – notabene nakręconym po części w Chorzeli, z udziałem lokalnej ludności w roli statystów – stanowił temat tabu...

O powojennym procesie donosiła prasa, ale rzeczywiście w późniejszych latach nie odgrzewano już tego tematu. Aktorzy ponieśli karę, wrócili do pracy, film został zakazany, mało kto go widział, zresztą nigdy nie był wyświetlany w kinach dla Polaków. Po co budzić stare demony? Józef Kondrat zrehabilitował się służbą w partyzantce AK, choć i tak został ukarany naganą i tydzień spędził w areszcie. Na karę więzienia skazano Michała Plucińskiego, Juliusza Łuszczewskiego, Stefana Golczewskiego i Wandę Orzechowską-Szczepańską. Bogusław Samborski uciekł do Wiednia, a stamtąd wyemigrował do Brazylii, w 1948 r. polski sąd zaocznie skazał go na dożywocie. Szczególnie przykry jest przypadek Hanny Chodakowskiej, pochopnie skazanej na infamię wyrokiem Sądu Kierownictwa Walki Cywilnej, mimo że ostatecznie nie zagrała w filmie. Ten okupacyjny epizod położył się długim cieniem na jej życiu.

Zaskoczyło mnie, że polscy operatorzy filmowali w warszawskim getcie i Katyniu!

Stało się tak, ponieważ byli etatowymi pracownikami warszawskiego oddziału niemieckiej kroniki i takie otrzymali zlecenie. Początkowo polskojęzyczny przegląd aktualności realizowany był pod auspicjami utworzonego w 1940 r. ośrodka filmowego FIP (Film- und Propagandamittel Vertriebsgesellschaft), przedsiębiorstwa półpaństwowego, formalnie o statusie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Polscy operatorzy podejmowali tam pracę na ogół dobrowolnie, rzadziej pod przymusem. Jedynym, który znalazł się w areszcie i przeciwko któremu wszczęto dochodzenie, był Jan Strahler, przedwojenny kierownik produkcji w Polskiej Agencji Telegraficznej, ostatecznie zwolniony.

Przytacza pan w książce recenzje filmów z gadzinówek. Skąd rekrutowano autorów? Ponieśli konsekwencje?

Autorzy recenzji byli najczęściej anonimowi. Pod pseudonimem Stefan Kalicki swoje teksty ogłaszał Zygmunt Kawecki, przedwojenny dramaturg i cenzor. Po wojnie został na dwa lata zawieszony w prawach członka Związku Literatów Polskich. Kary więzienia nie uniknęła za to Helena Wielgomasowa, autorka felietonów, w których czasem opisywała wyprawy do kina. Była przedwojenną współpracowniczką lokalnej prasy, a w okresie okupacji awansowała na jedną z czołowych publicystek.

Polski dodatek „Deutsche Wochenschau” odcisnął piętno na życiorysie Andrzeja Szalawskiego.

To chyba najczęściej – poza Igo Symem – przywoływany przykład kolaboracji w dziedzinie kultury. Szalawski był przez dwa lata lektorem kroniki, aktorem jawnych teatrów i jednocześnie zaprzysiężonym konspiratorem. W powojennym procesie zeznaniami obciążyli go m.in. Bohdan Korzeniewski, Leon Pietraszkiewicz i Leon Schiller, którzy wykluczali jakąkolwiek poważną działalność Szalawskiego w podziemiu, choć inni świadkowie, w tym przełożony aktora w organizacji Roman Niewiarowicz oraz Kazimierz Moczarski, podkreślali jego zaangażowanie. W zeznaniach kolegów po fachu wyraźnie wybrzmiewa ton osobistego resentymentu. Sąd niby uwzględnił na korzyść oskarżonego jego pracę w polskich teatrach na kresach, pod kontrolą radziecką, i działalność społeczną na tzw. Ziemiach Odzyskanych tuż po wojnie, niemniej Szalawski trafił do więzienia na cztery lata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Trojanowski – adiunkt w Katedrze Filologii Romńskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Absolwent romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz studiów podyplomowych z zakresu XX-wiecznego dramatu, teatru i filmu w Studium Filologii Polskiej UMK. Autor książek: „Marcel Carne. Klasyk francuskiego kina”, „Moda w okupowanej Francji i jej polskie echa” oraz „Świnie w kinie? Film w okupowanej Polsce”.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Na południe od granicy



★★★★★
REŻ. CHANG-DONG LEE
„PŁOMIENIE”
(„BURNING”)
KOREA
POŁUDNIOWA
2018

wyst. Jong-seo Jun,
Ah In Yoo,
Steven Yeun

Koreańskie „Płomienie” konkurują z polską „Zimną wojną”. Oscara dostanie ktoś trzeci.

Wielbiciele prozy Murakamiego zapewne doznali szoku. Jak z krótkiego opowiadania dało się zrobić film dwupółgodzinny? Chang-dong Lee trochę fabułę rozbudował i dodał społeczne tło, jednak najważniejszego nie zmienił: rzecz jest nadal oparta na domysłach i niedopowiedzeniach. Owszem, troje bohaterów zyskało imiona i zmieniło narodowość, lecz ich historia mogła wydarzyć się wszędzie.

U Japończyka narratorem jest pisarz, w tajemnicy przed żoną sponsorujący młodą hostessę. Z właściwą sobie delikatnością Murakami nazywa ich związek „przyjaźnią”, a dziewczynę chwali za „otwartość i prostotę”. W wersji koreańskiej

zamiast obytego mężczyzny dostaliśmy mruka świeżo po studiach. Lee ma pusty portfel oraz ojca raptusa, któremu grozi odsiadka za „matactwo, napaść i uszkodzenie mienia”. Zachwyił się twórczością Faulknera i chciałby pisać tak jak on, lecz samokrytycznie przyznaje: „Świat jest dla mnie zagadką”.

Haemi, w opowiadaniu istota dość eteryczna, na ekranie przeistoczyła się w dziewczę tyleż spontaniczne, co bezwstydne. Gdy wyjedzie do Afryki, by poznać ludzi „głodnych sensu życia”, zakochany Lee będzie dokarmiał jej kota imieniem Czyrak. Niestety, muza odpłaca się czarną niewdzięcznością. Wraca do Seulu z Benem, typem dzianym i emanującym pewnością siebie, który „dla zabawy zrobi wszystko”. Zżerany zazdrością Lee nazywa rywala Wielkim

Gatsbym (co świadczy o tym, że nie życzy mu dobrze, bo wiadomo, jak bohater powieści Scotta Fitzgeralda skończył).

W kluczowej scenie, rozgrywanej się na wsi, rzut beretem od granicy z Koreą Północną, upalony ziołem Ben wyznaje, że ma dziwne hobby: mniej więcej raz na dwa miesiące podpala opuszczone szklarnie. Z tą chwilą snująca się leniwie akcja ciut przyspiesza, na cierpliwych czeka zaś nagroda w postaci mocnego zakończenia. Sęk w tym, że właściwie niczego ono nie wyjaśnia.

Najbardziej amerykański z japońskich pisarzy i jego adaptatorzy uparcie dążą do wyrwania odbiorcy ze strefy komfortu. Relacje głównych postaci wciąż ewoluują. Cała trójka wzbudza ambiwalentne uczucia. Być może Haemi jest nałogową kłamczuchą, Ben uśmiechniętym socjopatą, a Lee wierną kopią ojca. Czy jednak jesteśmy od nich lepsi? Też tworzymy wokół siebie subiektywną rzeczywistość, traktujemy bliźnich przedmiotowo, decyzyjnie zaś podejmujemy na podstawie przeczuć i strzępów informacji. Jeśli szafarze Oscarów uhonorują film z tak pesymistycznym przesłaniem, to będzie to kolejny dowód, że Ameryka straciła niewinność. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BEAUTIFUL BOY”

Rzecz o uzależnieniu od narkotyków i o tym, czy naprawiając rodzinne relacje, można takie uzależnienie zwalczyć. Historia oparta na wspomnieniach prawdziwej pary ojców – syn, wsparta doświadczeniem scenarzysty, który kiedyś się zmagał z nałogiem heroinowym, a potem napisał o tym powieść. W rolach głównych specjalista

od portretowania zwykłych Amerykanów Steve Carell oraz nominowany do Oscara za występ w „Tamte dni, tamte noce” Timothée Chalamet. ©© **Piotr Gociak**

• „Beautiful Boy”,
reż. Felix Van Groeningen,
wyst. Steve Carell, Timothée Chalamet,
Maura Tierney, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Teraz albo nigdy”, reż. Peter Segal, USA 2018
- „Oni”, reż. Paolo Sorrentino, Włochy 2018
- „Bumblebee”, reż. Travis Knight, USA 2018
- „Zabawa zabawa”, reż. Kinga Dębska, Polska 2018
- „Władca Paryża”, reż. Jean-François Richet, Francja 2018

Król powrócił

Platon miał rację, choć trochę się pomylił. Atlantyda nie tylko istniała – ona istnieje nadal i szykuje się do ataku na ludzkość, beztrudno zaśmiecając światowe akweny. Tylko jeden człowiek może zapobiec inwazji. Aquaman, syn prostego latarnika i królowej Atlanty, jest właściwie mieszkańcem, ale – jak wiemy – tacy są najlepsi. Silny, kulooodporny i wytautowany, lubi działać niestereotypowo. Dobrym Rosjanom pomoże, złego Murzyna sponiewiera, po wszystkim zaś wyżłopie w tawernie beczkę piwa.

Za 160 mln dol. można trochę poszaleć. Twórcy „Aquamana” leją wodę proekologicznej propagandy, grzęzną w fabularnych płyciznach i co rusz wpadają na rafa

banau. Któżby jednak zwracał na to uwagę, gdy na ekranie materializują się najdziwsze fantazje małych i dużych dzieci? Opatrzyły ci się podwodne monstra i atlantydzkie technologie? Nie ma sprawy, czas na spacer po Saharze i podróż do jądra Ziemi!

Budowniczości uniwersum

DC Comics wolą powoływać się na Verne’a niż na Homera, jednak doceniają wizualną atrakcyjność antycznych ruin i walory sycylijskiego wina. Mniemam, że Aquaman w liczbie fanek przebijie Sandokana (którego zresztą przypomina). Przydałoby się trochę więcej poczucia humoru.

Na razie najlepszym dowcipem jest comeback Dolpha Lundgrena. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. JAMES WAN
„AQUAMAN”
USA/AUSTRALIA
2018

wyst. Jason Momoa,
Amber Heard,
Patrick Wilson



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MISJA NABRAŁA ROZPĘDU

Pierwszy film „Mission: Impossible” to już klasyk, drugi był katastrofą, najnowszy – szósty – jest najlepszy z pozostałych czterech.

Christopher McQuarrie, reżyserując „Fallout”, zachował elementy charakterystyczne dla serii, nadając jej jednak iscie bondowski rozmach i humor. Fabułę odarto z wszelkich niepotrzebnych

wypełniaczy, tworząc czyste kino akcji – po króciutkim wprowadzeniu roller-coaster rusza i nie zatrzymuje się przez dwie godziny. Od Berlina do Londynu, od Paryża do Himalajów. To także bezpośredni sequel „Rogue Nation” – Ethan Hunt i jego ekipa tropią ludzi złowrogiego Syndykatu, którzy znani teraz jako Apostołowie szykują światu atomową apokalipsę. Ważną rolę w intrydze odegra ponownie szef Syndykatu, Solomon Lane, który wprawdzie został schwytany w finale „Rogue Nation”, ale wpływów i wyznawców nie stracił. Ciekawymi dodatkami do stałej obsady są Henry Cavill jako kiler z CIA oraz Vanessa Kirby w roli handlarki broni. ©©



wyst. Tom Cruise, Henry Cavill,
Rebecca Ferguson

★★★★★
REŻ. CHRISTOPHER
MCQUARRIE
„MISSION:
IMPOSSIBLE
– FALLOUT”
USA 2018,
DYSTR. IMPERIAL

KRZYŚ WRACA DO LASU

Rośnie liczba filmów niepotrzebnych nikomu, oprócz księgowych Disneya.

„Krzysiu, gdzie jesteś?” to bezwstydną powtórka z „Haka” Spielberga, w którym receptą na odzyskanie wiary w sens życia był dla bohatera powrót do dziecięcej wyobraźni i wrażliwości. W tej z kolei opowieści znany z książek Milne’a Krzyś dorasta, zakłada rodzinę i zamienia się w nudnego pracusia, który nie ma czasu dla swojej rodziny. Oczywiście spotkanie z przyjaciółmi ze Stumilowego Lasu przypomni mu, co w życiu jest naprawdę ważne. Najlepsze partie filmu rozgrywają się w świecie Puchatka, Prosiaczka i Tygrysa. Wśród aktorów najlepiej wypadają mała Bronte Carmichael jako córka dorosłego Krzysia oraz ekipa podkładająca głos animowanym postaciom. Jednak by to docenić, musicie włączyć wersję bez polskiego dubbingu. ©©



wyst. Ewan McGregor, Hayley Atwell,
Bronte Carmichael

★★★★★
REŻ. MARC
FORSTER
„KRZYSIU,
GDZIE JESTEŚ?”
USA 2018,
DYSTR. GALAPAGOS

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „SUPER SMASH BROS. ULTIMATE”

Wielopoziomowe areny, stanowiące mieszankę znanych produkcji Nintendo. Cała paleta bohaterów (ponad 70 grywalnych postaci), od sympatycznego Pikachu do kultowego hydraulika Maria. Walka pomiędzy ośmioma graczami jednocześnie, kreskówkowa grafika, widowiskowe

efekty specjalne – a co w tego typu produkcji najważniejsze – masa niewymuszonych humoru i zabawy. Tak w skrócie wygląda nowa odsłona „Super Smash Bros” na przenośną konsolę Switch, która powinna zadowolić nie tylko fanów serii, lecz także nowicjuszy. Bardzo przyjemny tytuł



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

na dłuższą podróż pociągami, łączący mechanizmy znane z platformówek i bijatyk. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Bijatyka/akcja
- **Platforma:** Switch
- **Producent, dystrybutor:** Nintendo
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Musicale, musicale

Bardzo ciekawą książkę o musicalach, tych operetkach XX i XXI w., napisał Daniel Wyszogrodzki, tłumacz Cohena i Dylana, znawca dzieł Rolling Stonesów, ale i były kierownik literacki Teatru Muzycznego ROMA, który wystawił w jego przekładzie tak sławne musicale, jak „Upiór w operze”, „Koty” czy „Mamma Mia!”. Ma także za sobą przekłady „Gorączki sobotniej nocy” dla Teatru Muzycznego w Gdyni i „Doktora Żywego” dla Opery Podlaskiej. A o musicalach, o których opowiada studentom stołecznej Akademii Teatralnej, wie, jeśli nie wszystko, to prawie wszystko.

Teraz tę wiedzę przekazuje czytelnikom, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o tak ważnych dla kultury masowej ostatnich stu lat dziełach, jak „Jesus Christ Superstar”, „Hair”, „Kabaret” czy „Skrzypek na dachu”. Już tylko te tytuły nasuwają oczywiste skojarzenia z filmem, musicale bowiem są z nim bardzo związane. Można rzec, że żywią się sobą wzajemnie.

Daniel Wyszogrodzki opowiada o sławnych musicalach, a także ich twórcach, postaciach tej miary co George Gershwin, Andrew Lloyd Weber, Leonard Bernstein czy Irving Berlin. O tym ostatnim powiedziano, że „nie ma »miejsca« w amerykańskiej muzyce – on jest amerykańską muzyką”. A musicale to też Ameryka i tylko Ameryka. A Berlin, Żyd z Rosji rodem, w swoim długim życiu (101 lat) stworzył 19 musicali, napisał muzykę do kilkunastu filmów i skomponował 1,5 tys. piosenek. I to jakich! Dość powiedzieć – „White Christmas”, ale może jeszcze mocniej brzmiący inny tytuł: „God Bless America”. Ta pieśń – pisze autor „Ale musicali!” – uważana jest przez wielu Amerykanów za bardziej zasługującą na miano hymnu niż – nie bardzo dziś zrozumiały z powodu anachronicznego języka – pean na cześć flagi



FOT. WOJCIECH WOTNIEBEN/ POLSKA PRESS/ E&T NEWS

„The Star Spangled Banner”. A przecież „Boże, błogosław Amerykę” to więcej niż utwór patriotyczny. To utwór tak głęboko osobisty, że sam twórca trzymał go w szufladzie przez 20 lat. Napisał go po zawieszeniu broni 11 listopada 1918 r., ale po raz pierwszy pozwolił wykonać dopiero na dwudziestolecie pokoju w Europie i na świecie. „Dla mnie »God Bless America« to więcej niż piosenka. To wyraz moich uczuć dla kraju, któremu zawdzięczam to, co osiągnąłem, i to, kim jestem” – powiedział twórca. Pieśń nie przestaje powracać przy szczególnych okazjach. Śpiewano ją w teatrach Broadwayu po zamachu z 11 września 2001 r.

„Przykładem spontanicznego wybuchu patriotycznego entuzjazmu, w którym to właśnie »God Bless America« sama cisnęła się na usta, był sławetny »cud na lodzie«, kiedy olimpijska drużyna hokejowa Stanów Zjednoczonych zdetronizowała Związek Radziecki, odbierając mu »pewne« złoto. Obserwatorzy zimowych igrzysk w Lake Placid w 1980 roku odnotowali, że po granicznym z cudem zwycięstwie amerykańscy zawodnicy spontanicznie zaintonowali

»God Bless America« zamiast – jak należało oczekiwać – hymnu Stanów Zjednoczonych »The Star Spangled Banner«.

I tak właśnie pisze Wyszogrodzki: lekko, potocznie, ze swadą, nie stroniąc od anegdot, ale przede wszystkim dbając o najważniejszą, informacyjną warstwę książki, która służyć będzie przecież za źródło wręcz encyklopedyczne. Tym potrzebniejsze, że w Polsce musical dopiero raczkuje. Nasz dorobek w tej materii to w gruncie rzeczy „Metro” i długo, długo nic. „Nie ma innego równie rozpoznawalnego tytułu – stwierdza Daniel Wyszogrodzki. – Być może staną się nim »Piloci«, ale jest zbyt wcześnie, żeby to osądzać”. A relacjonując dzieje „Metra”, jego oszałamiający polski sukces, powodzenie w Rosji i klęskę w Stanach Zjednoczonych, pozwala sobie na następujący komentarz: „Wielkim błędem, przejawem zupełnego braku samokrytycyzmu, a nawet pychy, był wyjazd spektaklu na Broadway. Z drzewem do lasu? Po co? W ciągu swojej stuletniej historii Broadway przyjął wiele spektakli, znacznie więcej odrzucił. Polscy artyści polecili do Nowego Jorku pokazać, jak się robi musicale. A tam się lata, żeby zobaczyć, jak powinno się je robić. Broadway ceni sobie brawurę, ale nie toleruje arogancji”.

Książkę dopełniają ciekawe zestawienia, m.in. najczęstiej granych musicali na nowojorskim Broadwayu i londyńskim West Endzie. Specjalnie się nie różnią. Pierwsza piątka to na Broadwayu: „Upiór w operze” (ponad 12 750 przedstawień, wciąż na afiszu), „Chicago” (ponad 9000), „Król Lew” (ponad 8750), „Koty” (7485) i „Nędznicy” (6680), a na West Endzie: „Nędznicy” (ponad 13 500), „Upiór w operze” (ponad 13 150), „Blood Brothers” (10 013), „Koty” (8949) i „Mamma Mia!” (ponad 7950). ©



★★★★★
**DANIEL
WYSZOGRODZKI**
**„ALE MUSICAŁE!
ZŁOTE STULECIE”**
MARGINESY 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wszystkie życia zapomniane

Dzisiaj rekomendacja zbiorowa, poprzedzona smutnym spostrzeżeniem: to, co najciekawsze na rynku wydawniczym, dzieje się dziś w małych niszowych wydawnictwach, z dala od wielkich sieci księgarskich, Asów Empiku, działów kultury w dziennikach sterowanych przez agresywny marketing najsilniejszych wydawców. Tymczasem jest inne życie, gdzie poza stertami Mrozów i Severskich, z dala od książek niekoniecznych, nieudanych i uzasadnianych jedynie faktem medialnej obecności autora.

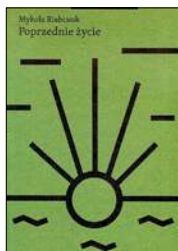
Lubelskie Warsztaty Kultury podbiły ostatnio me serce serią „Wschodni Ekspres”, w której znajdziecie różne smaki Ukrainy: prozę, poezję, esej. Powodów do smakowania wiele, moją uwagę zwrócił nowy tom Mykoły Riabczuka, świetnego eseisty i krytyka, którego publikacje („Dwie Ukrainy”, „Ogród Metternicha”, „Ukraina: syndrom postkolonialny”) powinny być dla polskiego inteligenta lekturą obowiązkową, tak

jak za coś oczywiście uważano niedgdy czytanie Barańczaka czy Venclovy. „Poprzednie życie” to przygotowana na użytek polskiego odbiorcy fuzja dwóch zbiorów literackich drobniaków, niby felietonów, niby notatek z podróży, obrazków z pamięci – sam nie wiem, jak określić ich przynależność gatunkową.

Chodzę więc od kilku tygodni z Riabczukiem w torbie i smakuję po kawałku. Jestem w tym zajęciu przedstawicielem mikromniejszości.

Riabczuk jest nie tylko człowiekiem wybitnie spostrzegawczym i inteligentnym, obdarzonym wielką wiedzą i wrażliwością, a także kapitalnym poczuciem humoru. Specyficznie wschodnioeuropejskim, można dodać, bo często nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać, wczytując w jego anegdoty o dziwnych spotkaniach Wschód – Zachód, korupcji, życiu umysłowym, politycznym i artystycznym. Polubiłem je natychmiast, bo po raz pierwszy od dawna ktoś zechciał ze mną porozmawiać na poważnie (choć lekko i przewrotnie) o tym, co nas nie tylko otacza, lecz także nawet otacza coraz bardziej. W tym czasie aspirujący do miana inteligentów polskich osobnicy czytają drobniaki niejakiego Jakuba Wojewódzkiego (winszuje, winszuje, ależ nisko upadliście, obywateli) albo zapisy pojękiwać, że się ich

knebluje lub łamie konstytucję i odbiera wolność. Wszystko to na łamach poczytnych gazet albo w studiach największych telewizji. Dziękuję, postoję. To znaczy posiedzę. A właściwie to sobie pospaceruję. Dalej z Riabczukiem w torbie. I kilkoma innymi książkami z serii „Wschodni ekspres”. Dosiadajcie się, obywatele! ©©



★★★★★
MYKOŁA RIABCZUK
„POPRZEDNIE ŻYCIE”
WARSZTATY KULTURY 2018

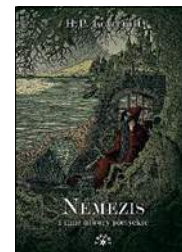
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dwadzieścia relacji świadków historii, ludzi, którzy doświadczyli okrucieństw dwóch totalitaryzmów: niemieckiego i sowieckiego. Każda sugestywnie zilustrowana. Wśród autorów grafik m.in. Przemysław Truściński i Jacek Frąś.



PRACA ZBIOROWA
„ZARYSY PAMIĘCI”
INSTYTUT PILECKIEGO

Wybór z obszernej (niemal 400 utworów) spuścizny poetyckiej Lovecrafta. Edycja dwujęzyczna, pięknie ilustrowana i opatrzona posłowiem (plus przypisy). Najbardziej zaskakują wiersze inspirowane twórczością innych mistrzów grozy.



H.P. LOVECRAFT
„NEMEZIS I INNE UTWORY POETYCKIE”
VESPER

Reportaż ukazujący ponurą stronę transformacji ustrojowej. Zrujnowane fabryki, niewypłacalne huty, pustoszące miasta, bezrobocie – opowieść o Zagłębiu Dąbrowskim, ale równie dobrze mogłaby być o Wałbrzyskim.



MAGDALENA OKRASA
„ZIEMIA JAŁOWA”
TRZECIA STRONA

Cztery drobniejsze utwory Tolkiena: „Kowal z Podlesia Większego”, „Gospodarz Giles z Ham”, „Łazikanty” i „Liść, dzieło Niggle’a”. Plus wierszowane „Przygody Toma Bombadila” – a wszystko z ilustracjami Alana Lee. ©©



J.R.R. TOLKIEN
„OPOWIEŚCI Z NIEBEZPIECZNEGO KRÓLESTWA”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Dariusz Rozwadowski „Marksizm kulturowy. 50 lat walki z cywilizacją Zachodu” (Prohibita)** – jak doszło do tej rewolucji i jakie są jej skutki.
- Feliks Koneczny „Geografia historyczna” (Prohibita)** – wznowienie pracy, która o Polsce powie naszym dzieciom więcej i ciekawiej niż niejedna szkolna lekcja.
- Krzysztof Karoń „Historia antykultury” (nakładem autora)** – przewodnik po tzw. wolnościowym marksizmie.
- Wojciech Sumliński „Niebezpieczne związki Donalda Tuska” (WS Reporter)** – powieść sensacyjna z kluczem – pamflet na byłego premiera i szefa PO.
- Grzegorz Braun „Gietrzwałd 1877” (Fundacja Osuchowa)** – znany reżyser i kontrowersyjny publicysta o geopolitycznych kontekstach tych wydarzeń.

(Najchętniej kupowane książki w poprzednim kwartale w księgarni internetowej Multibook.pl)



Zakazane piosenki

Podczas świątecznych porządków miotła #MeToo chciała wymieść z zachodnich stacji radiowych piosenkę „Baby It's Cold Outside”. Utwór ten na Zachodzie (u nas chyba rzadziej) puszczany jest (był?) głównie w okresie bożonarodzeniowym. Ktoś uznał go za seksistowski (mężczyzna namawia kobietę, by została na noc, bo na zewnątrz jest zimno; kobieta szuka wymówek) i chciał zakazać. Oczywiście efekt był odwrotny – liczniki odsłón w Internecie kręciły się jak szalone. Myślę sobie, że w kwestii piosenek do potencjalnego wpisania na listę zakazanych mamy w Polsce całe mnóstwo.

Weźmy Marylę Rodowicz z jej „Winda do nieba”. Jeszcze jako dzieciak drapałem się w głowę, nie mogąc zrozumieć, dlaczego na niemal każdym weselu grana jest piosenka, w której nieszczęśliwa panna młoda pisze list do swego byłego. I czy przyszłym mężom nie przeszkadza, że wyznaje w tym liście, iż nie kocha swojego męża.

Dzisiaj piosenką powinny zainteresować się środowiska feministyczne, choćby ze względu na fragment: „[...] ale dziewczyna przez świat nie może iść całkiem sama”. Zresztą – jak już kreślić, to grubym flamastrem. Wszystkich tych, którzy nagrali cover „Sex appeal” („Wy jesteście mocni, silni / my: słaba

plęć / lecz my mamy coś, co byście wy chcieli mieć...”), no i oczywiście „Baśkę” Wilków, którą mógłbym tu w zasadzie zacytować w całość...

Wyczuleni na podteksty rasistowskie się krzywią, gdy radio puszcza „Jolkę...” Budki Suflera. „Narzeczoną miał kiedyś, jak sen / Z autobusem Arabów zdradziła go / Nigdy

nie był już sobą, o nie”. Tutaj niektórzy starają się ratować sytuację, przekonując, że nie chodzi o „autobus Arabów”, ale „autobus Marabu” (Marab to ponoć nazwa organizatora wycieczek bądź przewoźnika z PRL). Na stronie Budki Suflera nie sprawdzimy, bo w zakładce „teksty piosenek” „Jolki...” brak. Była i nie ma. Czyli autocenzura. Czyli jednak „autobus Arabów”.

Starocie – powiedzą młodszy. No to niech się wsłuchają w cudownego skądinąd Dawida Podsiadłę („W dobrą stronę”: „Trzymała mocno tam, gdzie najbardziej lubię / Mama mówiła: »Takie rzeczy tylko po ślubie«”). A skoro już jesteśmy przy seksie, to pierwszy do „odstrzału” jest kawałek „Na co komu dziś” Lady Pank za fragment: „[...] była namiętna, bardzo nieletnia”.

Kończę tę wyliczankę jedynie z powodu braku miejsca. Kandydatów do wyciszenia jest całe mnóstwo. Tylko czy nie będzie wtedy za cicho? ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Mądrość kobiet

To już 15. album mało znanej w Polsce, a wielce cenionej za oceanem czarnoskórej wokalistki, której muzykę określa się mianem future soul. Jest kontynuatką dokonań politycznie zaangażowanej Erykah Badu, ale dziś jest znacznie śmielsza od niej w wizjach muzycznych.

„Overload” jest najbardziej zróżnicowanym albumem Muldrow. To nie jest już tylko nowoczesny rap oparty na wyszukanych rytmach. Płytę charakteryzuje różnorodność nastrojów i brzmień wyrażana poprzez wizjonerską produkcję nagrań. Niebiańskie, wielokrotnie poniekładane wokale łączą się z nie-

oczekiwanymi akordami i jazzującymi melodiami. Reggae zderza się z modnym trap-house’em czy plemiennymi śpiewami, a jednocześnie wszystko to układa się w spójną całość.

W tekstach artystka głównie rozmawia sama ze sobą. Nadal angażuje się politycznie („Zanim będę niewolnicą / Spalę się w moim grobie”), co uproszczając, sprowadza się do wezwania do samoobrony i ochrony rodziny. Jednak tym razem głównym tematem płyty Muldrow jest analiza długo trwającego związku. Miłość to dla niej na równi uczucie i namiętność, co trudy, zawiłości i błędy w relacjach z partnerem. ©©



★★★★★
GEORGIA ANNE MULdrow
„OVERLOAD”
BRAINFEEDER



★★★★★
KRZYSZTOF JAGODZIŃSKI
„PIECZĘĆ”
POLSKIE RADIO

Mistyczna płyta na głos i fortepian zarejestrowana w bazylice gostyńskiej. Antonina śpiewa religijne teksty, m.in. Franciszka Karpińskiego, Innocentego III, św. Franciszka czy „Psalm 23” i „Hymn brewiarzowy”. Zaduma, uniesienie, miłość.



★★★★★
MARIAH CAREY
„CAUTION”
EPIC

Mariah wraca do formy. Zamiast nawałnicy dźwięków mamy intymne opowieści o relacjach uczuciowych. Od flirtów i uniesień serca przez wspomnienia pięknych dni do ostatecznego odrzucenia. ©©



POD WĄS

Jak miło wstać, skoro świt

IGOR ZALEWSKI

Mam pewną cechę, która powinna mi ułatwiać życie, a raczej je utrudnia.

Otóż rano, kiedy wstaję z łóżka, jestem w świetnym humorze. We wręcz niesamowicie wspaniałym humorze.

Nie to, że lubię wstawać. Nic z tych rzeczy. Jestem śpiochem, jakich mało, i felietonistą zostałem m.in. dlatego, żeby się wylegiwać. A jeśli już mam wstać, nieważne, czy o 4 czy 10, to wstaję prawą nogą. Jestem absurdalnie zadowolony, przepełnia mnie radość życia, podśpiewuję i takie tam.

Niestety, mój poranny świergotliwy nastrój działa wszystkim na nerwy. Wszystkie kobiety, z którymi dzieliłem łóżko (nie jednocześnie oczywiście), mój poranny humor przyjmowały jako dopust boży i kolejny powód do rozdrażnienia. Moja córka rano jest nieprzytomna, a zarazem zła jak osa – jakoś łączy te dwie sprzeczne cechy. Mój syn rano jest tykającą bombą. I tak jest lepiej, bo kiedyś eksplodował codziennie i kiedy wołałem do niego: „Cześć, Tymonku!”, on warczał na mnie jak bulterier. Teraz na szczęście zdarza mu się nie wybuchnąć. Czy raczej wstrzymać się z wybuchem do popołudnia.

Smutne jest to, że zawsze jeśli próbuję obdzielić kogoś moją poranną radością egzystencji, dostaję po łbie. Pisząc „kogoś”, no cóż, mam na myśli najbliższą rodzinę. Rano dochodzi bowiem do rytualnych utarczek między grzebiącym się dzieckiem a popędzającą

go matką. Bardzo łatwo przekształcają się one w coś więcej niż utarczki – wiadomo, presja czasu i ciemność za oknem nie wpływają najlepiej na ludzką ogłade. Kiedyś próbowałem kocić gorące nastroje, rozdając promienne uśmiechy, które miały zastąpić słońce. Zawsze kończyło się to dla mnie mało przyjemnie. Syn i matka błyskawicznie jednoczyli się przeciwko mnie i warczeli zgodnie na moją złą przeczność osobę.

A już najgorzej, jak chcesz bliskim umilić poranek i pięknie im śpiewasz.

Tak, należę do tych, którzy śpiewają pod prysznicem, a potem kontynuują tę radosną czynność także poza łazienką. Jakąż złość wtedy budzę! Jakiej agresji doświadczam! Owszem, może nie jestem zawodowym śpiewakiem, może barwa głosu nie jest szczególnie. Jednak moje poranne uczuciowe „Parole, parole...” albo dziarskie, energetyczne „Godzina pięta minut trzydzieści, kiedy pobudka zagrała. Grupa rezerwy szła do cywila, niejedna panna płakała!” w umarłego tchnęłyby życie. Niestety, moja rodzina tego nie docenia. Wścieka się! Wyje! I każe mi się zamknąć.

Niestety, z obcymi nie jest lepiej. Na rozmaitych wyjazdach od razu mnie wytykają jako tego, który ma czelność mieć rano dobry humor. Twierdzą, że przez to oni humor tracą. Nazwijmy sprawę po imieniu: to dyskryminacja ze względu na temperament! ☹☹



KRÓTKO PO WOLSKU

Obcy

MARCIN WOLSKI

Czas międzyświąteczny. Z biblioteki dobiegają dźwięki fortepianu.

Żona z wnuczką powtarzają koledy na szkolne jasełka. Ogarniają mnie szczególna tklivość, szczęście i spokój. Przypominam sobie siebie sprzed 60 lat i moją babcię wśród zapachów jedliny, makowca i pobłyskujących sztucznych ognii. Kiedy to było? Wczoraj?

Zaraz potem widzę ten bezkresny korowód pokoleń, niczym łańcuch na choince, pochod sięgający średniowiecza, naszych poprzedników związanych

natrafiam ciągle na dwie odpowiedzi – musi sprawać to albo wspomniany już szatan, albo Obcy. Ci, niczym w powieści SF, są przecież zauważalni wśród nas. Działają, niszczą. Nie wiemy tylko, co jest ich celem ostatecznym – inwazja czy zagłada. Przeważnie posługują się w swoim dziele szczytnymi hasłami postępu, tolerancji, obiektywnymi zda się prawami nauki... Co gorsza, strasznie trudno z Obcymi walczyć, bo przecież wszyscy światli, kulturalni ludzie wiedzą, że Obcy nie istnieją. Są wytworem naszej ciemnoty, uprzedzeń, schizofrenii bezobjawowej... Ileż pokoleń już się na to nabrało? Ile generacji na własnej skórze przekonało się, że prędzej czy później „wolność, równość, braterstwo” sprowadzają się do krótkiego – „nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji”? Jak często pochod do Arkadii kończył się w łagrze?

Człowiek rodzi się konserwatystą. Zderzając się z nieznanym, posiłkuje się zasadą „lepiej nie”. Oczywiście niespokojne duchy podejmują próby łamania zasad, poszukują, eksperymentują. I dopóki robią to na własny rachunek, dopóty można je życzliwie tolerować. Nawet podziwiać. Gorzej, gdy inni stają się obiektem takich doświadczeń. Kiedy całym narodem każe się skakać na główkę do basenu, bez sprawdzenia, czy jest tam woda.

Przewaga nas, wschodnich Europejczyków, z bagażem kilkudziesięciu lat na plecach, polega na jednym – my wiemy, że wody tam nie ma. ☹☹

Ze zgiełku sloganów i pomysłów kłębiących się za progiem dociera dziś właściwie jedno – destrukcja

moją, ziemią i wiarą. Myślę więc o przeszłości i kontynuacji. Już po chwili jednak sielanka ulega zmąceniu, bo zadaję sobie pytanie: Komu to przeszkadza? Jaki diabeł na naszych oczach usiłuje zniszczyć tożsamość, bezpieczeństwo, wspólnotę?

Coraz trudniej przychodzi mi zrozumieć świat. Spośród zgiełku sloganów i pomysłów kłębiących się za progiem dociera dziś właściwie jedno – destrukcja – zniszczenia rodziny, tradycji, bezpieczeństwa. Po co? Kto nam to robi? Poszukując genu samozagłady,

„Pszczółka” krzepi

Kwestie związane z odżywianiem jeszcze nigdy nie miały takiego znaczenia w popkulturze. Na szczęście zdrowie i produkty cukiernicze mogą iść ze sobą w parze. Branża postawiła więc na innowacyjne wyroby, które wspierają nasz organizm: obniżają stres, dodają energii, a nawet zwiększają libido. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom naszych klientów, oferujemy produkty bezglutenowe, a także wzbogacone w kompleksy witaminowe i minerały – mówi Robert Rudnicki, prezes Fabryki Cukierków „Pszczółka”



Robert Rudnicki, prezes Fabryki Cukierków „Pszczółka”, ma ponad 20-letnie doświadczenie w sektorze FMCG. Wzmocnił wiele znanych marek, takich jak Hortex, Gellwe, Vitax, Perfetti Van Melle, Roshen. Posiada również wyjątkowy talent do słodkich wyników. Skutecznie przeprowadził firmy przez zmiany restrukturyzacyjne oraz umacniał ich pozycję rynkową. To nie tylko lider transformacyjny, lecz także innowator oraz handlowiec z krwi i kości

Jaki był 2018 rok dla rynku FMCG? Jakie wyzwania stoją przed branżą oraz kierowaną przez pana firmą?

Branża cukiernicza jest jednym z najdynamiczniej rozwijających się sektorów w Polsce. Nasza firma zrealizowała szeroko zakrojone inwestycje technologiczne oraz badawczo-rozwojowe. Wszystko po to, żeby sprostać wymaganiom naszych konsumentów. Podążamy za trendami prozdrowotnymi. Elastycznie dostosowujemy też ofertę do popytu rynkowego.

Słodkie przekąski mają bowiem rację bytu w epoce fit i zdrowego trybu życia. Zmianie uległy tylko trendy ich spożycia. Rośnie w siłę grupa inteligentnych klientów, którzy decyzje zakupowe podejmują, kierując się nie ceną, ale jakością oferowanych produktów. Zwracają też uwagę na kraj, z którego pochodzą składniki.

Konsumentom chcą słodczy wysokiej jakości w różnorodnych smakach. W 2018 r. popularnością cieszyły się produkty wzbogacone zdrowymi składnikami, takimi jak witaminy czy minerały. Ograniczeniu uległa ilość sztucznych barwników, konserwantów i różnego rodzaju dodatków. Rosnąca świadomość konsumentów wymusiła też na producentach uwypuklenie składu produktu. Coraz popularniejsza stała się tzw. czysta etykieta.

Polscy konsumenci są wymagający, poszukują naturalności i walorów prozdrowotnych, cenią dostępność i wygodę. Branża postawiła na innowacyjne i funkcjonalne produkty, które wspierają nasz organizm: obniżają stres, dodają energii, a nawet zwiększają libido.

Branża cukiernicza w 2018 r. chętnie wracała też do zapomnianych, oryginalnych smaków z dzieciństwa. Z kolei przed świętami największą popularnością cieszyły się nasze praliny, cukierki czekoladowe, owocowe galaretki i bakalie w czekoladzie. W tym okresie najczęściej wybierane są świąteczne opakowania. W świadomości konsumenta słodczy są bowiem wyrazem uznania i sympatii. Służą nie tylko

jako słodki upominek, lecz także jako szlachetny dodatek, piękne dekoracje na choinkę czy świąteczny stół.

Obok tęsknoty za smakami przeszłości w 2018 r. w siłę rosło również zainteresowanie nowoczesną technologią.

Minęło kilkanaście miesięcy od otwarcia nowoczesnej fabryki „Pszczółka”. Jak zmieniła ona sytuację firmy?

W kwietniu 2017 r. zostały uruchomione trzy nowoczesne, zautomatyzowane linie produkcyjne, które są jednymi z najnowocześniejszych w Polsce, a nawet w Europie. Dzięki temu nasz zakład w Lublinie posiada certyfikaty ISO 22000, BRC i ISF. Linie te charakteryzują się dużą wydajnością produkcji i możliwością produkowania wyrobów cukierniczych o wysokiej jakości i doskonałym smaku. Dzięki nim firma może zaproponować produkty czekoladowe, takie jak praliny wypełnione kremem czy cukierki czekoladowe typu Michałki/Trufle, galaretki z płynnym nadzieniem w cukrze, galaretki owocowe oblewane czekoladą, miękkie toffie, karmelki twarde, karmelki nadziewane i karmelki nadziewane oblewane czekoladą i wiele innych innowacyjnych dla polskiego oraz europejskiego rynku produktów, o których jeszcze nie mogę mówić.

Jesteśmy jednym z największych w Polsce producentów cukierków. „Pszczółka” powstała w 1952 r. i jest od 65 lat producentem znanych i cenionych słodczy. Doskonały smak naszych wyrobów jest możliwy dzięki składnikom najwyższej jakości. Aktualnie w produkcji cukierków wykorzystujemy wyłącznie polski cukier, naturalne soki, bakalie, najwyższej jakości czekoladę. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom klientów, oferujemy produkty bezglutenowe, a także wzbogacone w kompleksy witaminowe i minerały.

Dysponujemy również nowoczesnym laboratorium, w którym kontrolujemy proces produkcyjny. Przywiązujemy także ogromną wagę do zespołu, który codziennie pracuje nad smakiem naszych produktów. Zatrudniamy specjalistów o najwyższych kwalifikacjach i ogromnym doświadczeniu, co pozwala na utrzymanie wysokiej jakości.

Jakie są plany rozwoju firmy?

Aby w pełni zagospodarować moce produkcyjne, które posiada nasz zakład

produkcyjny w Lublinie, Fabryka Cukierków „Pszczółka” sp. z o.o. przyjęła strategię polegającą na wejściu w cztery kanały dystrybucji. Za określenie tych kierunków oraz zarządzanie nimi odpowiadamy osobiście.

Pierwszy kanał dystrybucji to rynek tradycyjny, na którym jesteśmy z naszymi produktami od 1952 r., gdy powstała Fabryka Cukierków „Pszczółka” w Lublinie. To ponad 65 lat tradycji i doskonałości rzemiosła cukierniczego. Lata te pozwoliły nam wychować na naszych produktach kilka pokoleń konsumentów, zdobyć ich zaufanie do jakości naszych produktów, do rodzajów cukierków, które produkujemy, do smaków, które proponujemy. Wiemy więc, że rozbudowanie naszej oferty o cukierki czekoladowe, galaretki i toffie spotka się z ich pozytywnym odbiorem, a nam zapewni oczekiwaną sprzedaż i szybki wzrost dystrybucji. Nasi technolodzy i specjaliści ds. produkcji pracują już nad przygotowaniem oferty asortymentowej na Wielkanoc 2019.

Drugi, bardzo ważny dla nas kanał dystrybucji to rynek nowoczesny. Nasze produkty są w wielu sieciach sklepów. Wprowadziliśmy je również do placówek Poczty Polskiej, z którą nasza współpraca układa się bardzo dobrze, a sprzedaż z miesiąca na miesiąc rośnie. Z naszymi topowymi produktami, czyli Coffee Amo, Mieszanką Imieninową, Miętowymi Lubelskimi, Kukułkami i Jogusiami, jesteśmy obecni na stacjach benzynowych PKN Orlen. Warto też podkreślić, że Fabryka Cukierków „Pszczółka” jest obecnie jedną z nielicznych już firm-producentów o polskim kapitale. Jesteśmy w stu procentach polską firmą. Wchodzimy w skład Grupy Kapitałowej Krajowa Spółka Cukrowa SA „Polski Cukier”, która woła ministra rolnictwa i rozwoju wsi ma być dalej rozbudowana i przekształcona w krajową grupę spożywczą o charakterze holdingu. Jesteśmy dumni, że „Pszczółka” może być częścią ambitnego planu promocji polskich produktów najwyższej jakości!

Dlatego też inicjatywa PKN Orlen, za co wielką chwałę osobom zarządzającym tym koncernem, który promuje polską żywność i polskich producentów, doskonale wpisuje się w ofertę Fabryki Cukierków „Pszczółka”. Podobne podjękowania należą się osobom zarządzającym Poczta Polska SA, którzy również

stawiają na polskich producentów, w tym na naszą fabrykę.

Trzeci kanał dystrybucji naszych produktów to eksport. FC „Pszczółka” sprzedaje swoje wyroby do ponad 20 krajów na świecie. Głównymi odbiorcami są Słowacja, Azerbejdżan, Litwa, Węgry oraz Niemcy. Wysyłamy też produkty do USA, Szwecji, Dubaju, Rumunii, Mongolii, Czech, Jordanii, Rosji czy na Cypr. Wartość naszego eksportu rośnie w tempie 20 proc. rocznie.

W związku z dużymi możliwościami produkcyjnymi ogromną szansę widzimy w dalszym rozwoju sprzedaży słodczy zarówno w UE, jak i poza jej granicami. Jednym z takich rynków jest Kazachstan. To bardzo chłonny rynek. Ponad 17 mln osób o zbliżonych gustach oraz preferencjach zakupowych. Kraj ten posiada też trzecie pod względem wielkości rezerwy ropy naftowej na świecie – po Arabii Saudyjskiej i Iraku. Z drugiej strony ma niewielką produkcję własną, w związku z czym wykazuje duże zapotrzebowanie na import produktów, w tym słodczy. Współpraca z Kazachstanem to również szansa na wejście na pozostałe rynki Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, którą tworzą również Białoruś, Rosja, Armenia oraz Kirgistan. Mówi się, że Kazachstan to „brama do Eurazji”, a „Pszczółka” wie, jak przez tę bramę przejść.

Ponadto realizujemy ekspansję na rynki MENA (Middle East, North Africa), które są określane jako najszybciej rozwijające się rynki słodczy na świecie. Prowadzimy rozmowy z potencjalnymi klientami z Iraku, Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej. Od kwietnia 2018 r. produkty Pszczółki można znaleźć w Jordanii, gdzie ich jakość i smak zostały ocenione bardzo wysoko, o czym świadczą rosnące z miesiąca na miesiąc zamówienia.

Nowoczesna fabryka, wysokowydajne linie produkcyjne i możliwość produkowania wyrobów o wysokiej jakości sprawiają, że wielu krajowych i zagranicznych producentów słodczy zwraca się do nas ze zleceniami produkowania wyrobów pod ich markami. To dla nas czwarty kanał, może już nie dystrybucji, a samej produkcji, czyli outsourcing, produkcja usługowa. Obecnie prowadzimy kilka takich projektów, również dla zagranicznych przedsiębiorstw. Kilka kolejnych jest w fazie negocjacji, a także ustalenia asortymentu, receptur i cen.



Agnieszka Rybak



Anna Smółka

W Moskwie, Berlinie, Warszawie czy na wileńskim Antokolu? Gdzie znajduje się mózg Józefa Piłsudskiego?

Major dr Wiktor Kaliciński, szambelan papieski i druh Marszałka z Legionów, przybył do Belwederu w środku nocy. Właśnie zaczął się 13 maja 1935 r., a Kaliciński miał po raz 13. w życiu dokonać balsamowania zwłok. Zastał rozdygotanego Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego i Felicjana Sławoja-Składkowskiego. Przy zwłokach czuwała zmęczona całodziennym płaczem Aleksandra Piłsudska. Po Kalicińskim do pokoju Józefa Piłsudskiego wkroczył patolog z Instytutu Radowego. Wiedzieli, że muszą się spieszyć. Marszałek skończył o godz. 20.45 i aby mózg nadawał się do badań, trzeba było go wyjąć i wypręparować w ciągu 24 godzin od zgonu. Im szybciej, tym lepiej. Sekcja, podczas której balsamują ciało i wyciągają także serce Marszałka, przebiega sprawnie. W 6,5 godziny po śmierci właściciela pierwszy mózg II Rzeczypospolitej jest już w formalinie. Na drugi dzień odbywa się w Belwederze podpisanie aktu prawnego. Badaniami ma się zająć trzech najwybitniejszych neurologów w Polsce.

Na tę chwilę medycy przygotowywali się starannie od momentu, gdy najbliżsi współpracownicy Marszałka dostrzegli chorobę. Był 11 listopada 1934 r., wielka rewia wojskowa na Polu Mokotowskim. Defilowało wojsko, huk motocykli mieszał się z rykiem przelatujących nad trybunami samolotów, a Marszałkowi zakręciło się w głowie. Trzeba go było dyskretnie posadzić na krześle. Później nogi zaczęły mu puchnąć, wymiotował. Stał się nieobliczalny i nieznosny; wybuchał gniewem z niezrozumiałych powodów. Nie chciał lekarzy. Kiedy na Wielkanoc 1935 r. zjawił się Karel Wenckebach, wybitny specjalista

Gabinet Józefa Piłsudskiego
w Belwederze. Na stole słój z mózgiem
Marszałka FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Conclave Josephi Piłsudski Varsoviae in aedibus Belveder
In mensa positum vas obsignatum Josephi Piłsudski cerebrum continens

Gdzie jest mózg Marszałka

z Wiednia, pozostało mu już tylko postawić diagnozę – rak wątroby – i uprzedzić, że Piłsudski ma mało życia przed sobą. Wiedzieli o tym prezydent Ignacy Mościcki, inspektor armii Edward Śmigły-Rydz. Samemu Piłsudskiemu ani jego rodzinie nic nie powiedziano. Marszałek podlegał zmiennym nastrojom; w chwilach lepszego samopoczucia miał nadzieję, że jeszcze wróci do zdrowia, w gorszych momentach myślał o śmierci. Wydawał dyspozycje co do najważniejszych spraw: „Pamiętaj, jeżeli ja odejdę przed tobą, a przed śmiercią nie zdążę sprowadzić z Litwy do Polski zwłok swojej matki, musicie wy to zrobić. Chcę, aby spoczęła w Wilnie. Serce moje złożycie u jej stóp. Chcę, żeby jej trumna i serce moje leżało tam, gdzie leżą moi kochani chłopcy, którzy pomogli mi zdobyć Wilno” – powtarzał Aleksandrze. Swoje Wilno ostatni raz widział w lutym 1935 r. Przyjechał na pogrzeb ulubionej siostry Zofii. W prostym mundurze z żałobną opaską na lewym ramieniu, kompletnie siwy, tylko brwi pozostały kruczoczarne. Stary, zmęczony, smutny.

Zdecydował też oddać swój mózg polskiemu naukowcom. Wincenty Witos komentował: „Wyzначzył sobie miejsce na Wawelu. Nie chcąc za wiele robić zaszczytu polskiemu panteonowi, kazał serce złożyć gdzie indziej, w przekonaniu, że mózg jego stanowi jakiś rzadki cudowny wyjątek, polecił go oddać uczynnym lekarzom. Co o tym wszystkim myśleć?”.

ROZMIAR GENIUSZU

Polski Instytut Badań Mózgu działa w Wilnie, na Antokolu, przy ulicy Letniej pod numerem 5. W siedmiu pokojach na poddaszu drewnianego budynku Kliniki Chorób Nerwowych i Umysłowych mieści się polska odpowiedź na modny na zachodzie Europy trend: neuroanatomowie twierdzą, że istnieje powiązanie między budową mózgu a niezwykłymi zdolnościami ich posiadaczy. Placówki badawcze powstają w Berlinie, Madrycie i Moskwie. Na konsultacje mózgu Lenina zaproszono do stolicy ZSRS prof. Oskara Vogta, guru od cytoarchitektoniki kory mózgowej. To właśnie Vogt założył najsłynniejszy w Europie Instytut Budowy Mózgu w Berlinie.

Polski instytut powstaje w 1928 r. Zakłada go dr Maksymilian Rose, wybitny specjalista neurolog i psychiatra.

Urodził się w ubogiej rodzinie żydowskiej w Przemyśle, ale dzięki zdolnościom zrobił karierę międzynarodową – studiował w Niemczech i Szwajcarii, pracował w tamtejszych klinikach, w zakładach dla umysłowo chorych. Doszedł do stanowiska kierownika kliniki w Instytucie Cesarza Wilhelma w Berlinie u samego prof. Oskara Vogta.

„Nie wolno nam było w Niemczech stracić Rosego. Czy nie sądzi Pan, że można by go było odzyskać z powrotem?” – pisał w liście do kolegi niemieckiego profesora w roku 1928 r., kiedy Rose przyjął propozycję, by wrócić do Polski i utworzyć tu własny instytut. Zaczynał w Warszawie, potem przeniósł się do Wilna, bo w tym sarmackim mieście, które miało największe stężenie żywych i umarłych poetów na kilometr kwadratowy, działał świetny Uniwersytet Stefana Batorego. Profesor przyjął w nim propozycję kierowania Katedrą Psychiatrii. Nad Wilią dopiero niedawno

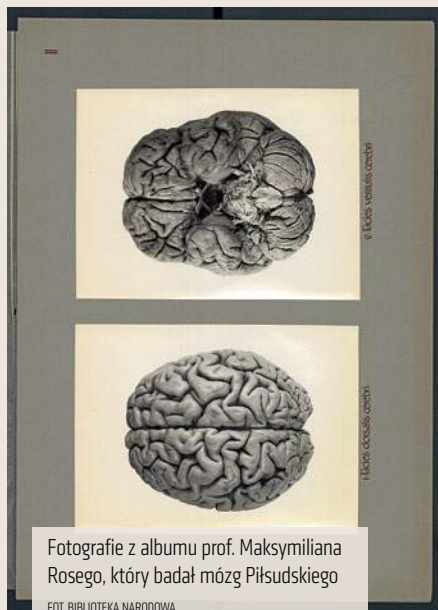
31 mózgu ludzkiego. Jeśli nie prowadzi zajęć i nie leczy chorych, to kroi na strychu kliniki na malutkiej części mózgu ssaków, ptaków i gadów, a także swojego świeżo zmarłego kolegi. Z ciekawością tropi fenomen jego niemuzykalności i wielkiego talentu do języków obcych. Szuka tajemnicy geniuszu zaklętej w budowie mózgu, tak jak w XVIII w. wielki wileński rabi Gaon szukał golemę wśród hebrajskich liter.

W maju 1934 r. wśród wąskiego grona kilku osób, które wiedziały o zbliżającej się śmierci najważniejszej osoby w państwie, jest prof. Rose. Gdy tylko dowiaduje się o pogarszającym się stanie Marszałka, wysyła do stolicy swojego asystenta dr. Jerzego Borysowicza. Piłsudski jeszcze żyje, gdy Borysowicz mknie do Warszawy w towarzystwie żony przyslaną po niego elegancką limuzyną z białą-czerwonymi chorągiewkami. Na kolanach niańczy słoń z własnoręcznie przygotowaną przez prof. Rosego formaliną. Wiadomo: roztwór roztworowi nierówny, a Rose chciał mieć pewność, że TEN mózg będzie przetrzymywany we właściwych warunkach. Pojawił się w Belwederze po najcenniejszym preparacie II Rzeczypospolitej 21 maja o godz. 15. Eskortowany przez lekarza Marszałka, przywiózł go na Antokol. Również 10 dni później Aleksandra Piłsudska razem z córkami przywiozła nad Wilię serce męża. Spocznie ono obok matki i żołnierzy na cmentarzu Na Rossie, gdzie kawałek dalej leżały dwie siostry Marszałka.

Wkrótce obok kliniki powstało w oddzielnym budynku małe mauzoleum dla pierwszego mózgu II RP. „Jeden pokój należy wymurować, ponieważ budynek jest drewniany, okna należy zaopatrzyć kratami. Mózg winien być przechowywany w kasie ogniotrwałej; należy zakupić specjalny mikrotom i 3 szafy do przechowywania skrawków preparatów. Należy również wziąć specjalną laborantkę” – brzmiała instrukcja. Zespół lekarzy przystąpił do pracy. Profesor Rose badał architekturę mózgu, jego kształt, wielkość i wagę. A mauzoleum dla mózgu Piłsudskiego mogła oglądać dwa lata potem z okien śliczna aktorka Zula Pogorzelska, kiedy przyjechała po ratunek do prof. Rosego. Zmarła w lutym 1936 r.

DOSKONAŁY ROZWÓJ ZAKRĘTÓW

Zwieńczeniem pierwszej części badań była opublikowana w 1938 r.



Fotografie z albumu prof. Maksymiliana Rosego, który badał mózg Piłsudskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

zaczęły kursować autobusy miejskie, ale Wilno ma już ostatni krzyk nowoczesności – własną radiostację, która na dodatek nadała pierwsze polskie słuchowisko radiowe. Nowoczesność zagnieździła się także na uniwersytecie; uczelnia tworzy Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej, jeden z najlepszych ośrodków sowietologicznych nie tylko w Polsce, lecz także na świecie. Chętnie też przygarnia Polski Instytut Badań Mózgu. Profesor Rose tworzy kolekcję 217 preparatów, w tym

monografia. Księga, a właściwie album zawierający zdjęcia 36 preparatów wydany w limitowanym nakładzie, oprawiony w skórę, w futerale zamykanym klamkami w kształcie orła. Pracę przetłumaczono na język francuski. Omawiała zaledwie fragment badań prof. Rosego. Dzięki niemu wiemy, że mózg Marszałka ważył 1460 g, jego szerokość poprzeczna była większa ze strony lewej, miał „doskonały rozwój zakrętów”. Nie zauważono żadnych zmian patologicznych. Druga część albumu nigdy nie powstała. W ostatnim dniu listopada 1937 roku prof. Rose wyruszał na wykład, na który nie dotrzedł. Czuje się dziwnie słabo, cofa do pracowni, gdzie umiera na zawał na rękach żony, też neurologa.

Nagle odejście prof. Rosego wprowadza zamieszanie w życie Wydziału Psychiatrii na uniwersytecie, kliniki i Polskiego Instytutu Badań Mózgu. Profesor, który przejmując tę schedę, wyjeżdża na stypendium do Wiednia. Odżywają stare spory o to, kto zarządza kliniką i instytutem – uniwersytet czy resort zdrowia. Instytut zaczyna się borykać z problemami finansowymi, pojawiają się pomysły, by go przenieść do Warszawy i połączyć z Instytutem Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego zarządzanym przez prof. Kazimierza Orzechowskiego, jednego z trzech uczonych, którym powierzono badanie mózgu Marszałka.

LITWA CZY WARSZAWA?

Stella Rose, wdowa po profesorze, która również brała udział w pracach nad mózgiem Piłsudskiego, wspominała, że preparaty miały jednak zostać w Wilnie, na uniwersytecie. „Czy tak się stało?” – to pierwsze z wielu pytań dotyczących losu mózgu Piłsudskiego. Czy prof. Orzechowski, ambitny uczonek, uważany za twórcę warszawskiej szkoły neurologicznej, mógł nie wykorzystać okazji do przejęcia tak cennego materiału badawczego pod swoją pieczę?

Jeśli ściągnął mózg do Warszawy, to nie pozostała o tym żadna wzmianka. Profesor Orzechowski instytutem Nenckiego kierował także pod okupacją niemiecką. Zmarł nagle w swoim mieszkaniu w alei Róż w 1942 r. I to, co wiedział, zabrał ze sobą do grobu.

Zbiorów wileńskich w instytucie Nenckiego nigdy nie odnaleziono. Pojawili się więc przypuszczenia, że mózg

został wywieziony do Berlina, przekazany do dalszych badań instytutowi prof. Vogta. Mógł też zaginąć w zniszczonej Warszawie.

Przed wrześniem 1939 r. klucze do mauzoleum z mózgiem Marszałka wędrują z rąk do rąk, również dr. Jerzego Borysowicza, współpracownika Rosego, który wiozł do stolicy słoje z formaliną.

WILEŃSKI MAGAZYN CZASZEK

Zanim ktokolwiek uporządkuje ten bałagan, wybucha wojna. Pierwsze poważne bombardowanie niemieckie miasto przeżyje 16 września. Tego dnia zamilknie zniszczona przez niemieckich pilotów radiostacja, nadająca przemówienia Starzyńskiego, które gromadziły na placach tłumy wokół mikrofonów. Trzy dni potem nad Wilie wkraczają Sowieci.

Polacy nie do końca wiedzą, czego się spodziewać. Rodzony brat Marszałka, wilnianin Jan Piłsudski, nie czuł się zagrożony. „Twierdził, że bolszewicy zmienili się, są narodem demokratycznym i pozwolą mieszkać mu w Wilnie, w najgorszym razie każą mu wyjechać do Rosji” – pisała Aleksandra we wspomnieniach. Mylił się. Razem z drugim bratem Kazimierzem i kilkusetosobową elitą miasta został aresztowany przez NKWD i wywieziony na Łubiankę. Sowieckie władze, wiedząc, że wkrótce przekażą miasto Litwinom, wywożą

Dzisiaj wiemy, że prof. Rose niczego by się nie dowiedział, bo sposób myślenia człowieka nie zależy od struktury kory, ale od pracy neuronów

bezценne archiwa i książki z Biblioteki Wróblewskich oraz największy zakład przemysłowy miasta – fabrykę radioodbiorników Elektrit. Czy zabrali do Moskwy mózg Piłsudskiego? A może ktoś zdołał go ukryć? Na przykład wśród innych preparatów na Wydziale Medycyny?

Asystent prof. Rosego, dr Jerzy Borysowicz, wyjeżdża z rodziną do Radomia.



AGNIESZKA RYBAK,
ANNA SMÓŁKA
„WIEŻA EIFFLA
NAD PINĄ”
WYDAWNICTWO
CZARNE 2018

Po wojnie okazuje się jednak, że o losach spreparowanego mózgu nic nie wie. To jego dzieci: Bożena Borysowicz i Andrzej Borysowicz, lekarz neurolog, w latach 90. XX w. wyruszą na poszukiwania. Jak tłumaczą – wiedzeni testamentem ojca.

W 1999 r. po bezskutecznych staraniach o poparcie u polskich władz jadą do Wilna. Tam pomagają im polscy dziennikarze i litewscy profesorowie. Bożena Borysowicz w „Naszym czasie” tak rela-

cjonowała tę wyprawę: „Szliliśmy długim i bardzo wysokim korytarzem, którego ściany od dołu do góry zabudowane były półkami, na których znajdowało się chyba ponad 10 tysięcy czaszek ludzkich, śmiejących się do nas wyszczerzonymi zębami. Idziemy dalej po muzeum, chyba anatomii porównawczej.

Tam Andrzej odkrywa odlewy mózgu, dokładnie takie, jak to opisał prof. Rose o odlewach mózgu Marszałka. Bicie serca i wzruszenie. Niestety, są to odlewy z 1925 roku, a więc nie odlewy mózgu Marszałka. Andrzej wyszperał też dwa odlewy mózgu na płótnie (niepodpisane), ale nie odpowiadające odlewom, których szukamy. Idziemy dalej. Pełno słoje z formaliną, a w nich pływające odcięte ręce i płuca. Głowy fetusów, małych dzieci i starszych. Twarze powykrzywane jak na obrazach Picasso. Doskonale zachowana mumia jakiegoś księcia. Mumia mężczyzny z brodą i z jednym tylko wąsem”. Żadne go marszałka.

Co mogło się więc stać z materiałem badawczym? Zwraca uwagę to, że zaginął w całości – fragmenty mózgu, odlewy, dokumentacja.

W XXI w. odnalezienie go ma już tylko symboliczne znaczenie. Wielki rabi Gaon nie wydobyl z hebrajskich liter golem. Dzisiaj wiemy, że Rose niczego by się nie dowiedział z architektury zwojów mózgowych, bo sposób myślenia człowieka zależy nie od struktury kory, ale od pracy neuronów.

Andrzej Borysowicz, brodząc wśród gablot świetnie zachowanej kolekcji owadów na uniwersytecie w Wilnie, powiedział do siostry z właściwym mu sarkazmem: „Motyle widać lepiej przechowują się niż mózgi”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
**SENSACYJNE RELACJE
POLSKICH SPADOCHRONIARZY**

Wojciech Markert – **Jak Anglicy zrzucili winę za klęskę na Polaków**

Mikołaj Iwanow – **Ochrona i zamach w Sarajewie**

Ilan Pappé – **Jak Izrael wypędził Arabów**

Sławomir Koper – **Kochanek cesarza Hadriana**

Jochen Böhrer – **1920: nowe spojrzenie**

Marcin Bartnicki – **Szokujące wyznania sekretarki Goebbelsa**

Laurence Rees – **Dlaczego Amerykanie nie zbombardowali Auschwitz**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Nowi „Niemcy” prosto z Polski



Marcin Bartnicki

Wiele skradzionych polskich dzieci to dziś dorośli, którzy nie wiedzą, że zostali odebrani prawdziwym rodzicom i przymusowo wychowani na Niemców

Małe przestraszone dziecko stoi nago na środku wielkiej sali. Ludzie z siedzącej naprzeciw niego komisji podchodzą i mierzą różne części jego ciała, szczególnie głowę. Wysokość, szerokość, rozstaw oczu. To komisja posługująca się pseudonaukowymi teoriami, decydująca o życiu i śmierci maluchów. Notują i każą

prześć do następnego pomieszczenia, gdzie pielęgnarka pobiera dziecku krew. Selekcji poddawane są nawet niemowlęta. Taką poniżającą drogę przeszło – według różnych szacunków – od 20 do 220 tys. polskich dzieci. Niektóre z nich do dziś żyją w Niemczech, nie wiedząc, że ich prawdziwymi rodzicami byli Polacy, a do Niemiec trafili przymusowo.

DOBRA RASA

Niebieskookie, jasnowłose dziecko, które komisja uznała za wartościowe rasowo, trafia do specjalnego ośrodka. Jaś staje się Hansem, a mała Halinka zmienia imię na Hilde. Specjalny urząd meldunkowy zaciera ślady ich prawdziwej tożsamości, aby nikt w przyszłości nie dowiedział się, skąd pochodzą. Od teraz muszą zapomnieć, że byli Polakami. Za mówienie po polsku czeka ich bicie, kilka dni zamknięcia w zim-

nej piwnicy bez jedzenia, a dla uparcie powtarzających polskie słowa – śmierć. Jeśli maluchom uda się przetrwać, to trafiają do placówki Lebensbornu na terenie III Rzeszy. Tam rodzice mogą przejść się wśród dzieci i wybrać sobie nowego syna lub nową córkę. Intensywna nauka niemieckiego ma przekonać przyszłych rodziców, że adoptują niemieckie dziecko. Nieznany akcent tłumaczy się im pochodzeniem rodziny od wschodnioeuropejskich Niemców. Niektórzy adoptujący przyjmują tę wersję, inni wolą nie zadawać pytań.

Dzieci trafiają zarówno do zwykłych niemieckich rodzin, jak i pod opiekę niemogących mieć własnego potomstwa esesmanów oraz innych gorliwych nazistów. Niektórzy chcą wypełnić lukę po własnym dorosłym synu, który zginął na froncie, inni marzą, by po prostu zaopiekować się osieroconym brzdącem, jeszcze



Komendant obozu karnego dla dzieci w Łodzi Strumbannführer SS Karl Ehrlich podczas przeglądu nowo przybyłych dzieci. FOT. IPN

Oczywiście, aby w ogóle trafić do ośrodka selekcji rasowej, dziecko musiało przeżyć transport. Mimo że dzieci wiezione do Łodzi z Zamojszczyzny, Wielkopolski czy Kujaw nie miały do przebycia długiej drogi, w bydlęcych, nieogrzewanych wagonach musiały spędzić często dwa–trzy dni bez wody i jedzenia. W tych warunkach w pierwszej kolejności umierały najmłodsze maluchy. Wysiedlonych było za dużo, aby niemiecka administracja mogła zbadać wszystkich pod kątem „rasy”, więc niektóre transporty trafiały wprost do Auschwitz. Tam większość dzieci po krótkim czasie była uśmiercana zastrzykiem fenolu prosto w serce. Dzieci, które miały mniej szczęścia, musiały wcześniej przejść męczarnie podczas pseudomedycznych eksperymentów. Trudno to sobie wyobrazić, ale nie było to wcale najgorsze, co mogło spotkać małych Polaków czy Czechów. Najstraszniejszy los czekał niemowlęta i małe dzieci, których Niemcy nie chcieli zostawić przy życiu, ale zabicie ich mogło spowodować nieoczekiwaną reakcję rodziców – przymusowych robotników, którzy byli potrzebni Rzeszy.

UMIERALNIE DLA NIEMOWLĄT

Dzieci, w tym również niemowlęta, które podczas badań rasowych nie zostały zakwalifikowane do zniemczenia, traktowano jako „niepożądany przyrost ludności”.

„Dwa pomieszczenia. Na podłodze ciasno poukładane sienniki. Na nich siedzą lub leżą dzieci. Od niemowląt po pięcioletki. Są wycieńczone. Nie mają siły, by się ruszać. Dzieci nie mówią, część nie umie. A reszta się boi. Bo za mówienie po polsku jest bicie. Wolno tylko po niemiecku. Maluchy są brudne, nie mają włosów. Ubrane w łachmany. Spod strzępek ubrań widać wrzody. Czasem rany aż do kości. W izbach nie ma ogrzewania, więc w zimie marzną. Są wystraszone. Boją się światła i dźwięków. Ale przede wszystkim są głodne. Niemowlętom przysługuje pół litra mleka i kostka cukru dziennie. Dla starszych ustawiane jest koryto. Z niego jedzą gotowaną marchew i brukiew” – piszą autorzy książki „Teraz jesteście Niemcami” o zakładzie dla dzieci w Wąsoszu koło Rawicza. Z zeznań zgromadzonych przez Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich wynika, że w latach 1943–1945 ośrodek dla dzieci robotników przymusowych z Dolnego Śląska służył powolnemu uśmiercaniu swoich podopiecznych. Trafiło do niego 485 polskich dzieci, przeżyło 39. W III Rzeszy było kilkadziesiąt takich ośrodków, do dziś dokładnej liczby nie udało się oszacować.

Podobne ośrodki działały w całej Rzeszy przy obozach pracy przymusowej. Również przy tych należących do prywatnych przedsiębiorstw, m.in. przy zakładach Kruppa, który prowadził 57 obozów niewolniczej pracy. „Dzieci były niedożywione. Nie było tam dziecka, którego ramiona czy ręce byłyby grubsze od mojego kciuka” – zeznawał po wojnie Ernst Wirtz, pracownik koncernu Kruppa. Z jego relacji wynika, że przedsiębiorstwo przetrzymywało w umieralni dzieci w wieku od narodzenia do drugiego roku życia. Rodzice musieli oddawać część pensji w zamian za utrzymanie swoich niemowlaków, ale nie mogli ich odwiedzać. Gdy dziecko zmarło, śmierć tłumaczono im chorobą. „50 lub 60 dzieci umierało codziennie i tyleż rodziło się każdego dnia, ponieważ tam był stały dopływ robotnic ze Wschodu wraz z dziećmi” – zeznawał Wirtz. Zwłoki zagłodzonych niemowląt spalono w obozie.

Mechanizm eksterminacji był wstrząsający nawet dla niektórych oficerów SS wizytujących podobne ośrodki. „Podczas inspekcji stwierdziłem, że wszystkie znajdujące się w tym zakładzie niemowlęta były niedożywione – pisał 11 sierpnia 1943 r. w liście do Himmlera SS-Gruppenführer Erich Hilgenfeldt po wizycie w ośrodku w Spital am Pyhrn w Austrii. – Jak poinformował mnie SS-Oberführer Langoth, na podstawie decyzji provincialnego urzędu wyżywienia przydziela się ochronce jedynie po pół litra mleka i po półtorzej kostki cukru na jedno niemowlę dziennie. Na takich racjach niemowlęta muszą po kilku miesiącach zginąć z niedożywienia. [...] Są tu tylko dwie możliwości. Albo nie chce się, aby dzieci pozostawały przy życiu – a wówczas nie można zagładzać ich powolnie i w ten sposób odciągać jeszcze więcej litrów mleka z powszechnej aprowizacji; istnieją bowiem sposoby, aby uczynić to bez dręczenia i bezboleśnie. Albo zamierza się dzieci te wychować, aby później móc je wykorzystać jako siłę roboczą. Wówczas jednak należy je odżywiać w taki sposób, aby kiedyś stały się pełnowartościowe dla pracy”.

CHARYTATYWNA GERMANIZACJA

Instytucją prowadzącą selekcję i germanizację polskich dzieci było działające w strukturach SS stowarzyszenie Lebensborn (z niem. „Źródło życia”). Organizacja została założona jeszcze przed wojną. Pierwotnie jej głównym celem było m.in. zapobieganie dokonywanym masowo

inni potrzebują darmowej siły roboczej. Nawet taki los to najlepsze, co mogło spotkać dzieci robotników przymusowych, wychowanków sierocińców, dzieci zamordowanych Polaków, wysiedlanych z Zamojszczyzny, czy po prostu maluchy odbierane siłą rodzicom.

Największe szanse na przeżycie miały najmłodsze dzieci, najlepiej, jeśli nie potrafiły jeszcze dobrze mówić. Nie wiedziały, skąd pochodzą, szybko zapominały pierwsze wypowiedziane po polsku słowa, doświadczenia z pierwszych lat życia i łatwo uczyły się nowego języka. W tak młodym wieku pranie mózgu przeprowadzano bardzo skutecznie. Starsze dzieci pamiętały, kim są i skąd pochodzą. Niektóre próbowały uciekać z ośrodków przymusowej germanizacji. Tak się stało w Bruczkowie. Grupa ok. 10-letnich chłopców została jednak schwytana i rozstrzelana.



Rabunek polskich dzieci podczas operacji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie. FOT. WIKIPEDIA

■ aborcjom. W latach 30. w ciągu roku w Niemczech dokonywano nawet ponad pół miliona zabiegów. Dla nazistów była to strata „wartościowych rasowo” dzieci. Kobiety w ciąży mogły więc zamieszkać w domach Lebensbornu i urodzić dziecko, którym zajmowała się następnie organizacja. Program nie okazał się wielkim sukcesem, dlatego po rozpoczęciu wojny „wartościowych rasowo” dzieci zaczęto poszukiwać na podbitych terenach, głównie w Polsce.

W latach 1947–1948 kierownictwo Lebensbornu było sądzone w ósmym procesie norymberskim za zbrodnie przeciw ludzkości. Nadchodząca zimna wojna skutecznie ostudziła jednak zapal Amerykańskiego Trybunału Wojskowego, który zaczął wydawać zaskakujące wyroki. Lebensborn został uznany w Norymberdze za organizację charytatywną, w związku z czym całe kierownictwo odpowiedzialne za selekcję, germanizację oraz mordowanie dzieci zostało uniewinnione. Wyrok oburzył nawet samych Niemców. Dwa lata później Trybunał Denazyfikacyjny w Monachium uznał Lebensborn za organizację zbrodniczą.

Sprawcy zbrodni nie zostali jednak pociągnięci do odpowiedzialności. W książce „Teraz jesteście Niemcami” znajdziemy opis ich powojennych losów. Doktor Gregor Ebner, który z polecenia Himmlera od 1937 r. kierował Lebensbornem, po wojnie prowadził praktykę lekarską w Bawarii. Doktor Hildegard Hetzer już przed wojną była cenionym psychologiem dziecięcym. Do ośrodka w Bruckowie skierowano ją w marcu 1942 r. na osobiste polecenie Himmlera. Zajmowała się tam selekcjonowaniem dzieci. Te, które nie wykazywały pożądanych „aryjskich” cech charakteru, były kierowane do obozu koncentracyjnego dla dzieci w Łodzi – Polen Jugendverwahrlager der Sicherheit-

spolizei in Litzmannstadt. Przeniesiono ją jednak po tym, jak w zdecydowany sposób zażądała wydania dwojga dzieci polskim matkom, które zgłosiły się do ośrodka. Po wojnie początkowo miała problem ze znalezieniem pracy, ostatecznie jednak pozytywnie przeszła denazyfikację i mogła kontynuować karierę naukową. Pracowała na Uniwersytecie Giessen aż do 1989 r. do 90. roku życia.

Jeszcze bardziej zaskakująco potoczyły się losy Eugenii Pohl, demonicznej nadzorczyńi z obozu dla dzieci w Łodzi, która słynęła z wymyślnych, brutalnych kar; karała dzieci chłostą m.in. za moczenie się w nocy. Taki los spotkał małą Gienię. „Gienia musiała kłaść się na specjalnej ławce do bicia, to była deska na czterech kółkach – wspomina Zyta Suś. – Ramiona wyciągnięte do góry. Uderzenia musiała liczyć po niemiecku i nie wolno jej było płakać. Za drugim razem niosłyśmy ją do naszej sali ledwie żywą. Całą noc czuwałyśmy przy niej. Rano Gienia oświadczyła, że umrze. Pocałowałam ją i poprosiłam, żeby tego nie robiła. Kilka minut później już nie żyła. To było moje pierwsze spotkanie ze śmiercią”. Sadystyczna nadzorczyńi została po wojnie w Łodzi, zmieniła nazwisko na Poll i... zatrudniła się jako wychowawczyni w przedszkolu. Powiązano ją ze zbrodniami z czasów wojny dopiero w 1974 r. Została skazana na 25 lat więzienia. Wyjechała jednak wcześniej – za dobre sprawowanie.

GORSA RASA

Powojenne losy zrabowanych dzieci to kolejny zestaw tragicznych historii. Niektóre, szczególnie młodsze z nich, wołały zostać z niemieckimi rodzinami – jedynymi bliskimi, których znały. Mówiły

wyłącznie po niemiecku i nie rozumiały, dlaczego miałyby jechać do Polski. Wiele z nich do końca życia nie zdawało sobie sprawy, że są adoptowane. Dla wracających do Polski podróż była kolejnym etapem gehenny. Dzieci znów pakowano do bydłych wagonów, co powodowało kolejne ofiary. Ledwie mówiące po polsku, często z twardym niemieckim akcentem, stawały się wyrzutkami w środowisku rówieśników. Znów ze względu na narodowość. Po powrocie często nikt na nie nie czekał i trafiały do domów dziecka. W zniszczonym wojną, okupowanym kraju żyły w warunkach znacznie gorszych niż u niemieckich rodzin. Poza dziećmi, które po wojnie trafiły do swoich rodziców, najlepszy los spotkał sieroty, które na zaproszenie władz Hiszpanii wyjechały do ośrodka dla polskich dzieci w Barcelonie. Mali uchodźcy mogli w spokoju i w dobrych warunkach doczekać dorosłości. Wielu z nich wyjechało później do USA.

Nieliczni żyjący zgermanizowani Polacy do dziś szukają sprawiedliwości w niemieckich sądach. Pomagają im w tym również Niemcy zaangażowani w upamiętnienie zbrodni. Hermann Lüdeking, niegdyś 10-letni Romek, wie, że już nigdy się nie dowie, kim byli jego rodzice i co się z nimi stało. Od lat walczy o odszkodowanie. Nie zależy mu jednak na pieniądzach. – Chodzi o symbol, o uznanie naszych krzywd. Zapomniano o nas. Po prostu nas zignorowano – mówił w rozmowie z Moniką Sieradzką, jedną z autorek książki „Teraz jesteście Niemcami”. Jak pisze Sieradzka, według wytycznych niemieckiego rządu z 2011 r. o odszkodowanie mogą ubiegać się wyłącznie ludzie, którzy w momencie doznania krzywd byli etnicznymi Niemcami lub obywatelami Niemiec.

Roszczenia mogą dotyczyć grup uznanych przez nazistów za „mniej wartościowe rasowo”. Niestety, polskie dzieci uznane za „mniej wartościowe rasowo” zostały poddane eksterminacji, więc o żadną rekompensatę ubiegać się nie mogą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PRACA ZBIOROWA
„TERAZ JESTEŚCIE NIEMCAMI”
WYDAWNICTWO M
2018

Wszystkie cytaty pochodzą z książki „Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci”, napisanej m.in. przez dziennikarzy Interii w ramach projektu poszukiwania zrabowanych polskich dzieci realizowanego wspólnie z Deutsche Welle.

REALHISTORIK

W piekle chińskich łagrów



PIOTR ZYCHOWICZ

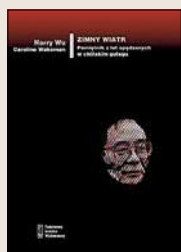
Komunizm uważam za najbardziej potworny system, jaki wymyślił człowiek. Pogląd ten ugruntowała we mnie lektura tzw. literatury łagrowej. Wspomnień ludzi, którzy mieli diabelne szczęście: udało im się wyrwać z kosmaru Gułagu i opisać swoje przeżycia. Mowa o książkach Warłama Szalamowa, Aleksandra Sołżenicyna, Eugenii Ginzburg czy Iwana Sołoniewicza.

Teraz do autorów tych dołączył Harry Wu, autor „Zimnego wiatru”. Wu nie siedział w łagrach ZSRS, ale w obozach re-educacyjnych Chińskiej Republiki Ludowej. Lektura jego wspomnień zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Pierwszy powód jest oczywisty: w chińskich obozach Wu przeszedł przez prawdziwe piekło. Głód, mróz, upokorzenia, bestialska przemoc. Dziewiętnaście lat (1960–1979) nieprzerwanej gehenny.

Drugi powód może się okazać zaskakujący. Wydawałoby się, że Chiny i ZSRS to dwa różne światy, dwie kultury, dwie inne mentalności. Otóż, nie! To, co uderza w „Zimnym wietrze”, to bliźniacze podobieństwo chińskich obozów do ich sowieckich odpowiedników. Chodzi o procesy zachodzące w ludziach. Zarówno w strażnikach, jak i w więźniach. Pisząc krótko – obozy zabijały w nich człowieczeństwo. Obdzierały ich z godności i ludzkiej solidarności.

„Dla mnie twarda i agresywna postawa była uzasadniona, a wynikała ze stopniowo nabywanego i umacnianego przez lata przekonania, że w obozach przetrwają jedynie ci, którzy najlepiej się przystosują – pisze Wu. – Myślałem jedynie o własnym żołądku i odpędzałem każdego, kto zbyt blisko się zbliżył. Nie miałem już przyjaciół wśród współwięźniów i nikomu nie pomagałem, nie dzieliłem się z tymi, którzy byli zbyt słabi, by kopać. Nie przyszło mi nawet do głowy, by komukolwiek okazać współczucie”.

Najbardziej wstrząsnął mną opis wydrapywania z zamrażniętej na kość ziemi nadgniętych marchewek. Wu wyszarpywał je gołymi, krwawiącymi rękami odmrażając palce i łamiąc paznokcie. To dzięki tym nędznym warzywom Wu zdołał ocalić życie i napisać swoją wstrząsającą książkę. ©



★★★★★

HARRY WU,
CAROLINE
WAKEMAN„ZIMNY WIATR.
PAMIĘTNIK Z LAT
SPĘDZONYCH
W CHIŃSKIM
GUŁAGU”
PIW 2018

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA



SŁAWOMIR KOPER

Zbrodnia po pasterce

Niestety, Boże Narodzenie nie zawsze było dniami zgody i pokoju. W nocy z 24 na 25 grudnia 1976 r. doszło do jednej z najbardziej obrzydliwych zbrodni w dziejach naszego kraju. Na drodze z Połańca do Zrębina w Świętokrzyskiem zostali zamordowani powracający z pasterki: 18-letnia Krystyna

za gwałt, został ławnikiem sądowym! Miał liczne pretensje do swoich kuzynów, wreszcie wraz ze swoim szwagrem, Józefem Adasiem, i dwoma zięciami postanowili krwawo zakończyć spór.

Ofiary wywabiono z kościoła, nie wpuszczono ich do autokaru, gdzie trwała libacja alkoholowa, po czym mordercy ruszyli za nimi samochodem osobowym. Z zimną krwią rozjechano idących poboczem, następnie dobito ich kluczami od kół. Wszystko to odbyło się na oczach mieszkańców wsi znajdujących się w autokarze, który jechał za samochodem osobowym. Było to zresztą bardzo interesujące towarzystwo miejscowych prominentów: softys, aktywiści partyjni i członek ORM.

Pogrzeb odbył się zaraz po świętach. Sojda i pozostali mordercy nieśli na cmentarz trumny zamordowanych przez siebie krewniaków...

Śledztwo prowadzono w kierunku wypadku samochodowego, jednak niektórzy świadkowie postanowili prze-rwać milczenie. Zbrodniarze byli bezwzględni, najbardziej „rozmowny” z sąsiadów niebawem utonął w pobliskiej rzeczce. Morderców aresztowano dopiero po wielu miesiącach.

Sojda i Adaś zostali powieszzeni, zięciów tego pierwszego ułaskawiła Rada Państwa. Osiemnaście osób skazano na kilkuletnie więzienie za składanie fałszywych zeznań. Zmowa milczenia była zresztą tak silna, że do dzisiaj w Zrębiniu nie ma chętnych do rozmowy na temat wydarzeń sprzed lat. ©

Od świadków bandyci odebrali przysięgę milczenia przed różańcem

Łukaszek, będąca w piątym miesiącu ciąży, jej mąż Stanisław oraz brat dziewczyny, 12-letni Mieczysław Kalita. Mordercami byli ich krewni, mieszkańcy tej samej wsi, a zbrodni dokonano na oczach sąsiadów. Od świadków bandyci odebrali przysięgę milczenia potwierdzoną przed różańcem, po czym przekłuwano im palce agrafką, by przysięgali nie tylko na krzyż, lecz także na własną krew...

Nawet po latach zastanawia wiara sprawców we własną bezkarność. Zaplanowali dokonanie morderstwa po pasterce, na oczach mieszkańców Zrębina, którzy przyjechali do kościoła autokarem. Byli przekonani, że nikt nie ośmieli się zeznawać przeciwko nim. Główny zbrodniarz, Jan Sojda, uchodził bowiem za najbogatszego człowieka w okolicy, mającego odpowiednie kontakty. Mimo że w przeszłości był karany



Piotr Włoczyk

Rządzący arcykatolickimi Filipinami Rodrigo Duterte rozpoczął szaleńczą kampanię wymierzoną w Kościół i Boga. Czy to początek końca tego polityka?

Spośród ponad 100 mln mieszkańców Filipin ok. 84 mln to katolicy. W całej Azji nie ma większego katolickiego kraju. Filipiny to trzecie największe katolickie państwo na świecie (pierwsze miejsce zajmuje Brazylia, a drugie Meksyk). Gdy w 2015 r. papież Franciszek wylądował w Manili, w ceremonii powitania i we mszy świętej wzięło udział, jak szacowały władze stolicy Filipin, ok. 6 mln ludzi. To absolutny rekord, jeżeli chodzi o papieskie pielgrzymki. W 1995 r. Jana Pawła II witało w Manili ok. 5 mln ludzi.

Nie sposób wyobrazić sobie Filipin bez żywiołowego katolicyzmu mieszkańców tego archipelagu. To jeden z dwóch krajów na świecie, gdzie rozwody są nielegalne, natomiast aborcja jest tam zakazana w większości przypadków. W tym kontekście zachowanie prezydenta wydaje się kompletnym szaleństwem.

WŁASNY KOŚCIÓŁ

„Tych waszych biskupów powinniście zabić. To bezużyteczni głupcy. Oni tylko potrafią krytykować” – powiedział na początku grudnia Rodrigo Duterte. Nie była to pierwsza antychrześcijańska tyrada przywódcy Filipin. Na Wszystkich Świętych prezydent proponował wiernym, by wystawiali w kościołach jego portrety (nazwał się przy tej okazji „Santo Rodrigo”), a świętych nazywał „pijakiem”. Z kolei wcześniej w wulgarnych słowach określił Boga, a także w obrzydliwy sposób wyzywał papieża Franciszka. Prezydent Filipin wzywał ponadto swoich rodaków do modlenia się w domach i zaprzestania chodzenia do kościołów. Duterte kilka lat temu publicznie powiedział, że w szkole średniej był molestowany przez amerykańskiego – nieżyjącego już – jezuitę, ale do niedawna przyznawał się do katolicyzmu. Co się stało, że teraz mówi o katolikach per „piep...eni” i publicznie plecie androny, że założył własny Kościół?

Prezydent na wojnie z Bogiem



FOT. ROQUELE UALIZUMA/WIRE FORUM

Cała ta antykatolicka kampania Duterte to odpowiedź na ostrą krytykę ze strony hierarchów Kościoła katolickiego na Filipinach w związku z niezwykle brutalną „wojną z narkotykami” prowadzoną przez prezydenta. Według głowy państwa miejsce przestępców jest nie w więzieniu, ale w grobach. Kościół mocno sprzeciwia się takiemu podejściu do problemu.

Jak szacuje filipińska policja, od czerwca 2016 r. (początku rządów Duterte) w akcjach przeciw domniemanym członkom mafii narkotykowych zabitych zostało ponad 4 tys. ludzi. Organizacje broniące praw człowieka na Filipinach twierdzą jednak, że liczba zabitych jest wielokrotnie wyższa, a wśród ofiar jest wiele osób postronnych, w tym narkomanów. W sierpniu zeszłego roku padł pod tym względem rekord: jednego dnia zabitych zostało aż 32 ludzi podejrzewanych o handel narkotykami. W reportażach telewizyjnych z bliska tę „wojnę z narkotykami” widać, jak bardzo sterroryzowani są brutalnymi metodami policji mieszkańcy biednych dzielnic filipińskich miast.



Policja tłumaczy tak dużą liczbę zabitych oporem, jaki mają stawiać podejrzani podczas prób zatrzymania.

Obroncy praw człowieka twierdzą jednak, że wiele spośród tych zatrzymań to w rzeczywistości zwykłe egzekucje na miejscu, będące efektem zaleceń prezydenta. „Moja kampania przeciw dilerom nie zakończy się do momentu, gdy ostatni z nich zostanie...” – mówił niedawno Duterte, imitując na koniec swojej wypowiedzi przeciąganie noża po szyi.

Nie dziwi, że filipińscy hierarchowie wielokrotnie już wzywali prezydenta do opamiętania i zmiany zasad prowadzenia „wojny z narkotykami”.

Coraz ostrzejsze stanowisko Duterte względem Kościoła – wszystko na to wskazuje – ma tragiczne konsekwencje. W ciągu ostatniego roku zamordowanych zostało na Filipinach trzech księży.

Już w czerwcu, po zabójstwie kolejnego duchownego, filipińscy hierarcho-

wie, na czele z abp. Lingayen-Dagupan Socratesem Villegasem, wezwali prezydenta, by przestał „prześladować Kościół katolicki, ponieważ takie ataki mogą zachęcić do jeszcze częstszych zbrodni przeciw księżom”. W dramatycznym liście najważniejsi filipińscy duchowni pisali: „Zabijane są nasze owce, zabijani jesteśmy my, pasterze. Zabija się naszą wiarę, przeklina nasz Kościół”.

Bezpośrednim powodem publikacji listu było zabójstwo 43-letniego ks. Richmonda Nilo, który został zastrzelony w kościele na oczach 70 wiernych przez niezidentyfikowanych sprawców akurat, gdy przygotowywał się do odprawienia mszy św. Sytuacja księży stała się tak niebezpieczna, że niektórzy najgłośniejsi krytycy Duterte w sutannach musieli zacząć się ukrywać przed zabójcami.

Po fali krytyki, która spadła ostatnio na prezydenta, jego kancelaria wydała oświadczenie, że słowa o zabijaniu biskupów były jedynie „hiperbolą”. Jak cytował prezydenckiego rzecznika filipiński portal Rappler: „Prezydent, tak jak każdy normalny człowiek, jest po ludzku zły, kiedy wszystkie dobre rzeczy, które robi dla tego kraju, nie są doceniane przez tych, którzy powinni to wspierać, jak choćby Kościół”. Ostry spadek w sondażach pokazuje, że tak zjadliwe ataki na Kościół i Boga nie opłaciły się prezydentowi.

Chociaż już wcześniej Duterte mówił przedziwne rzeczy, to w ostatnim czasie jego zachowanie stało się jeszcze bardziej niezrozumiałe. Na początku grudnia prezydent wprawił w konsternację nawet swoich najbardziej zagorzałych zwolenników, stwierdzając, że zdarza mu się zapalić marihuanę, kiedy chce się pobudzić. W kraju, przez który przelewa się rzeka krwi wywołana „wojną z narkotykami”, takie słowa siłą rzeczy muszą szokować. Potem tłumaczył, że to wszystko żarty i że taki już ma „styl”.

DEKAPITACJA PO ŚMIERCI

Duterte w 2016 r. zdobył prezydenturę obietnicą brutalnej rozprawy z kryminalistami. W kampanii wyborczej zapowiadał, że wypłeni całą przestępczość w ciągu pół roku od objęcia urzędu. Jasno deklarował, że metodą będzie zabijanie handlarzy narkotyków, kryminalistów i wszystkich „sukinsynów”. Zapowiadał, że przywróci karę śmierci, a największych złoczyńców będzie po śmierci pozbawiał głów. Wielu Filipiń-

czyków, którzy byli zmęczeni narastającą od lat falą przestępczości, postanowiło dać szansę Duterte.

Obecny prezydent Filipin od lat słynął z bardzo ostrego języka i brutalnej walki z przestępczością. 73-letni Duterte – z wykształcenia prawnik – przez wiele lat pracował jako prokurator w Davao City, trzecim największym mieście Filipin. Następnie przez 22 lata był burmistrzem tego miasta. W swoim tekście na temat rządów Duterte w Davao City Reuters napisał, że „organizacje broniące praw człowieka udokumentowały przynajmniej 1,4 tys. zabójstw w Davao, których od 1998 r. miały dokonać szwadrony śmierci. Większość zabitych to narkomani, drobni przestępcy i dzieci ulicy”.

O kierowanie szwadronami śmierci obrońcy praw człowieka oskarżają właśnie Duterte. On sam zaprzecza temu, ale równocześnie już wielokrotnie w różny sposób sugerował, że popiera takie samosądy. Przykładowo w 2009 r. mówił dziennikarzom: „Jeżeli robisz coś nielegalnego w moim mieście, jeżeli jesteś kryminalistą albo częścią grupy, która żeruje na niewinnych mieszkańcach tego miasta, to dopóki jestem tu burmistrzem, dopóty zabicie cię będzie w pełni legalne”.

W tym samym 2009 r. Human Rights Watch alarmowało, że w Davao City policjanci przekazują szwadronom śmierci informacje o przestępcach. Wyniki raportu zostały odrzucone przez lokalną policję, która wszystkiemu kategorycznie zaprzeczyła. Z kolei w październiku 2016 r. Duterte przyznał wprost w rozmowie z BBC, że jako burmistrz Davao City sam zastrzelił trzech mężczyzn. Potem jednak jego rzecznik tłumaczył, że wypowiedzi prezydenta nie powinno się brać literalnie...

Wiele na temat atmosfery w szeregach policji w Davao City, którą pomógł stworzyć Duterte, mówi wypowiedź mjr Milagrace Driz, rzeczniczki miejscowych stróży prawa, która w 2016 r. rozmawiała z dziennikarzami Reutersa na temat zabicia na miejscu w akcji policyjnej trzech mężczyzn podejrzewanych o handel narkotykami. „Ich przeznaczeniem jest śmierć, ponieważ wybierają życie kryminalistów. Burmistrz już powiedział, że w tym mieście nie ma miejsca dla kryminalistów”. Trudno się dziwić, że Kościół apeluje, by ta „wojna z narkotykami” była prowadzona w cywilizowany sposób. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Budzisz

W Rosji średnio temperatury rosną szybciej niż w innych częściach świata. To zwiastuje poważne kłopoty

Kiedy pracująca dla ONZ grupa ekspertów opublikowała przed katowickim szczytem swój alarmistyczny raport na temat zmian klimatycznych, stał on się przedmiotem dyskusji i analiz. Wszędzie, tylko nie w Rosji. Jeden z fińskich ośrodków naukowych śledzący, jak europejskie media opisują sprawy zmian klimatycznych, odnotował, że z grupy 50 ogólnokrajowych gazet rosyjskich tylko w pięciu znalazły się jego, dość skrótowe zresztą, omówienia. Nie ma w tym niczego dziwnego, skoro sam Władimir Putin wypowiadając się publicznie na ten temat, powiedział, że w gruncie rzeczy nie wiadomo, czy odnotowywany wzrost średnich temperatur jest efektem aktywności człowieka czy bliżej nam nieznanymi zmianami w naszej galaktyce, czy wręcz w zakamarkach kosmosu. Chociaż Rosja podpisała przed trzema laty w Paryżu porozumienie klimatyczne, to nadal go nie ratyfikowała, a przedstawiciele władz o zjawisku określonym zbiorczym terminem „efektu cieplarnianego” wypowiadają się w sposób dość lekceważący. A nawet można w Rosji spotkać głosy, że kraj na ociepleniu klimatu zarobi.

Przede wszystkim dlatego, że zdaniem niektórych ekspertów topienie się lodów arktycznych ułatwi dostęp do znajdujących się tam wielkich pokładów węglowodorów oraz metali rzadkich, ale również umożliwi uruchomienie tzw. północnej drogi morskiej, która znacznie skracza czas niezbędny do transportu chińskich towarów do Europy. Rosjanie zrobili już w tym kierunku pierwszy krok. W sierpniu i we wrześniu duński Maersk Line, jedna z największych światowych firm obsługujących przewóz kontenerów, zorganizowała próbny rejs na trasie Pusan (Korea Południowa) – Petersburg. Statek wypłynął z Korei 28 sierpnia, a zawinął do Petersburga 28 września. Rejs zajął mu równo miesiąc, podczas gdy tzw. południowa trasa zajmuje od 35 do 40 dni. W rosyjskich mediach zrobił się straszny szum,



nie brak było głosów, że oto otwiera się przed krajem kolejna żyła złota.

Jednak sytuacja może nie być tak korzystna, jakby to wyglądało na pierwszy rzut oka. Co najmniej z kilku powodów. Cała rosyjska północ zbudowana została na wiecznej zmarzlinie, która pokrywa 65 proc. obszaru Federacji Rosyjskiej. I ona w przyspieszonym tempie rozmraża, bo średnie temperatury rosną w Rosji szybciej niż w innych częściach świata.

TO SIĘ ZAPADA

We wrześniu rosyjskie ministerstwo przyrody opublikowało coroczny raport na temat stanu rosyjskiego środowiska naturalnego. Znalazły się w nim informacje, na które warto zwrócić uwagę. Otóż zdaniem rosyjskich ekspertów ocieplanie się klimatu nie na każdej szerokości geograficznej następuje w tym samym tempie. O ile od roku 1976 do 2017 r. średnia temperatura na naszej planecie podniosła się w ciągu dekady o 0,18 st. C, o tyle w Rosji proces ten postępował 2,5 razy szybciej i dekadowy wzrost średnich temperatur wyniósł 0,45 st. C. W efekcie rok 2017 był jednym z czterech najcieplejszych lat w Rosji od 1936 r.

Rosyjscy klimatolodzy są zdania, że w perspektywie najbliższych 20 lat efektu cieplarnianego nie uda się zatrzymać, nawet gdyby, co niemożliwe, emisję gazów odpowiedzialnych za to zjawisko (przede wszystkim dwutlenku węgla, a także

metanu) ograniczyć do zera. Pytanie tylko, czy będziemy mieli do czynienia ze scenariuszem umiarkowanego czy lawinowego wzrostu średnich temperatur. W tym pierwszym wariantcie średnie roczne temperatury wzrosną do końca stulecia o 1,5–2 st. C, w tym drugim proces znacznie przyspieszy, nawet do 5 st. C pod koniec ósmej dekady naszego wieku.

Jakie mogą być skutki podniesienia się średnich temperatur, widać na rosyjskiej północy już dzisiaj. Zbudowano tam wszystko – począwszy od fabryk, przez rurociągi, a skończywszy na domach, szkołach i szpitalach – zakładając, że wieczna zmarzlina latem rozmraża do głębokości około jednego metra. Tylko że obecnie to już są niemal 2 metry. Grunt osiada, a budowle i drogi zaczynają pękać. Najgorszy wpływ osiadanie gruntów wywiera na rurociągi służące do przesyłu ropy naftowej i gazu. Według danych rosyjskiego ministerstwa energii tylko w ciągu 10 miesięcy tego roku miały miejsce 11 403 awarie ropociągów, czyli średnio ponad 1,1 tys. miesięcznie. Straty z tego tytułu przekraczają 46 tys. ton rocznie. Oczywiście głównym powodem jest stan infrastruktury, bo rury nie są nowe i już w niemałej części skorodowane, ale osiadanie gruntu tylko przyspiesza ten proces. Rosyjski Greenpeace jest zresztą zdania, że informacje o liczbie awarii rurociągów są przez władze celowo zaniżane i w istocie mamy do czynienia z liczbą ok. 35 tys. uszkodzeń



FOT. ADRIAN STOK

rocznie, z których nie mniej niż 20 proc. wywołane jest procesem osiadania gruntu w wyniku topnienia wiecznej zmarzliny.

A trzeba pamiętać, że znakomita część rosyjskich zasobów ropy i gazu zlokalizowanych na terenach łatwiej dostępnych jest już w dużym stopniu wyeksploatowana i teraz wydobywanie powinno zacząć się na terenach północnych. Specjaliści oceniają, że na dalekiej północy znajduje się 93 proc. rosyjskich zasobów gazu ziemnego i 75 proc. ropy naftowej. Nie tylko trudno dostępnych, lecz także takich, w których instalacje do transportu tego, co się wydobydzie, trzeba budować od nowa. Dzisiaj długość rurociągów zlokalizowanych na Syberii to 340 tys. km. Przyspieszone ich zużywanie się musi mieć wpływ na możliwości rosyjskiego eksportu węglowodorów. Podnoszenie się poziomu oceanów nie przybliży rozwiązania problemu, bo porty i bazy zlokalizowane na dalekiej północy mogą zostać zalane lub dostęp do nich może się niezmiernie skomplikować. Zdaniem Georgija Safonowa, dyrektora Centrum Ekonomii Środowiska w moskiewskiej Wyższej Szkole Ekonomii, ryzyko dla infrastruktury przesyłowej na rosyjskiej dalekiej północy w związku z ociepleniem będzie narastało. „Rozmarzanie wiecznej zmarzliny – argumentuje – stanowi zagrożenie dla całego rosyjskiego systemu energetycznego, ale przede wszystkim dla perspektyw eksportu węglowodorów”.

Jego zdaniem zlokalizowana tam infrastruktura ma już 40–50 lat i budowana była w czasach, kiedy o ociepleniu klimatu nikt, tym bardziej w Rosji, nie słyszał.

Być może to właśnie ryzyko miał na myśli saudyjski następca tronu książę Muhammad ibn Salman, ten sam, z którym Władimir Putin „przybił sobie piątkę” na szczycie państw G20 w Buenos Aires, kiedy na początku października udzielił grupie dziennikarzy Agencji Bloomberg wywiadu. Zaskoczył prognozą, w myśl której do roku 2030, w jego opinii, Rosja znakomicie zmniejszy swój udział na rynku eksporterów ropy naftowej, a może nawet jej udział spadnie do zera.

ROZTOPY I SUSZE

Mathias Ulrich, niemiecki geograf z Uniwersytetu w Lipsku, który badał z Jakucji efekty zmian klimatycznych, jest zdania, że rosyjskie władze generalnie bagatelizują problem. W jego opinii topienie się wiecznej zmarzliny w dość zasadniczy sposób zmieni nie tylko warunki budowlane, lecz także krajobraz regionu, bo uwolnione wody nie wyparują. Na poparcie swych tez przedstawił serię zdjęć jednego miejsca, w którym jeszcze w 1990 r. wypasano w sezonie letnim bydło, a dziś nie jest to możliwe, bo miejsce trawy zajęły oczka wodne i mokradła. Innymi słowy, w jego opinii w nadchodzących latach będziemy obserwowali na rosyjskiej dalekiej północy przekształcenie dziesiątek tysięcy kilometrów kwadratowych tundry w trudno dostępne błota.

Inny, ale nie mniej apokaliptyczny obraz kreśli w wywiadzie dla moskiewskiej „Prawdy” Borys Morgunow, dyrektor Instytutu Ekologii w moskiewskiej Wyższej Szkole Gospodarki. Jego zdaniem na rosyjskiej północy, szczególnie na półwyspie Jamał, ale nie tylko, zalegają ogromne pokłady płytko zlokalizowanego metanu. Topienie się powłoki wiecznej zmarzliny sprzyjało będzie uwalnianiu gazu, co nie tylko przyspieszy efekt cieplarniany, lecz będzie także miało fatalny wpływ na pracujących na tych terenach ludzi, a może nawet je uczynić zupełnie niedostępnymi.

Podniesienie się temperatury wód światowego oceanu, zdaniem Morgunowa, może wywołać dwa dodatkowe i obydwa negatywne zjawiska. W jego opinii rozkład prądów morskich jest taki, że odpady i zanieczyszczenia, które na ogromną skalę wyrzucane są do morza w Azji Południowo-Wschodniej, będą dryfowały i znajdą się na rosyjskiej północy.

I wreszcie ryby lubiące niższe temperatury zaczną migrować bardziej na północ, co nie tylko uderzy w ten sektor rosyjskiej gospodarki, lecz także zmieni sposób życia miejscowej ludności.

Dla innych regionów kraju ocieplenie też nie musi być korzyścią. Czarnoziemne południe zacznie borykać się z problemem braku wody. Co z tego, że na północnym Kaukazie będzie można uprawiać, tak jak w Uzbekistanie, bawełnę, jeśli w efekcie braku opadów plony zbóż i roślin oleistych się zmniejszą? Żadną pociechą nie jest wzrost arealu gruntów rolnych na północy, bo tam gleby, odmiennie niż na południu, są słabe, a i osadnictwa praktycznie brak.

Trzecia pod względem wartości eksportu gałąź rosyjskiej gospodarki, czyli wyręb drzew i eksport tarcicy (w 2017 r. z tego tytułu Rosja miała 8 mld dol. przychodów), też może ucierpieć w wyniku ocieplania się klimatu. Z raportu, który przygotowali naukowcy ze Szwecji i z Finlandii badający lasy w okolicach Archangielska, wynika, że podniesienie się średnich rocznych temperatur o 4,5–7 st. C spowoduje wzrost wilgotności powietrza nawet o 30 proc., co jest zabójcze dla występujących na północy lasów iglastych. Będą one po prostu słabsze, bardziej podatne na choroby i mniej odporne na silne wiatry. Również znacznie częstsze i zgubne mogą być pożary.

Na wzrost siły wiatrów zwracają też uwagę rosyjscy klimatolodzy. Ich zdaniem znacznie się one wzmogą, bo w efekcie topienia się gór lodowych nie będą miały na swej drodze naturalnych barier. Ma to szczególnie istotne znaczenie na północy, gdzie brakuje infrastruktury portowej i ostrzegawczej. Tory wodne nie będą zamarzać i lodołamacze stać będą bezczynnie, ale silne wiatry będą wywoływać sztormy i per saldo liczba dni zdalnych do żegluga może się zmniejszyć. Innymi słowy – korzyści z eksploatacji północnej drogi morskiej mogą się okazać dla Rosji nieosiągalnym marzeniem, podczas gdy ekonomiczne skutki ocieplenia klimatu będą nie tylko realne, lecz także niezmiernie dolegliwe. Jak bardzo? Ostatnie szacunki rosyjskich ekonomistów wskazują na to, że jeżeli cena baryłki ropy naftowej spadnie do poziomu 40 dol., to gospodarka kraju już w przyszłym roku skurczy się o 2,5 proc. A co będzie, jeśli spadną nie tylko ceny, lecz także poziom rosyjskiego wydobycia, a jedyne, co wzrośnie, to wielkość nakładów, które trzeba będzie poczynić, aby w ogóle móc eksportować?

Na trybunie jest jak w piekle. Gęsty, zbity tłum młodych ludzi faluje i wiję się konwulsyjnie. Nad głowami kibiców łopoczą flagi i płoną czerwone race. Cała trybuna spowita jest w kłębach szarego, gryzącego dymu. Z tysięcy gardeł wydobywa się ryk: – To myyyy! To właśnie myyyy! Najbardziej rasistowski klub w tym kraaaaaaaaaju!!!

Kibice z napięciem obserwują wydarzenia na boisku. Każde dojsście do piłki przeciwnika witane jest ogłuszającymi gwizdami. Gdy sędzia podejmuje niekorzystną dla Beitaru decyzję, młodzi ludzie wściekle tłuką w bandy reklamowe. Płonące race, butelki i zapalniczki lądują na murawie.

Kordon ochroniarzy ledwo jest w stanie powstrzymać napierających kibiców od wtargnięcia na murawę. Widać obnażone torsy, z wytatuowanymi klubowymi herbami. Zaciśnięte pięści i złowrogie spojrzenia.

Drużyna sobie nie radzi i kibice są coraz bardziej rozsierzdzeni. Zaczynają demolować stadion i skandować szowinistyczne hasła: „Arabowie to świnię!”, „Izrael tylko dla Żydów!”.

Nagle jednak los w cudowny sposób się odменя. Jedno, drugie celne podanie. Strzał. Bramkarz wyciąga się jak struna, ale piłka przelatuje mu między rękawicami. Gooooooooo!!! Trybuny eksplodują w szale radości. Słychać huk petard. Nad stadionem niesie się triumfalna pieśń.

Dzisiaj Święte Miasto długo nie zaśnie. Beitar – duma Jerozolimy – właśnie rzucił na kolana drużynę ze zniechędzonego Tel Awiwu.

„ŚMIERĆ ARABOM!”

Tłumy kibiców w żółto-czarnych szalikach wylewają się ze stadionu. Większość idzie w stronę przystanków, ale część pędzi w stronę centrum handlowego Malha. Wpadają do środka z okrzykiem: „Śmierć Arabom!”. I rozbiegają się po sklepach i alejkach. Rozpoczyna się pogrom. Kibice wyłapują arabskich pracowników i klientów. Przewracają ich na ziemię. Kopią i okładają dragami. Plują na kobiety w hidżabach.

Jedną z ofiar kibice Beitaru łapią za ręce i nogi i rzucają w okno wystawowe. Fruwają krzesła i stoły. Na podłogach widać plamy krwi. – Oni chcieli nas zlinczować – relacjonował kilka godzin



Piotr Zychowicz

Race, bluzgi, burdy i krwawe napady. Kibice Beitaru Jerozolima czują się bezkarni, bo mają powiązania z prawicowym establishmentem



Izraelscy kibole

później jeden z arabskich sprzątaczy Mohammed Jusuf.

Centrum handlowe zostało ewakuowane. A przybyła na miejsce policja z trudem opanowała sytuację. Pogrom w centrum handlowym trafił na pierwsze strony izraelskich gazet. Dziennikarze okrzyknęli go „jednym z najpoważniejszych rasistowskich incydentów w historii kraju”.

TERROR LA FAMILII

Polowanie na Arabów w galerii handlowej to jeden z niezliczonych wybryków La Familii, najgroźniejszej grupy kibiców piłkarskich w Izraelu.

Ta nieformalna organizacja liczy kilka tysięcy członków, głównie młodych sefardyjczyków z klasy robotniczej, czyli potomków Żydów przybyłych do Izraela z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki.

Podczas pobytów w Jerozolimie kibiców Beitaru spotykałem wielokrotnie. Szwendali się w dniu meczu w grupkach po deptaku Ben Jehudy. Wystawali pod nocnymi sklepami i barami z szawarmą. Z żółto-czarnymi szalikami na szyjach i puszkami taniego piwa w dłoniach.

Kilka razy nawet zdarzyło mi się z nimi porozmawiać. Jedną z tych rozmów zapamiętałem szczególnie. Mój



rasiści

rozmówca nazywał się Eli, a jego dziadkowie przyjechali do Ziemi Obiecanej w latach 50. z Maroka. Eli pracował w jednym z miejskich przedsiębiorstw. Miał 19, góra 20 lat.

– Co was tak bardzo wkurza w Arabach? – zapytałem.

– Człowieku, nie zrozumiesz tego – odpowiedział. – To jest wojna. Wojna, która trwa od pokoleń. Mój dziadek nienawidził Arabów, mój ojciec nienawidził Arabów i ja też nienawidzę Arabów. Jeśli będę miał syna, to on też będzie nienawidził Arabów. I oczywiście kibicował Beitarowi.

– Co byś z nimi zrobił?
– Z Arabami?
– Aha.
– Wypier... ich wszystkich z Izraela. To jest żydowskie państwo i tu nie ma miejsca dla tych brudasów.
– Arabowie żyją tu jednak od wielu pokoleń.
– Gówna prawda! To my byliśmy tu pierwsi. To jest nasza ziemia. Każdy Arab to terrorysta. Oni mordują naszych braci, wysadzają w powietrze nasze autobusy. Nie rozumiem, dlaczego my mielibyśmy się z nimi cackać. Pier... ich.

Radykalni kibice są we wszystkich krajach świata, w których zawodowo kopie się piłkę. Kibole Beitaru stanowią jednak pewien fenomen. Począwszy od swego powstania w 1936 r., żółto-czarni to klub ściśle powiązany z izraelską prawicą.

Sama nazwa klubu wzięła się od młodzieżówki faszystowskiego ruchu syjonistów-rewizjonistów. Członkowie tamtego, oryginalnego Beitaru paradowali po ulicach przedwojennej Polski ubrani w piaskowe mundury i wznosząc dłonie w „rzymskim pozdrowieniu”. Regularnie wdawali się w krwawe bójki z krewkami chłopcami z ONR. W ruch szły kastety, laski i żyłетки.

Beitar Jerozolima łączy wiele – bardziej i mniej formalnych – nici z rządzącą partią Likud premiera Beniamina Netanjahu. Sam szef rządu jest zresztą wielkim fanem tej drużyny.

W STRACHU

Beitar jest najczęściej karana za wybryki kibiców drużyną w historii izraelskiej piłki nożnej. A stadion w Jerozolimie jest najczęściej zamykanym za karę izraelskim stadionem. Kibice żółto-czarnych stanowią prawdziwe utrapienie dla izraelskiej policji i federacji piłkarskiej. Siedzibę tej ostatniej kilkakrotnie zresztą podpalali. A jej szefowi grozili śmiercią.

– Wiem, że dla polskich czytelników to, co powiem, może być zdumiewające. Ale w klubie Beitar obowiązuje niepisana zasada, że jego barw nie może reprezentować arabski gracz. Gdyby tę zasadę złamano, kibice chyba spaliliby stadion i pół miasta – mówił mi znany izraelski dziennikarz Nir Hasson.

Gdy w 2009 r. ówczesny kapitan drużyny Awiram Baruchjan (później grał w Polonii Warszawa) powiedział, że nie miałby nic przeciwko temu, aby w Beitarze zagrał Arab, rozpętała się burza. Kibice domagali się, aby gracz, który „pohańbił honor klubu”, natychmiast odszedł z drużyny. Baruchjan został zmuszony do publicznych przeprosin.

Radykalni fani nie akceptują w swoim klubie nie tylko graczy arabskich, lecz także wszelkich muzułmanów. Klub przekonał się o tym dwukrotnie. Po raz pierwszy w 2005 r., gdy zatrudnił obiecującego zawodnika z Nigerii. Piłkarz był obrażany podczas każdego z meczów, rzucano w niego bananami. Presja kibiców była tak silna, że zaledwie po połowie sezonu Murzyn musiał pożegnać się z Beitarzem.

Z kolei w 2013 r. żółto-czarne trykoty założyło dwóch piłkarzy czeczeńskich. Kibice w akcie protestu podpaliли klubowe biura – z dymem poszły bezcenne sportowe trofea. A kiedy jeden z Czeczenów strzelił bramkę, fani demonstracyjnie opuścili stadion. Wcześniej rozwinęli olbrzymi transparent: „Beitar zawsze pozostanie czysty”. Obaj obcokrajowcy wrócili do ligi rosyjskiej.

Kibice Beitaru są synami swojego miasta – tłumaczy Nir Hasson. – Jerozolima to obecnie najbardziej prawicowe miasto Izraela. To tutaj na co dzień na ulicach toczy się zacięty konflikt z Arabami. To spływa w dół, na trybuny. W liberalnym Tel Awiwie sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Kibice tamtejszego Hapoelu wywieszają na stadionie flagi z sierpem i młotem. Nie muszę chyba mówić, co się dzieje na trybunach, gdy grają ze sobą te drużyny.

Hapoel to – używając terminologii kibiców – kosa Beitaru. Jest to bowiem klub założony przed laty przez członków socjalistycznej partii Mapai i do dzisiaj kojarzony z lewicą. Hapoel to po hebrajsku „robotnik”. Beitarowcy tłuką się ze znienawidzonymi „czerwono-białymi” przy każdej okazji.

Tak było w 2015 r., gdy bojówka beitarowców pojechała do Tel Awiwu, aby „przywitać” kibiców Hapoela powracających z meczu wyjazdowego. Zasadzka została urządzona przy magazynie, w którym ultrasi „Robotnika” trzymali flagi i bębny. Zaskoczeni przez La Familię hapoelowcy próbowali podjąć walkę, ale jeden z nich otrzymał potężny cios młotkiem. Chłopak ze zgruchotaną czaszką trafił w stanie krytycznym do szpitala.

Największą wojnę kibice z Jerozolimy prowadzą jednak z kimś innym. Mowa o fanach Bnei Sakhnin, czyli jedynej arabskiej drużyny, która gra w izraelskiej pierwszej lidze. Mecze Bnei – Beitar przypominają wojnę.

Tak było choćby w listopadzie 2014 r., gdy beitarowcy zrobili prawdziwy najazd na Sakhnin, arabskie miasto położone na północy Izraela. W drodze na ufundowany przez szejków naftowych stadion żółto-czerwoni wybijali szyby w zaparkowanych na ulicach samochodach i obrażali przechodniów. Na samym stadionie zdewastowali toalety. W stronę sektorów gospodarzy beitarowcy skandowali hasła obrażające proroka Mahometa i Arabów.

„Spalimy wasze wioski, zgwałcimy wasze kobiety!” – to jedna z najłagodniejszych pieśni śpiewanych przez przybyszów z Jerozolimy.

W odpowiedzi arabscy kibice wymachiwali flagami Palestyny i głośno wychwalali terrorystów samobójców. „Wy żydowskie świny! Zaszlachtujemy was! Nie wyjedźcie stąd w jednym kawałku!” – krzyczeli.

Kibice obu klubów szybko przeszli od słów do czynów. Zaczęli demolować stadion i obrzucać się rozmaitymi przedmiotami. Kilkuset policjantów ledwo było w stanie oddzielać od siebie zwaśnione, pałające żądzą krwi grupy.

Awantury przeniosły się również na murawę, gdzie pod koniec meczu gracze Beitaru i Bnei zaczęli okładać się pięściami. Sędzia, aby ostudzić nastroje, musiał pokazać im siedem żółtych kartek. A frustrację kibiców pogłębiło to, że Beitar przegrał mecz 0:1.

MOCNE PLECY

Policja stara się infiltrować środowisko izraelskich pseudokibiców, które uważa za potencjalną wylęgarnię ekstremistów. Co pewien czas władze przeprowadzają aresztowania. W domach zatrzymanych członków La Familii znajdują broń maszynową, materiały wybuchowe, maczety i islamofobiczną literaturę.

O tym, że obawy władz nie są nieuzasadnione, może świadczyć tragedia z 2014 r. Palestyńscy terroryści uprowadzili wówczas z przystanku autobusowego trzech żydowskich nastolatków. Chłopcy zostali zastrzeleni z broni maszynowej, a ich zakrwawione ciała porzucono na polu w pobliżu Hebronu. Śmierć chłopców wywołała w Izraelu szok i oburzenie.

Nacjonalistyczni izraelscy politycy i dziennikarze otwarcie wzywali do krwawego odwetu. A na Facebooku powstał specjalny profil „Naród Izraela domaga się zemsty”. Radykalni rabini wzywali do „ściągnięcia skalpów Palestyńczykom”. Podobne hasła pojawiły się również na wiecu zorganizowanym w Jerozolimie przez radykalnych kibiców Beitaru.

Kilku młodych ludzi powiązanych z La Familią postanowiło zastosować „ostrzejsze środki”. Szarym hyundaiem pojechali do jednej z arabskich dzielnic, gdzie wepchnęli do samochodu przypadkowe-

go nastolatka. Był to 16-letni Mohammed Abu Khdeir. Chłopiec został wywieziony do lasu. Tam młodzi Izraelczycy pobili go kluczem francuskim, a następnie kazali mu napić się benzyny. Resztą paliwa oblali go i podpaliли. Jak wykazała późniejsza autopsja, chłopak miał poparzone 90 proc. powierzchni ciała. Gdy oprawcy zakopywali go w lesie, jeszcze oddychał.

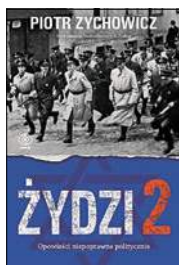
Zbrodnia i ujawnione przez policję zeznania jednego z oprawców Josefa Haima Ben-Davida wstrząsnęły izraelską opinią publiczną. „Tłukłem tego gościa po głowie żelastwem, wymieniając imiona ofiar terroru – mówił. – Potem trzy razy kopnąłem go w nogi. Po razie za każdego zamordowanego izraelskiego nastolatka. Wyciągnąłem zapalniczkę i podpaliłem gościa. Nagle zrobiło się bardzo jasno. Oczywiście żałujemy tego, co się stało. My nie jesteśmy przecież tacy jak Arabowie. My jesteśmy Żydami, mamy serca. Popełniliśmy błąd. Jesteśmy litościwymi Żydami. Jesteśmy istotami ludzkimi”.

Według izraelskich dziennikarzy i obrońców praw człowieka działania władz wymierzone w radykalnych beitarowców są pozorowane. A kolejne oświadczenia władz klubu w sprawie „wypowiedzenia wojny chuliganom” to deklaracje bez pokrycia, które mają zamydlić oczy mediom.

W rzeczywistości władze mają patrzeć przez palce na wybryki La Familii, która ma możnych i wpływowych protektorów wśród prawicowego izraelskiego establishmentu. „Nasi chłopcy muszą się wyszumieć” – w tych słowach ma rzekomo zawierać się podejście wielu polityków do problemu stadionowego chuligaństwa w Świętym Mieście.

„Cały czas mówią nam, że to tylko »garstka pseudokibiców« – pisał dziennik »Haarec«. – To nieprawda. To nie jest żadna garstka, tylko duża, licząca kilka tysięcy osób organizacja, która przejęła kontrolę nad klubem i trzyma go jako zakładnika. Rasizm kibiców Beitaru jest podsycany przez tych samych polityków, którzy potem potępią w telewizji stadionowe akty przemocy. Dostyc pustych słów, dostyc potępień. Nadszedł czas na konkretne działania!”

Za każdym razem, gdy kibice Beitaru narozrabiają na krajowych lub europejskich stadionach, izraelskie media pełne są podobnych apeli. I za każdym razem kończy się tylko na gadaniu. La Familia wydaje się wieczna.



PIOTR ZYCHOWICZ
„ŻYDZI 2”
REBIS



Dziękujemy, że byli Państwo z nami
przez ten rok.

Życzymy pomyślności w 2019 roku.
Niech będzie jeszcze lepszy!



Telewizja Republika zaprasza

Noworoczny Koncert Kolęd

w związku z obchodami 100-lecia Niepodległości

W wykonaniu Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego „Pokój światu, ludziom radość”

Koncert odbędzie się 3.01.2019 r. w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie
przy ul. Długiej 13/15, o godzinie 18:30. Koncert poprzedzi Msza Święta o godz. 18:00

Emisja na antenie TV Republika w dniu 6.01.2019 r.

HONOROWY PATRONAT



Mariusz Błaszczak
Minister Obrony Narodowej

PARTNER



Reprezentacyjny Zespół Artystyczny
Wojska Polskiego



Kapelań Wojska Polskiego
gen. brygady Mariany Woźniakowski



Zima to czas miłośników jazdy na nartach oraz łyżwach. Nie trzeba się jednak do nich ograniczać. Mimo niskiej temperatury można też biegać lub jeździć na rowerze. Aby uniknąć kontuzji i wypadków, warto się jednak dobrze przygotować

Prawie jedna trzecia Polaków potrafi jeździć na nartach – wynika z badania przeprowadzonego w 2017 r. przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych IBRIS. Dla milionów z nas wyjazdy narciarskie stały się już coroczną tradycją. Jak jeździć bezpiecznie? Jak chronić się przed zimnem i kontuzjami?

KASK I KONDYCJA

Przygotowania do wyprawy na narty warto zacząć kilka miesięcy przed samym wyjazdem. Aby uniknąć nieprzyjemnych kontuzji i dokuczliwych bólów mięśni, trzeba bowiem odpowiednio przygotować organizm do wysiłku. Najlepiej ćwiczyć regularnie, dbając jednocześnie o całe ciało, a nie tylko o mięśnie nóg czy rąk. Osoby, które nie mają czasu lub ochoty na siłownię, mogą trenować w domu. Wystarczą zwykłe hantle, piłka rehabilitacyjna lub skakanka. Dobrą zaprawą przed nartami są też treningi biegowe, rowerowe, a także pływanie na basenie. Ważne, aby o kondycję zadbać minimum cztery tygodnie przed wyprawą na narty.

Tuż przed wejściem na stok lub na lodowisko trzeba też pamiętać o chociaż krótkiej rozgrzewce: przysiadach, pajacykach albo innych ćwiczeniach aktywizujących mięśnie całego ciała.

Na stoku pamiętajmy również, że zgodnie z prawem dzieci do 16. roku życia muszą mieć na głowie kask ochronny. Zakładanie go polecane jest też dorosłym. Znacząco zwiększa on bowiem bezpieczeństwo narciarzy podczas wypadków. Do tych najbardziej groźnych dochodzi najczęściej z powodu brawury, nadmiernej prędkości, przeceniania własnych możliwości, a także z powodu trudnych warunków pogodowych i problemów z widocznością. Warto uważać. Konsekwencje wypadku na stoku to bowiem nie tylko stłuczenia czy skręcenia, lecz także złamania kończyn, urazy kręgosłupa czy nawet zatrzymanie akcji serca. Miłośnicy snowboardu są z kolei

szczególnie narażeni na urazy barków, nadgarstków oraz rąk.

Kontuzjami może się również skończyć wyjście na łyżwy. Aby ich uniknąć, warto więc pamiętać o specjalnych ochraniaczach na kolana oraz łokcie. Przed wizytą na lodowisku również dobrze jest wcześniej regularnie odwiedzać siłownię, basen lub trenować inne sporty. Jazda na łyżwach wymaga bowiem świetnej koordynacji ruchowej, a także umiejętności zachowania równowagi.

Jeszcze większe ryzyko kontuzji wiąże się z uprawianiem hokeja. Amatorzy tego pełnego adrenaliny sportu poza stłuczeniami, zwichnięciami czy złamaniami ryzykują nie tylko upadkiem na lód, lecz także raniem kijem, łyżwami lub krążkiem, co niekiedy prowadzi do utraty zębów lub nawet śmierci.

JAK BIEGAĆ NA MROZIE

Uprawianie sportów, gdy dookoła leży śnieg, a w uszy szczypie mróz, wymaga o wiele więcej determinacji niż w piękne



Bezpiecznie przez mroźne pułapki



wiosenne i letnie dni. Motywacją do tego, aby mimo niesprzyjającej aury ruszyć się z domu, mogą być lepsze samopoczucie, rosnąca kondycja, a także zastrzyk energii i endorfin, czyli hormonów szczęścia. Wychodząc z domu, aby pobiegać na mrozie, warto przestrzegać kilku prostych zasad. Po pierwsze, również zimą przed zasadniczym treningiem konieczna jest rozgrzewka. Klasyczne podskoki, wymachy, skręty i skłony odpowiednio przygotowują ciało do wysiłku. Można ją wykonać przed wyjściem z domu – wów-

czas trzeba jednak pamiętać o tym, aby najpierw zrobić rozgrzewkę, a dopiero później nałożyć cieplejsze ubrania.

Po drugie, żeby zmniejszyć ryzyko stłuczeń i kontuzji, wybierajmy trasę tak, aby biegać głównie po odśnieżonych chodnikach, ewentualnie po ubitym śniegu. Bieg po śliskiej nawierzchni lub w głębokim śniegu bardzo mocno obciąża stawy, a dodatkowo zwiększa ryzyko upadków, złamań lub skręceń.

Po trzecie, warto również zmienić tempo: z krótkich i szybkich interwa-

łów przestawmy się na budowanie wytrzymałości i skupmy na długich, lecz wykonywanych wolno wybieganiach. Po zakończeniu treningu przejdźmy z biegu do szybkiego marszu. Rozciąganie wykonajmy już zaś tuż po powrocie do ciepłego mieszkania – dzięki temu zmniejszymy ryzyko uszkodzenia mięśni.

Ci, którzy chcą utrzymać formę, ale nie chcą biegać po zasypanych śniegiem ulicach, mogą przenieść treningi na ciepłą siłownię, która umożliwi m.in. zabawę w sprinty, które na zaśnieżonych lub oblodzonych drogach i ścieżkach w ogóle nie wchodzi w grę.

Zamiast lub oprócz biegania, gdy spadnie śnieg, można też wskoczyć na biegówki. Trening na nartach to bardzo miłe urozmaicenie treningu na świeżym powietrzu.

ROWEREM PO ŚNIEGU

Podobnie jak w przypadku biegania zimowe treningi na dwóch kółkach również zalecane są nie tylko dla zawodowych kolarzy – dla których są one niezbędne, aby dobrze przygotować się do kolejnego sezonu – lecz także dla początkujących amatorów jazdy rowerem.

W zakorkowanych miastach jednoślady także zimą mogą okazać się najszybszym i najpewniejszym środkiem transportu.

Aby bezpiecznie cieszyć się pedałowaniem, gdy na drogach leży deszcz lub śnieg, trzeba odpowiednio przygotować sprzęt. Podobnie jak w samochodzie przed wyjazdem na zimowe drogi trzeba zacząć od opon. Cienkie nie zawsze dadzą radę w zimowych warunkach. Na grząskim lub śliskim podłożu dobrze sprawdzają się za to szersze opony z grubszym bieżnikiem. Ci, których na to stać, na zimę mogą kupić też komplet rowerowych opon zimowych. Dzięki specjalnej, agresywnej budowie bieżnika oraz aluminiowym kolcom tego typu opony zapewniają lepszą przyczepność również na oblodzonych lub mocno zaśnieżonych trasach. Są one również bardziej wytrzymałe, dzięki czemu spada ryzyko konieczności wymiany dętki na siarczystym mrozie.

Podobnie jak w przypadku aut bezpieczeństwo zwiększa jedynie wymiana całego kompletu opon.

Przed wyruszeniem w zimową trasę założymy również pełne błotniki – to prosty zabieg, który uchroni nas

■ przed przemoczeniem spodni czy innej części stroju, co w zimowych warunkach może być szczególnie nieprzyjemne, a przy dłuższych trasach wręcz niebezpieczne.

Nie tylko zimą pamiętajmy o ogólnym bezpieczeństwie – koniecznie sprawdźmy, jak mocno świeci zarówno przednia, jak i tylna lampka. Dobrze jest mieć przy sobie dodatkowe baterie lub naładowane lampki, bowiem niska temperatura istotnie skraca żywotność akumulatorów.

Ważna jest także technika jazdy. Na śniegu nie należy gwałtownie hamować. Z kolei zakręty staramy się pokonywać wolno, bez wykonywania zbyt mocnych ruchów kierownicą. Gdy wyjeżdżamy w trasę mimo silnego wiatru, warto wiedzieć, że im szybciej jedziemy, tym szybciej odczuwamy zimno. Aby uniknąć nieplanowanych postojów, pamiętajmy też, że zimą częściej trzeba konserwować łańcuch rowerowy.

DOBRY UBIÓR TO PODSTAWA

Właściwie dobrane ubranie jest konieczne, aby nie narażać się na bóle stawów czy ścięgien, a także by zatrzymać ciepło w mięśniach – te zaś, aby odpowiednio pracować, muszą być odpowiednio rozgrzane.

Niezależnie od tego, czy zimą jeździmy na nartach lub łyżwach, biegamy czy jeździmy na rowerze, aby ćwiczenia dawały nam prawdziwą przyjemność i były w pełni bezpieczne, trzeba pamiętać, że zimą najbardziej marzną stopy, ręce oraz głowa. Zaczniemy więc od stóp. Już nasze prababki ostrzegały, że mokre stopy to wyższe ryzyko przeziębienia. W XXI w. ta teoria znalazła wiele naukowych potwierdzeń. Warto więc zaopatrzyć się w ciepłe i najlepiej wodoodporne modele skarpet. Wyruszając w dalszą trasę rowerem lub wyjeżdżając na stok, nie zaszkodzi zapakować do kieszeni kurtki drugą parę skarpet.

Ważne są także dobre, zapobiegające odmrożeniom buty. Ich wybór to jedno z najważniejszych zadań dla każdego narciarza. Źle dobrane potrafią bowiem nie tylko uprzykrzyć życie, lecz także zwiększyć ryzyko kontuzji. Specjalne zimowe buty mogą kupić także kolarze. Innym sposobem na ochronę stóp podczas zimowego pedałowania są specjalne neoprenowe ochraniacze na buty.

Ważne są także rękawice. W tym przypadku dobrze, aby miały one odpowiednią wodoodporną membranę,

a także specjalny materiał chroniący przed wyziębiającym działaniem mroźnego wiatru oraz śniegu. Narciarzom przydać się mogą także klamry umożliwiające spięcie rękawic w jedną parę, a także rzepy przy mankietach, ułatwiające lepsze dopasowanie do konkretnego użytkownika.

Decydując się na aktywność fizyczną w zimowych warunkach, trzeba także zadbać o głowę – zalecane są więc czapka, ciepła chusta lub opaska albo specjalne „czepki”, które można włożyć pod kask – a także o drogi oddechowe. Mocne wychłodzenie tych ostatnich może zmniejszać odporność na choroby. Aby zmniejszyć ryzyko, zakładajmy więc szalik tak, aby chronił zarówno szyję, jak i usta oraz nos. Sprawdzonym sposobem na mróz jest też zakłada-

Właściwie dobrane ubranie jest konieczne, aby nie narażać się na bóle stawów czy ścięgien, a także by zatrzymywać ciepło w mięśniach

nie kominiarki, która dobrze chroni także brodę, nos, policzki oraz zatoki. Nieokrytą część twarzy warto przed wyjściem posmarować grubą warstwą tłustego kremu.

Niezależnie od rodzaju sportowej aktywności dobrze jest ubrać się „na cebulkę”. Najlepiej, jeśli kolejne warstwy stanowi odzież termoaktywna. Podstawową warstwą ochronną powinna być bielizna termiczna. Jej zadanie polega nie tylko na ochronie przed wiatrem, lecz także na skutecznym odprowadzaniu z naszej skóry nadmiaru wilgoci. W przeciwnym razie stygnący pot może szybko obniżyć temperaturę ciała i doprowadzić do wychłodzenia organizmu. Drugą warstwą może być np. bluza termoaktywna, która skutecznie odprowadzi wilgoć z bielizny. W sklepach dostępnych jest dużo rodzajów materiałów, co ułatwia dobranie ich do naszych oczekiwań i wielkości portfela.

Niekiedy od razu na bieliznę termiczną można założyć np. dobre narciarskie spodnie oraz kurtkę. Wiele modeli posiada specjalne membrany, które

zapewnią wystarczająco dużo ciepła, a jednocześnie będą nas doskonale chronić zarówno przed wiatrem, jak i przed śniegiem lub deszczem. W sytuacjach awaryjnych przydać mogą się też woreczki ogrzewające, które rozgrzewają się do ok. 50 st. C.

BĄDŹ WIDOCZNY...

Polska niestety wciąż negatywnie wyróżnia się wśród członków Unii Europejskiej pod względem śmiertelności pieszych i rowerzystów. Statystyki pokazują zaś, że do największej liczby wypadków śmiertelnych z udziałem pieszych dochodzi między listopadem a styczniem.

Wybierając zimową kurtkę czy getry, warto więc decydować się na jaskrawe, wręcz neonowe kolory.

Można również założyć odbłaskowe oraz świeące elementy na nogawki i rękawy. Zarówno rowerzyści, jak i biegacze będą też lepiej widoczni, gdy mają na głowie latarkę czołową z migającą lampką LED.

Kolor ubrań czy kasku ważny jest również na stokach narciarskich. Nawet jeśli jeździmy bardzo dobrze, to będziemy bezpieczniejsi, jeżeli nie będziemy wyglądać jak „bałwan” lub „śnieżynka”. Ubrani cali na białą, a dodatkowo w białym kasku, możemy być bowiem znacznie później zauważeni przez innych narciarzy, zwłaszcza we mgle lub gdy słońce świeci naprawdę ostro. To zaś zwiększa ryzyko wypadku.

Dodatkowo w sytuacjach awaryjnych jaskrawy strój może również zwiększyć nasze szanse na uratowanie przez służby ratownicze, którym dużo trudniej jest dostrzec zaginionych, jeśli ubrani są np. w biały lub czarny strój.

Zimą, gdy szybko zapada zmrok, biegając, powinniśmy też unikać słabo oświetlonych i opuszczonych ulic. Aby zmniejszyć ryzyko napadu, unikajmy też pokonywania tej samej trasy o tej samej porze każdego dnia. Z policyjnych statystyk wynika także, że o wiele rzadziej napadane są pary lub grupy. Do popołudniowych lub wieczornych treningów warto więc znaleźć koleżankę lub kolegę albo dołączyć do grupy biegowej – wiele z nich można łatwo wyszukać na portalach społecznościowych. Ćwicząc razem, nie tylko zwiększymy bezpieczeństwo, lecz także łatwiej znajdziemy motywację do regularnych treningów.

Jan Pieniążek



UNIJNE PODWYŻKI

Ponieważ Unia Europejska jest świetnie zarządzana, nie ma problemów, a te, które są, takie jak brexit, udaje się szybko rozwiązywać, to – jak ujawnił niemiecki „Bild” – wysocy brukselscy urzędnicy dostali podwyżki. I to z wyrównaniem od 1 lipca. A co! Donald Tusk i Jean-Claude Juncker będą teraz zarabiać w przeciętności ok. 140 tys. zł miesięcznie. Komisarze unijni dostaną 114 tys. zł miesięcznie. No co? Tak sprawne zarządzanie musi kosztować.

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

SZOPKA DRZYMAŁY

We Francji mer miasta Beziers po raz kolejny zburzył ład społeczny. Robert Ménard wystawił bowiem, jak co roku, bożonarodzeniową szopkę przed ratuszem. A taka instalacja w miejscu publicznym – jak już po raz kolejny orzekł francuski sąd – może mieć charakter świąteczny, ale nie może mieć związku z jakąkolwiek religią. Inaczej narusza to bowiem laickość państwa. Mer dostał polecenie usunięcia szopki. To nie będzie trudne, bo tym razem Ménard do dekoracji przymocował koła.

ROSYJSKA MYŚL TECHNICZNA

Podczas jednej z imprez dla młodych innowatorów z Rosji pokazano humanoidnego robota. Maszyna nazwana Boris wzbudziła spore zainteresowanie. Część osób zaczęła jednak patrzeć podejrzliwie na brak czujników i rozmiary odpowiadające dorosłemu człowiekowi. Wkrótce wyszło na jaw, że Boris to kostium. Takie same sprzedaje brytyjska firma Look Robot, kosztując ok. 3 tys. funtów za sztukę. Ech, przypomina się od razu ten stary dowcip o tym, jak rosyjski naukowiec wynalazł maszynkę do golenia...

SKANDAL PO NIEMIECKU

Niemieckie media ujawniły kolejny, po fałszowaniu emisji spalin, grzech Grupy Volkswagen. Okazało się, że latami sprzedawała klientom samochody testowe – takie do badań. Nie wiadomo, co i jak w nich zainstalowano. To blisko 7 tys. egzemplarzy, które nie powinny w ogóle trafić na rynek. Prokuratura wszczęła już śledztwo.

EKOŻYWNOSĆ SZKODZI

W czasopiśmie „Nature” opublikowano wyniki międzynarodowego badania przeprowadzonego m.in. przez naukowców ze szwedzkiego Chalmers University of Technology. Dowodzi ono tego, że żywność ekologiczna ma większy (aż o 50 proc.) wpływ na zmianę klimatu niż produkowana konwencjonalnie. Powody? Ekożywność daje niższe plony, bo nie stosuje się nawozów. Prowadzi więc do większego wylesiania, czyli pośrednio zwiększa emisję dwutlenku węgla. Z kolei ekologiczne hodowle zwierząt potęgują ten efekt, bo karmi się je ekologicznymi paszami. ©

Lukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 tańcach na grobie

Antonio Megalizzi, 28-letni włoski student i dziennikarz uniwersyteckiego radia Europhonica, został postrzelony przez islamskiego fanatyka Cherifa Chekatta w Strasburgu, dokąd pojechał służbowo w związku z unijnym szczytem. Zmarł po kilku dniach w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

Propagandyści rozbitego Państwa Islamskiego ogłosili, że Chekatt był ich żołnierzem. Co zdumiewa, w symetrycznym ruchu włoska armia postępu ogłosiła, że Megalizzi wojował w jej szeregach. W propagandowym organie postępowców „La Repubblica” kapłanka kultu

Unii i migranta Concita de Gregorio (była naczelna komunistycznej „L'Unita”) napisała: „Słusznie jest wierzyć w wielki, otwarty i gościnny świat, w Europę otwartą dla wszystkich, w braterstwo ludzi z różnych stron świata. Antonio walczył z ksenofobami i siewcami strachu”. Ba! Z drugiego dziennika Italii trudno było się dowiedzieć, kto konkretnie zabił dziennikarza.

Mało tego. Superpostępowa, radykalna Emma Bonino, była komisarz europejska, a obecnie szefowa partii +Europa, do której nikt nie chce należeć, wyznała w wywiadzie dla „Corriere della Sera”: „Antonio był jednym z nas [+europeistów –

przyyp. P.K.]. Teraz stał się symbolem i bohaterem Europy”.

Wychodzi więc na to, że dziennikarz pojechał do Strasburga na ideologiczną wojnę, a nie do pracy, a zamordowali go wrogowie, którym nie podoba się kierunek, w którym zmierza Unia.

Dodajmy, że włoscy postępowcy skrytykowali mieszkańców Strasburga za nieśmiałe brawa, którymi nagrodzili francuskich antyterrorystów za zneutralizowanie Chekatta. Uznali, że lepiej byłoby zapłakać.

I potem to całe postępowe panopticon się dziwi, że nikt na nich nie głosuje... ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



FOT. ALEX BAILEY/NETLIX

Bilet – szybkie łącze



Radosław Wojtas

Showmax wycofuje się z Polski i zostawia klientów, którzy mogą przesądzić o dominacji na naszym rynku VOD. Jest o co się bić – to perspektywiczna branża i ogromne pieniądze

Jeszcze niedawno wydawało się, że Showmax, serwis VOD, który pojawił się na polskim rynku na początku 2017 r., znalazł sposób, by się wyróżnić wśród dostawców płatnego wideo. Postawił m.in. na ekskluzywne treści rodzimych twórców, takie jak serialowe wersje kinowych filmów Patryka Vegi czy popularne na YouTube „Ucho prezesa”. W tym roku zrealizował dobrze oceniany serial „Rojst”. To jednak nie mogło wpłynąć na globalną strategię właściciela platformy, restrukturyzację

i podjęcie decyzji o wycofaniu się z Polski – jedyne go pozaafrykańskiego rynku, na którym działała ta platforma VOD.

Showmax zostawi w Polsce rozpoznawalną markę i... niesmak. Decyzja o zwinięciu zagli zaskoczyła nawet bliskich partnerów firmy. W kłopotliwej sytuacji jest m.in. mająca już swoje problemy sieć Play, która w ramach abonamentu oferowała klientom darmowy dostęp do Showmaxa. „Jesteśmy zaskoczeni decyzją Showmax. Nasi Klienci będą korzystać z serwisu do końca stycznia. Dla tych, którzy będą nadal uprawnieni do bezpłatnego dostępu po 31.01, przygotowujemy inną propozycję, o której poinformujemy Klientów przed zamknięciem serwisu Showmax” – napisał na Twitterze Marcin Gruszka, rzecznik prasowy Play.

JĘZYCZEK U WAGI

Po Showmaxie zostaje w Polsce coś jeszcze – ponad milion odwiedzających miesięcznie. Ilu opłaca abonament? Tego właściciel platformy nie zdradza.

O to jednak z pewnością spyta Telewizja Polska, która jest zainteresowana odkupieniem Showmaxa. „Jesteśmy potencjalnie zainteresowani zakupem serwisu i licencji platformy Showmax. Byłoby to uzupełnieniem dla naszej mocno rozwijającej się platformy VOD TVP. Oczywiście ostateczną decyzję będziemy mogli podjąć po przeprowadzeniu wyceny i potwierdzeniu co do wartości oferty. Z punktu widzenia TVP szczególnie interesujące są biblioteka praw oraz same serwisy” – powiedział portalowi Wirtualnemediapl członek zarządu TVP, Maciej Stanecki. I dodał, że były już pierwsze kontakty „na poziomie zarządu”.

Stanecki zauważa, że po zniknięciu Showmaxa na polskim rynku VOD powstanie luka, którą – jeśli nie zrobi tego TVP – może zagospodarować ktoś z konkurencji.

To może być strategiczny ruch, bo polski rynek płatnych treści wideo nie ma wyraźnego lidera. Zależnie od tego, co brać pod uwagę – liczbę odwiedzających, odsłon, odtworzonych godzin



Z lewej: kadr z serialu „The Crown” Netflixa, który kosztuje ok. 500 tys. funtów brytyjskich za odcinek, z prawej „Korona królów” TVP za 200 tys. zł za odcinek. Własnymi produkcjami TVP raczej użytkowników Netflixa nie przeciągnie do swojej platformy VOD, ale przejęcie Showmaxa stwarza taką szansę. FOT. MARCIN MAKOWSKI/TVP

wideo – lider jest inny. Najpoważniejsi gracze o uwagę i karty kredytowe Polaków to: należący do grupy Onet serwis VOD.pl, VOD.tvp.pl, Netflix, VOD grupy Wirtualna Polska i strefa premium serwisu cda.pl.

Według badania Gemius w styczniu 2018 r. serwis VOD należący do TVP zanotował najwięcej odsłon, zaliczył najdłuższy średni czas korzystania, ale przegrał pod względem liczby realnych użytkowników z Onetem i ze strefą premium serwisu cda.pl. Różnica między liderem a TVP to ok. 815 tys. użytkowników. W tym samym badaniu Showmax miał ponad 1,5 mln użytkowników.

Przejęcie Showmaxa przy zachowaniu jego biblioteki i strategii może zatem dać TVP zastrzyk użytkowników oraz treści potrzebny do zdominowania polskiego rynku VOD. Jeśli więc TVP chce zostać liderem branży w Polsce, to musi urozmaicić swoją ofertę i otworzyć się na producentów zewnętrznych. „Korona królów”, „Plebania”, „Klan”, „Ojciec Mateusz” – tego rodzaju produkcje z pewnością mają swoich odbiorców, ale

młodzi widzowie szukają czegoś innego. Czegoś, co daje im np. Netflix.

KULTURA NA ABONAMENT

Na razie pod względem liczby użytkowników Netflix wyraźnie w Polsce przegrywa, ale to porównanie niewiele nam powie o jego znaczeniu i potencjale, przede wszystkim dlatego, że na platformie VOD – zarówno Onetu, jak i TVP – niektóre treści dostępne są za darmo, a inne możemy kupić pojedynczo już za kilka złotych. Netflix działa inaczej. Nie daje nic za darmo (oprócz pierwszych 30 dni próbnych), a za nieograniczony dostęp do swojej biblioteki pobiera stałą miesięczną opłatę.

Jest jeszcze coś – Netflix stał się globalną firmą dopiero w 2016 r., wcześniej był obecny w USA, Kanadzie, Ameryce Łacińskiej i kilkunastu krajach Europy Zachodniej. Kiedy przed ponad dwoma laty wchodził do Polski, trudno było znaleźć filmy, programy czy serie z polskim lektorem bądź polskimi napisami. Przy emisji jednego z sezonów „House of Cards” – flagowej produkcji serwisu – wcześniej od Netflixa serial przetłumaczy-

li i udostępnili napisy polscy internauci. Korzystający z pirackich źródeł mieli więc szybciej „House of Cards” po polsku niż opłacający abonament. To jednak przeszłość, takie wpadki już się nie zdarzają, a Netflix znacząco powiększył bazę seriali, filmów i programów po polsku. Od kilku tygodni możemy oglądać też pierwszy polski serial produkcji Netflixa.

Dominujący dziś na światowym rynku VOD Netflix jest na tle konkurencji ewenementem. Jeśli spojrzeć na ten rynek, to nie ma na nim innych liczących się graczy podobnych do firmy z Kalifornii. Za większością platform wideo stoją wielkie koncerny, których podstawową działalnością nie jest dostarczanie treści wideo w Internecie. Są to albo przedsiębiorstwa medialne, posiadające kanały telewizyjne, produkujące własne filmy, serie i programy (np. HBO GO na świecie czy VOD TVP w Polsce), albo firmy działające w Internecie na innych płaszczyznach (np. Amazon). Z kolei Netflix to przedsiębiorstwo, które wyrosło z wypożyczalni filmów DVD. I już na początku działalności jednym z czynników, które przyczyniły

■ się do sukcesu Netflix, było trafiające w gusta widzów portfolio filmów.

Na to Netflix nie szczędzi środków. Ostatnio zapłacił 100 mln dol. za licencję na emisję kultowego sitcomu „Przyjaciele”. I jest to opłata tylko za rok 2019. Za niespełna 12 miesięcy negocjacje zaczną się na nowo i można się spodziewać, że sitcom, którego ostatnie odcinki kręcono 14 lat temu, zarobi jeszcze więcej. Rok temu licencja na serial kosztowała Netflix 70 mln dol. mniej! No, ale konkurencja rośnie. „Przyjaciółmi” zainteresowane były tym razem również Hulu i Apple (które nie ma jeszcze nawet swojego serwisu VOD), ale Netflix przebił ich oferty.

Miał czym. Tylko w III kwartale 2018 r. zanotował przychód w wysokości 4 mld dol. (rok wcześniej w analogicznym okresie było to 2,98 mld dol.) i pozyskał 6,96 mln nowych klientów.

Casus z „Przyjaciółmi” pokazuje, jak ważna jest „druga noga” Netflix, czyli produkcje własne. Wszystko drożej lub taniej da się kupić, ale tym, co przy rosnącej konkurencji może być wyróżnikiem, są produkcje, których legalnie nie da się nigdzie indziej obejrzeć.

Pierwszy serial spod znaku Netflix Originals – „House of Cards” – ukazał się w 2013 r. i rozbił bank. Dla wielu stał się głównym powodem ku temu, by ofertą Netflixu się zainteresować. Serial stworzony na podstawie książki z 1989 r. oczarował widzów nie tylko fabułą i scenariuszem, lecz także klimatem, zdjęciami, muzyką, grą aktorską. W roli głównej wystąpił Kevin Spacey – wtedy, przed wygumkowaniem aktora po wybuchu afery #MeToo – znaczące nazwisko Hollywood. Netflix nie szczędził pieniędzy na pierwszy własny serial, wydając na każdy sezon ok. 60 mln dol.

W kolejnych produkcjach było podobnie. Doskonały „Stranger Things” kosztował ok. 120 mln dol. (dwa sezony), a opowiadający historię brytyjskiej rodziny królewskiej „The Crown” – ok. 500 tys. funtów za odcinek („Korona królów” TVP kosztuje ok. 200 tys. zł za odcinek). Tylko na pierwszy sezon Netflix musiał wyłożyć ok. 130 mln dol. To co prawda ciągle mniej niż budżety największych kinowych produkcji, ale sezonów serialu ma być sześć.

NETFLIX ZMIENIŁ ŚWIAT?

To się opłacało. Logo Netflixu stało się znakiem jakości. – To znakomite produkcje kręcone przez znakomitych twórców, co też dotyczy się produkcji serialowej –

mówi dr Karol Jachymek, kulturoznawca i filmoznawca z SWPS Uniwersytetu Humanistycznospołecznego. Dodaje, że zmieniło się nasze postrzeganie seriali. Kiedyś były one uważane za coś gorszego od kina. Istniał podział na reżyserów i aktorów serialowych oraz kinowych. Dzisiaj to się zaciera, a niektóre serie jakością rozkładają na łopatki niejedną kinową produkcję. – Twórcy kinowi wchodzi do twórczości serialowej, bo ona stwarza nowe możliwości. Czymś innym jest opowiedzenie jakiejś historii w 15 godzin, a czymś innym w dwie godziny. To jest również znakomite zadanie dla aktorów, a poza tym z seriali są obecnie duże pieniądze – dodaje.

Netflix zmienił myślenie o serialach i same serie. Dzięki temu, że inny jest model dystrybucji, produkcje Netflixu nie muszą być tworzone tak jak telewizyjne, nie muszą być tak uniwersalne, adresowane do tak szerokiego grona

z Kalifornii rozpoczęła tę rewolucję, ale chyba najlepiej i najszybciej dopasowała się do niej. – Zaryzykowałbym stwierdzenie, że Netflix może być wynikiem pewnych zmian, a nie wyłącznie ich katalizatorem – mówi dr Karol Jachymek. – Zmiany praktyk odbiorczych zaczęły się w tych mniej legalnych źródłach w Internecie – dodaje.

Programy wymiany plików, torrenty, wreszcie całe serwisy z treściami wideo zaczęły zdobywać popularność nie tylko dlatego, że za filmy i serie nie trzeba było płacić. Również dlatego, że dawały swobodę. Po co dopasowywać się do telewizyjnej ramówki, skoro można obejrzeć ulubiony serial w dogodnym dla siebie czasie i liczbie odcinków? To samo zaoferował Netflix (a w muzyce np. Spotify) – legalnie i w dobrej jakości.

ZA WCZEŚNIE NA EPITAFIA

Telewizja to za mało. Serie to za mało. Netflix ma ochotę na więcej. I wchodzi do kin. Film „22 lipca” (opowiadający o zamachu dokonany przez Andersa Breivika) produkcji Netflixu można było obejrzeć i na platformie VOD, i w kinach. To zaskakująca zmiana strategii. Chęć dodatkowego zarobku, zareklamowania się, prężenie muskułów przed branżą? Możliwe, że przyczyny są bardziej prozaiczne – skostniałe regulaminy niektórych filmowych festiwali, które wymagają, by dopuszczane do wyścigu o nagrody filmy miały swoje kinowe premiery. Zresztą Netflix ma już na koncie najważniejszą z filmowych nagród. Jego „Ikar” – opowiadający o amerykańskim kolarzu badającym aferę dopingową, w którą uwikłany jest rosyjski naukowiec – zdobył Oscara za najlepszy pełnometrażowy dokument.

O ile produkcje Netflixu mogą być groźnymi konkurentami w walce o filmowe nagrody, o tyle pozycji kina i telewizji branża VOD raczej nie zagrazi. – Rynek filmowy chyba bardziej niż Netflixu powinien bać się gier komputerowych, które stają się coraz bardziej angażujące. Czujemy się w nich zanurzeni. Młodzi odbiorcy coraz bardziej cenią tego typu formy narracji, bo one dają im poczucie sprawstwa – ocenia dr Karol Jachymek.

A telewizja wciąż nie może narzekać na oglądalność seriali może nieco mniej ambitnych, ale skutecznie, i to od lat, przyciągających przed odbiorniki zwłaszcza starszych widzów.

**W III kwartale 2018 r.
Netflix zanotował przychód
w wysokości 4 mld dol.
(rok wcześniej w analogicznym
okresie było to 2,98 mld dol.)
i pozyskał 6,96 mln
nowych klientów**

odbiorców. – W związku z tym, że te produkcje Netflixu już nie muszą być adresowane do wszystkich, mówimy o zjawisku narrowcastingu – takiej zawężonej grupy docelowej. Czyli te serie, filmy, produkcje dokumentalne, programy rzeczywistości mogą być już formatowane dla konkretnej grupy docelowej – mówi dr Jachymek.

Od samego początku Netflix przyciągał widzów do czegoś jeszcze – udostępniał swoje serie całymi sezonami. Nie dozwalał, nie cedził jak telewizja. – Netflix „przeorał” rynek seriali. To za jego sprawą na wielką skalę pojawiło się zjawisko oglądania całych sezonów seriali, co zmieniło nawet sposób myślenia o tym gatunku, bo gdy oglądamy całe sezony ciągiem, to inaczej buduje się narrację – wyjaśnia dr Karol Jachymek.

Czy to było innowacyjne? Tak. Rewolucyjne? Niekoniecznie. To nie firma



FOT. ADAM STOLK

Wreszcie na własność

W styczniu 2019 r. zaczyna obowiązywać nowe prawo, które rozpocznie wygaszanie PRL-owskiego tworu nazwanego użytkowaniem wieczystym. Od teraz bowiem nie będzie już możliwe ustanawianie użytkowania wieczystego na cele mieszkaniowe i z własnością mieszkania w bloku czy domu jednorodzinnego związana będzie od razu własność gruntu.

WIELKIE PRZEKSZTAŁCANIE

Zmiana rozpocznie też przekształcanie we własne nieruchomości tych użytkowanych wieczystość. To ważne zwłaszcza dla właścicieli mieszkań w budynkach wielorodzinnych. Do tej pory mieli trudniej niż właściciele domów jednorodzinnych postawionych na terenach należących do Skarbu Państwa lub samorządów. Do zmiany w pełną własność musieli uzyskać zgody innych użytkowników wieczystych nieruchomości.

Użytkowanie wieczyste pozwalało korzystać z takich nieruchomości jak właściciel oraz sprzedawać je czy zapisywać w testamentach swoim potomkom. Nigdy jednak nie zostawało się pełnoprawnym właścicielem. Użytkownik wieczysty ponosił też większe



Łukasz Zboralski

Koniec z PRL-owskim prawem użytkowania wieczystego. Od 2019 r. ludzie zostaną pełnoprawnymi właścicielami nieruchomości

koszty. Coroczne opłaty za użytkowanie wieczyste (uzależnione od tego, do czego wykorzystywana jest nieruchomość) są wyższe niż podatki za nieruchomości dla ich właścicieli.

To dlatego przeciw zmianom zaplanowanym przez rząd protestowały samorządy. Nie chciały na rzecz ludzi utracić wpływów do budżetu. Nie udało się im jednak zatrzymać zmian prawa.

ILE TO KOSZTUJE?

Zgodnie z nowymi regulacjami użytkownicy wieczystości nie dostaną jednak własności za darmo (zwolnione z opłat będą tylko m.in. wpisy do ksiąg wieczystych). Zgodnie z ustawą przez 20 lat będą płacić co roku do końca marca tzw. opłatę przekształceniową. Jej wysokość odpowiadać będzie opłacie rocznej za użytkowanie wieczyste, obowiązującej w dniu przekształcenia, czyli 1 stycznia 2019 r. (opłata ta będzie podlegała waloryzacji zgodnie z Ustawą o gospodarce

nieruchomościami, nie częściej niż raz na trzy lata).

Jest jeszcze skrócone rozwiązanie – wpłacenie opłaty przekształceniowej w całości. Użytkownicy wieczystości, którzy się na to zdecydują, będą mogli liczyć na bonifikaty. Rząd zabezpieczył sobie maksymalną wysokość takich bonifikat – jednorazowa opłata przekształceniowa dla nieruchomości użytkowanych wieczystość na gruntach Skarbu Państwa będzie mogła być obniżona maksymalnie o 60 proc.

AWANTURY O BONIFIKATY

Inaczej jest z przekształceniami na gruntach samorządowych. Tam o wysokości bonifikaty każdy samorząd może zdecydować sam. I wzbudza to dziś ogromne emocje społeczne. Tak jest m.in. w Warszawie, gdzie radni tuż przed wyborami zdecydowali, iż bonifikata za jednorazową opłatę przy przekształcaniu nieruchomości użytkowanych wieczystość we własność sięgnie aż 98 proc.

(i 99 proc. w przypadku użytkowania wieczystego trwającego powyżej 50 lat). Tuż po wyborach radni zmienili jednak zdanie i obcięli bonifikatę do 60 proc. Oburzyło to część wyborców, którzy uznali, że ich oszukano. Ostatecznie – po tym, jak sprawa stała się głośna w mediach – zarządzający Warszawą zdecydowali, że wrócą do wyższych bonifikat.

Inni samorządowcy postanowili w jeszcze inny sposób pobrać więcej pieniędzy od mieszkańców. Niektóre miasta na gwałt jeszcze w grudniu podwyższają opłaty za użytkowanie wieczyste – bo to od nich naliczana będzie opłata przekształceniowa. Zszokowani tym zostali m.in. użytkownicy wieczystości w Zielonej Górze. Odebrali tam już pisma z urzędu miasta. Chociaż wzrost opłaty rozłożono na kilka lat, to w efekcie w niektórych przypadkach sięgnie on nawet 2 tys. proc.

Nie wszędzie wybrani przez mieszkańców ich przedstawiciele zachowali się w ten sposób. Rada miejska we Wrocławiu po wniosku radnych PiS ustaliła wysokość bonifikaty za jednorazową opłatę przekształceniową na poziomie 90 proc. Wrocławscy radni zaapelowali też do rządu, by podwyższył państwową bonifikatę do tego poziomu. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Stefan Sękowski

Politykom wydaje się, że jeśli coś zapiszą w ustawie, to tak będzie. W efekcie uchwalane prawo ma coraz gorszą jakość

W połowie listopada 2018 r. Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodną z konstytucją ustawę znoszącą limit trzydziestokrotności prognozowanego przeciętnego wynagrodzenia, powyżej którego nie odprowadza się składek ZUS. Uchwalono ją błyskawicznie: projekt pojawił się w Sejmie 31 października 2017 r., a konkretną ustawę, która miała pierwotnie wejść w życie od 1 stycznia 2018 r., uchwalono w grudniu. W głosowaniu w Senacie nie było wymaganego kworum. Uznając niezgodność z konstytucją z tego powodu, TK pokazał, że są jednak granice wadliwego uchwalania prawa. I uratował przedsiębiorców od niezłej kabały. – Większość dużych korporacji ma w listopadzie ustalone budżety płacowe na kolejny rok, a tu okazało się, że na pensje trzeba przeznaczyć dużo więcej pieniędzy ze względu na wyższą składkę ZUS wyżej wynagradzanych pracowników – mówi analityk Warsaw Enterprise Institute Kamil Rybikowski.

To niejedyna kiepska ustawa. Do historii polskiego prawodawstwa przejdzie zapewne dzień wolny przyznany Polakom na 12 listopada, z pięciodniowym wyprzedzeniem.

CORAZ GORSZE PRAWO

O tym, że ustawa jest buble, nie decydują koniecznie jej założenia ani cele. Chaos i utrudnienia wynikają często z niechlujstwa czy sposobu jej przyjmowania, a także nadprodukcji przepisów. Jak wskazuje organizacja audytorska Grant Thornton w swoim „Barometrze stabilności otoczenia prawnego w Polsce”, w ubiegłym roku uchwalono 27,1 tys. stron nowego prawa. To po 1989 r. trzecie miejsce, po 2015 i rekordowym 2016 r. Nie zawsze im mniej nowego prawa, tym lepiej, jednak „biegunka legislacyjna” może świadczyć albo o reformatorskim (bądź rewolucyjnym) zapale, albo o ciągłotach do nadregulacji. W ubiegłym roku prace nad ustawą trwały średnio 106 dni – to drugie miejsce (za

FOT. ADAM STOK



2016 r.) od 2000 r. Bez prac w komisjach po pierwszym czytaniu przyjmowane było 40 proc. ustaw, a po drugim czytaniu – aż 70 proc. W efekcie potem trzeba było wiele szybko poprawiać, a potem poprawiać nowelizacje. Tak jak ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa, którą zmieniano w tej kadencji już 12 (!) razy. Złe napisane prawo szkodzi konkretnym ludziom.

Nawet do szkodliwego prawa można się dostosować, tylko trzeba mieć na to czas. – Niestety nagminnie uchwała się ustawy z dwutygodniowym *vacatio legis*. To zbyt krótko – mówi Rybikowski. Przykładem może być likwidacja gimnazjów. Przez to, że ustawa miała wejść w życie już od roku szkolnego 2017/2018, doszło do spiętrzenia się roczników w szkołach. Efekty są opłakane: dzieci chodzą do szkoły popołudniami, jak za czasów wyżu demograficznego, a są szkoły, w których

którymi dysponuje rząd. Złożenie projektu poselskiego daje możliwość ominięcia szeroki konsultacji, których wymaga się od projektów rządowych – mówi wicemarszałek Sejmu Barbara Dolniak z Nowoczesnej. W ten sposób uchwalono np. zmianę ustawy o Sądzie Najwyższym.

Taka „bypassowana” ustawa trafia do Sejmu – i w zależności od tego, na ile rządzącym zależy na jej uchwaleniu, jest procedowana prędeziej lub wolniej. – Niestety wiele projektów ustaw opozycji trafia do tzw. zamrażarki, którą PiS w trakcie ostatniej kampanii parlamentarnej obiecywał zlikwidować. Często też projekty opozycji są odrzucane już w trakcie pierwszego czytania, co wyklucza możliwość przeprowadzenia szerszej debaty w komisji. Zdarzają się sytuacje, że na posiedzenia Sejmu trafiają projekty PiS przed upływem siedmiu dni od doręczenia posłom

Rządy PiS wpisują się w wieloletnią tendencję, widoczną zwłaszcza w drugiej kadencji rządów PO-PSL. Liczba stron aktów prawnych, które weszły w życie, rosła rokrocznie od 17,5 tys. (2011) do 29,8 tys. (2015). Skracają się także długość prac nad ustawami i udział w nich komisji. Wypadaliśmy także kiepsko, jeśli chodzi o stabilność prawa na tle innych państw UE. Według GT w 2014 r. (ostatnim pełnym poprzednich rządów) byliśmy na pierwszym miejscu w UE, jeśli chodzi o zmienność prawa – przyjęte wówczas ustawy miały 55-krotnie większą objętość niż w Szwecji.

OPOZYCJA JEST WAŻNA

Są i dobre wieści: w pierwszych trzech kwartałach 2018 r. parlament uchwalił prawie o 50 proc. mniej prawa niż rok wcześniej. Być może jest tak, że zmiany

Fabryka bublei

z racji braku miejsc lekcje prowadzi się na korytarzach, klasy zaś oddzielone są od siebie... parawanami.

Okres upływający od ogłoszenia do wejścia prawa w życie to niejedynie wady złego polskiego prawa. Istotne jest także to, co się w tych ustawach znajduje. Nowelizacja ustawy o Instytucji Pamięci Narodowej wywołała długotrwały kryzys dyplomatyczny w stosunkach z Izraelem i USA. Sprawa kontrowersyjna, ale warto zauważyć, że już samo założenie, iż polska prokuratura może ścigać przestępstwo popełnione poza granicami Polski, nadawało się do kosza. Z kolei ustawa o zakazie handlu w niedzielę zawiera w sobie tyle luk, że doskonale opisuje ją stwierdzenie Stefana Kisielewskiego o socjalizmie walczącym z problemami nieznanymi w żadnym innym systemie.

Jedną z przyczyn jest to, że posłowie... mało nad ustawami pracują. Choć na pierwszy rzut oka może to wyglądać inaczej. – Jak podaje Obywatelskie Forum Legislacji, które monitoruje pracę Sejmu, w ciągu dwóch pierwszych lat Sejm obecnej kadencji uchwalił 106 projektów poselskich PiS. W wielu przypadkach projekty te zapewne powstały w ministerstwach, bo często nie da się ich napisać bez narzędzi,

projektu ustawy. Harmonogram kolejnego posiedzenia ustalany jest ostatniego dnia poprzedniego posiedzenia, ale jest też tak, że w ostatnim momencie dokładane są nowe projekty. Uniemożliwia to posłom właściwe przygotowanie się do pracy – mówi Dolniak. – Główny problem stanowi tryb procedowania poprawek. Często zdarza się, że dostajemy ich projekty albo podczas trwania komisji, albo pięć minut przed jej rozpoczęciem. Posłowie PiS głosują prawie zawsze tak, jak wskaże im obecny na sali wiceminister, a posłowie opozycji albo zdążą na szybko zapoznać się z ich brzmieniem, albo głosują na chybił trafił – tłumaczy niezrzeszony poseł z Partii Wolność, Jakub Kulesza.

Z książki „System zamknięty” socjolog dr Agnieszki Dudzińskiej, która badała funkcjonowanie parlamentu w latach 2012–2014, wynika, że za poprzednich rządów było tak samo. Często posłowie uchwalali wadliwe prawo po to, by ono już funkcjonowało. – W trakcie obrad komisji można było usłyszeć dialogi dotyczące tego, że jakieś rozwiązanie będzie zakwestionowane przez TK. Odpowiedź brzmiała: trudno, najwyżej będziemy to później odkręcać – mówi Dudzińska.

wprowadzane przez PiS (jakkolwiek je oceniać) wymagały nadzwyczajnej liczby nowych przepisów – a sytuacja teraz się normuje. Niestety inne trendy, dotyczące szybkości prac, nadal się utrzymują. Prawo nie będzie lepsze dzięki temu, że większość szybko postawi na swoim. Wiele bublei bierze się z tego, że rządzącym wydaje się, iż wystarczy coś zapisać w prawie, a to się stanie ciałem. Jednak słowa wydrukowane w „Dzienniku Ustaw” nie stają się automatycznie rzeczywistością. Opozycja nie zablokuje uchwalenia ustawy, ale może pomóc ją poprawić. To temu służą propozycje pokroju „pakietu demokratycznego”, niezrealizowanego projektu Kazimierza Michała Ujazdowskiego, a nie idealistycznie rozumianej sprawiedliwości wobec pokonanych.

Krytyka wojny polsko-polskiej to nie jest symetryczne biadolenie na poziomie estetyki, ale całkiem przyziemna troska o jakość stanowionego prawa. Prawo może stać się mądrzejsze, gdy politycy będą uchwalali go mniej, będą robili to wolniej i po dłuższym namyśle.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u Nowa Konfederacja.



Zamach na dolara



Tomasz Wróblewski

**Unia Europejska chciała
uniezależnić się od USA,
ale musi szukać kompromisu**

Wtle impertynencji Trumpa i obraźliwych ripost Macrona unijni i amerykańscy negocjatorzy prowadzą ciche negocjacje w sprawie kształtu nowej

transatlantyckiej architektury handlowej. Bruksela nie przełamała amerykańskiego embarga na handel z Iranem ani nie zdołała stworzyć alternatywnego do dolara, światowego systemu transferów finansowych. Europie nie pozostało nic innego, jak tylko śladem Meksyku i Kanady szukać kompromisu i po raz kolejny uznać prymat dolara.

Stany Zjednoczone dysponują największą armią świata, ale nie na tyle wielką, żeby w razie zbrojnego konfliktu móc stawić czoło połączonym siłom wszystkich swoich adwersarzy. W finansach niespełna 2 bln dol. dzielą

amerykańską gospodarkę od drugiej co do wielkości gospodarki Unii Europejskiej i jakieś 7 bln od gospodarki Chin. Różnica z każdym rokiem maleje i łatwo sobie wyobrazić, że w odpowiedzi na amerykańskie sankcje zawiązuje się koalicja Chin z UE dla przełamania handlowego dyktatu Waszyngtonu.

Jeżeli nikomu do tej pory to się nie udało, to tylko dlatego, że nie ma dziś waluty ani systemu transakcyjnego, który mógłby zastąpić dolara w obrocie międzynarodowym.

Codziennie za pomocą globalnych systemów transferowych RTGS, SWIFT, CHIPS, Fedwire przepływa na świecie średnio 8 bln 560 mld dol. Część tych transferów jest w pełni kontrolowana przez amerykańskie instytucje. Nieliczne, np. SWIFT, mają swoje siedziby w Brukseli, ale bez powiązania z amerykańskim systemem opartym na dolarze w praktyce nie istnieją. Ta unikalna pozycja dolara i amerykańskich systemów monitorowania transferów finansowych tłumaczy, dlaczego sankcje nakładane wyłącznie przez UE są dziurawe jak sito, a te nakładane przez Waszyngton są jak tama. Nieważne, czy to będzie odizolowana od świata Korea Północna czy perfekcyjna machina prania pieniędzy rosyjskich oligarchów. Sankcje uderzają bezpośrednio w każdy podmiot czy bank, przez którego konta przesyłane są pieniądze.

Koszt przeciwstawienia się amerykańskim sankcjom może być bardzo wysoki.

JAK TO SIĘ ROBI

1 grudnia w Vancouver kanadyjska policja zatrzymała na lotnisku szefową finansową chińskiego giganta Huawei Meng Wanzhou za to, że jej firma wprowadziła w błąd dwa międzynarodowe banki co do skali i charakteru współpracy z irańską firmą telekomunikacyjną Skycom. Świat zajęty jest zastanawianiem się, co też wyniknie z awantury o panią Wanzhou i z ostatnich zatrzymań kanadyjskich przedsiębiorców w Chinach, tymczasem ciekawsze jest to, co się stało wcześniej. Otóż międzynarodowy bank HSBC finansujący niektóre operacje Huawei w świecie został oskarżony przez Waszyngton o łamanie embarga irańskiego. Ślad dolarowy pieniędzy Skycom prowadził przez HSBC do innych podmiotów w Europie, które miały w zamian odsprzedawać tech-

nologię przemysłową innym firmom w Singapurze, również podejrzanym o współpracę z Iranem. Szefostwo banku, stojąc przed perspektywą utraty amerykańskich oddziałów i zakazu obrotu handlowego z amerykańskimi firmami na świecie, natychmiast pobiegło do amerykańskiego regulatora z nagraną wcześniej prezentacją pani Wanzhou. Amerykańskie służby nie musiały nawet szukać winnego, wystarczyło, że postraszyły inne podmioty, a te natychmiast nie tylko doniosły na Huawei, lecz także zerwały z firmą współpracę. To samo dziś spotyka chińskiego giganta na rynkach całego świata. A irańska firma telekomunikacyjna utraciła ostatni chyba kanał międzynarodowego obrotu finansami.

W 2015 r. francuski bank BNP Paribas SA zapłacił prawie 9 mld dol. za naruszenie sankcji USA wobec Iranu, Kuby i Sudanu. Mimo oburzenia i wysiłków dyplomatycznych Paryża kara została wyegzekwowana. Nawet potężny chiński bank centralny stojący za bankiem w Macao – Banco Delta Asia – po



REKLAMA

ZBIGNIEW PREISNER I PRZYJACIELE

„STARE I NOWE KOŁĘDY”

zaśpiewają:

**Beata Rybotycka, Edyta Krzemień,
Joanna Pocica, Maciej Balcar,
Zbigniew Preisner,
Zespół Jana Karpiela Bułecki**

10 stycznia 2019 – ICE Kraków Congress Centre
14 stycznia 2019 – Narodowe Forum Muzyki Wrocław
15 stycznia 2019 – Torwar Warszawa
16 stycznia 2019 – Filharmonia Bałtycka Gdańsk
17 stycznia 2019 – CKK Jordanki Toruń
19 stycznia 2019 – Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

Prestige 10
MIM

REGENT
WARSAW HOTEL

15
Classic

wprost

Multikino

RZECZY

empik

T3

pap

WP

STRÖER

trojmiasto.pl

VIXON

cgm.pl

PRESS SERVICE

nałożeniu amerykańskich sankcji za pośredniczenie w transakcjach finansowych z Koreą Północną w 2007 r. został zmuszony do kapitulacji. Pekin wolał zamknąć bank, niż ryzykować zwiększenie amerykańskich sankcji.

Ta sama przykra niespodzianka spotkała ostatnio kilku rosyjskich oligarchów, którzy mieli nadzieje przechrzcić amerykańskie sankcje, przedstawiając się na bitcoiny. Gdy usiłowali wymienić je na dolary i wprowadzić na rynek, natychmiast były identyfikowane i zamrażane przez banki.

Nikt jednak nie odczuł tego równie boleśnie co Iran, sparaliżowany i niemal doprowadzony amerykańskimi sankcjami do bankructwa. W 2015 r. Teheran podpisał porozumienie z UE, Ameryką, Rosją i Chinami, zgodnie z którym miał się wycofać z programu zbrojeń nuklearnych, poddać kontroli i zrezygnować z dalszych badań w zamian za odblokowanie irańskich funduszy w bankach i umożliwienie sprzedaży ropy na światowych rynkach. Teheran umowy jednak nie dotrzymał i prezydent Trump, wbrew UE, Rosji i Chinom, zażądał nowego porozumienia. Iran nie wrócił do stołu negocjacyjnego i Waszyngton ponownie nałożył sankcje, które choć na razie połowiczne, już dziś wystraszyły wszystkie europejskie banki i koncerny. Mimo zapewnień rządów Francji i Niemiec, że będą chronione przed amerykańskimi retorsjami, nikt nie odważył się pozostać w Teheranie. A tylko w ubiegłym roku eksport europejskich firm (w większości Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji) do Iranu wyniósł 11 mld euro. Były tam także polskie firmy – nasi producenci sprzętu rolniczego – a firmy paliwowe zabezpieczyły sobie lukratywne kontrakty i działki do eksploatacji ropy. Cena była wysoka, ale groźba sankcji jeszcze większa.

EUROPA MIAŁA PLAN

Europa próbowała przeciwdziałać. Z orędzia inauguracyjnego przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeanne-Claude'a Junckera dowiedzieliśmy się, że ambicją KE jest stworzenie „nowych innowacyjnych rozwiązań wymiany handlowej i odejście od tradycyjnego systemu”. W tłumaczeniu na język finansów oznaczało to, że celem jest złamanie amerykańskiego monopolu i zastąpienie konsensusu waszyngtońskiego nową architekturą monetarną.

Federica Mogherini, szefowa europejskiej polityki zagranicznej, jeszcze latem 2018 r. nie dawała za wygraną i zapewniała, że Europa stworzy warunki do szybkiego powrotu światowych koncernów do Iranu. Jednocześnie ogłosiła, że UE pracuje nad nowym „wehikułem” finansowym do bezpiecznej wymiany handlowej z tym krajem – czyli takiej, w której amerykański system nadzoru finansowego nie będzie „widział” transakcji.

Niemiecki minister spraw zagranicznych Heiko Maas też wierzył, że jest możliwe zbudowanie bankowego systemu transakcyjnego do prowadzenia wymiany handlowej z Iranem poza radarem Ameryki. Mogherini rzuciła mimochodem, że byłaby to jakaś odnoga belgijsko-hispańskiego SWIFT-a (systemu transferów finansowych). Administracja Trumpa natychmiast odpowiedziała, że każdy system, który posłuży do transakcji z Iranem, będzie objęty sankcjami.

Prace nad niezależnym systemem trwały dobrych kilka miesięcy. Strukturą system miał przypominać amerykański SWIFT. Kierunkowe rozwiązania zostały wstępnie opracowane w czerwcu tego roku przez think tank European Leadership Network. Dokument nazwany „New Banking Architecture” zakładał, że system oparty zostanie na kilku instytucjach rozrzuconych po całym świecie, Europejsko-Irańskim Banku – hamburskiej odnodze Handelsbank – i na kilku oddziałach irańskich instytucji finansowych w Europie.

Mogherini chciała, żeby docelowy projekt obejmował więcej instytucji finansowych, w tym międzynarodowe banki Chin i Rosji. Heiko Maas w jednym z wywiadów radiowych wyrażał nadzieję, że skala operacji okaże się zbyt wielka nawet jak na możliwości amerykańskie. Eksperci Europejskiego Banku Centralnego obserwujący przygotowania swoich amerykańskich odpowiedników przestrzegali jednak, że starcie dwóch gigantów może rozpętać istne piekło finansowe na ziemi. Zanim dowiedzielibyśmy się, który z systemów jest górą, wpadlibyśmy w serię trudnych dziś do przewidzenia kryzysów. A recesja, która wisi nad światem od kilku miesięcy, byłaby już nieunikniona.

Niebezpieczeństw było zresztą więcej. Budując wspólny system transakcyjny z Rosją i Chinami, Euro-

pa narażała się na napływ nie tylko irańskich pieniędzy, lecz także być może innego brudnego kapitału. W tym rosyjskiej mafii, północno-koreańskiej przestępczości, pieniędzy narkotykowych z Ameryki Południowej. Koszt pokonania dominacji dolara mógłby się skończyć najgorzej dla państw, które przystąpiłyby do systemu, co zresztą Amerykańscy ekonomiści głosili od samego początku.

CHĘTNYCH NIE BYŁO

To nie była pierwsza próba złamania monopolu dolara. Od lat Rosja i Chiny zapowiadają, że oprą obrót gazem i ropą w Azji na emitowanym w Hongkongu Renminbi. Nikt oprócz tych państw nie zgodził się na transfer, a i tu szybko pojawiły się dziury w systemie. Chińscy importerzy przyjmujący wpłaty w innych walutach dalej odnosili się do kursu dolara. Najmniejsze wahnięcia na światowych rynkach natychmiast zmuszało strony do powrotu na sprawdzone tory.

Teoretycznie połączenie największych gospodarek Azji, Unii i wschodniej Europy mogłoby się powieść. Bruksela, działając zgodnie ze starą doktryną Jeana Moneta, zakładającą, że siła UE będzie się wykuwała w kryzysach, postanowiła wykorzystać niechęć do Trumpa do rewolucji walutowej.

Według „The Wall Street Journal” Bruksela nie była jednak w stanie przekonać żadnego poważnego koncernu globalnego ani nawet europejskiego do przystąpienia do tego programu. Nikt nie chciał wystawiać się na pierwszy strzał.

Nawet gdyby transakcje były trudne do wyśledzenia przez amerykański system „policji dolarowej”, wciąż pozostawała kwestia fizycznej obecności firm w Iranie i uczestniczenia w nowym systemie transakcji. Każdy podmiot, który korzystałby z europejskiego SWIFT, byłby natychmiast oskarżony o omijanie sankcji. Zanim Chiny, Rosja i UE dowiodłyby swojej globalnej przewagi nad dolarem, kilkadziesiąt firm musiałoby poleć dla idei. Szansa, że znaleźliby się chętni, jest mniejsza niż prawdopodobieństwo, iż któregoś dnia dolar i tak straci swój czar. Jednak do tego czasu Europa, a po niej pewnie Chiny wcześniej czy później będą musiały się przeprosić z Trumpem i wrócić do stołu negocjacyjnego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ZAINWESTUJ I ZARABIAJ **8%** W SKALI ROKU

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!



130 przestronnych
apartamentów



30 dni pobytu
właścicielskiego



Bogata
infrastruktura
i atrakcje regionu



Lokalizacja
w centrum Karpacza
– idealna
do inwestowania



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ceny porażone prądem

Ceny prądu w Polsce w 2019 r. wzrosną lub nie wzrosną, a w związku z tym rekompensaty z powodu wzrostu cen prądu będą wypłacane lub nie będą; rekompensaty, które będą wypłacane lub nie będą wypłacane przez spółki energetyczne lub inne podmioty, które dostaną pieniądze na ten cel lub ich nie dostaną, wprost z budżetu państwa lub ze specjalnie po to utworzonego Funduszu Efektywności Energetycznej i Rekompensat; wszelako może się okazać, że do podwyżki cen prądu nie dojdzie, gdyż spółki energetyczne na żądanie rządu wycofają swe wnioski o te podwyżki, skierowane do Urzędu Regulacji Energetyki – lub jednak dojdzie, bo ich nie wycofają, gdyż są samodzielne; albo też, i to jest teraz najbardziej prawdopodobne, zamiast podwyżki cen prądu obniżone zostaną wysokość VAT i akcyzy na prąd lub – z jakichś powodów – obniżone nie zostaną; albowiem w tej chwili zanoszą się na to, że rząd zamrozi ceny prądu, a rekompensaty wypłaci spółkom energetycznym – lub nie wypłaci... Zresztą, ktoś to wie? Czy to jest – do tego miejsca – jasne?

Wiem, wiem, komentować spektakl, w który przerodziło się przenoszenie przez rząd na odbiorców detalicznych, czyli gospodarstwa domowe, samorządy i firmy, szybko rosnących na rynku hurtowym cen energii, to łatwizna. Spektakl, który obserwujemy od wielu tygodni, lecz w ostatnich dniach tempo jego akcji przyspieszyło tak znacząco,

że już nawet najbystrzejsi obserwatorzy nie są w stanie za nim nadążyć.

I rzecz jasna, również ja nie mam bladego pojęcia nie tylko, jak historia tej historycznej podwyżki cen prądu się zakończy, lecz także jak będzie wyglądała w chwili, gdy ten tekst ukaże się w druku. W każdym razie gdy piszę te słowa – 20 grudnia 2018 r. – wydaje się, że po tygodniach poszukiwań rząd wreszcie zdecydował się... albo podnieść ceny prądu i wypłacić obywatelom (a także samorządom i firmom?) rekompensaty równe (równe?) ich wysokości, albo ceny zamrozić, a rekompensaty wypłacić firmom energetycznym.

Dzięki temu sprytnemu manewrowi uważać nie małej części obywateli umknęłoby – a czyż nie o to chodzi rządzącym, że co prawda w 2019 r. nie zapłacą więcej za prąd, lecz całą kwotę tych podwyżek (i to z odsetkami) i tak będą musieli uiścić – jako podatnicy – w wyższych podatkach. Albowiem pieniądze na rekompensaty – nieważne, czy dla odbiorców prądu czy dla firm energetycznych – i tak (tą czy inną drogą) pójdą z kasy naszego państwa, które co roku jest przez rządzących zadłużane. Na rekompensaty więc Polska zostanie przez nich zadłużona jeszcze bardziej (bo przecież nie pójdą na nie pieniądze z obciążenia o taką samą kwotę innych wydatków, prawda?).

A dodatkowy dług państwa – tak jak wszystkie – będziemy musieli spłacać my sami. No bo kto miałby to za nas czynić? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

2038

Gdy tłumaczę wnukom, jak kiedyś ich babcia i dziadek musieli się napracować, żeby przygotować święta w domu, nie wierzą. – Jak to musieliście stać w długich kolejkach, żeby zrobić zakupy? Dlaczego kupowanie prezentów było takie skomplikowane? Do galerii były straszne korki? Niemożliwe! Prawdziwą choinkę mieliście w domu i sami ją kupowaliście?

W 2038 r. wszystko jest prostsze. Młode pokolenie mieszka w popularnym systemie „mieszkanie-jako-serwis”. W ramach miesięcz-

się podobał z prawdopodobieństwem 98,7 proc., czyli tylko trzy osoby na tysiąc nie będą w pełni zadowolone. Dla dzieci Święty Mikołaj 2038 to superinteligentny vot (visual bot, czyli wideo bot), który zna ich marzenia. Nie trzeba pisać listów do ŚM, on zna marzenia dzieci dzięki analizie ich śladu cyfrowego w sieciach społecznościowych.

Prezenty są dostarczane do domu. W galeriach nie ma świątecznego tłoku ani świątecznej gorączki, ponieważ zakupy zostały zautomatyzowane, zoptymalizowane i w całości przeniosły się do Internetu, gdzie można wszystko dokładnie obejrzeć i wszystkiego „dotknąć” z wykorzystaniem domowych urządzeń VR (virtual reality). Galerie handlowe zmieniły się w centra spędzania czasu, gdzie można obejrzeć różne produkty, ale niejako przy okazji, bo kluczową formą aktywności jest rozrywka.

Korki świąteczne należą do przeszłości. Ludziom zakazano prowadzenia samochodów, po mieście poruszamy się autonomicznymi autami. Czas przejazdu skrócił się prawie o połowę. Są i inne plusy, bo teraz można sobie chlapnąć setę do obiadu w gościach u wujków w pierwszy lub drugi dzień świąt i wrócić autonomicznie do domu bez obawy, że trzeba będzie dmuchać w balonik. Tylko pasterka pozostała taka jak dawniej.

Szczęśliwego Nowego Roku! ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

W 2038 r. wszystko jest prostsze. Sztuczna inteligencja rozwinęła się do tego stopnia, że zna nas lepiej niż my sami

nej opłaty eksploatacyjnej ma zagwarantowane regularne sprzątanie, wszelkie naprawy (np. wymiana żarówek), a także dostawę choinki przed świętami. W najwyższym pakiecie jest to żywa choinka (rodzaj do wyboru), w najtańszym – realistyczny i pachnący obraz holograficzny. Sztuczna inteligencja rozwinęła się do tego stopnia, że zna nas lepiej niż my sami. Przed świętami każdy może otrzymać doskonałe rekomendacje prezentów dla członków swojej rodziny i wskazanych przez nas bliskich. Prezent będzie

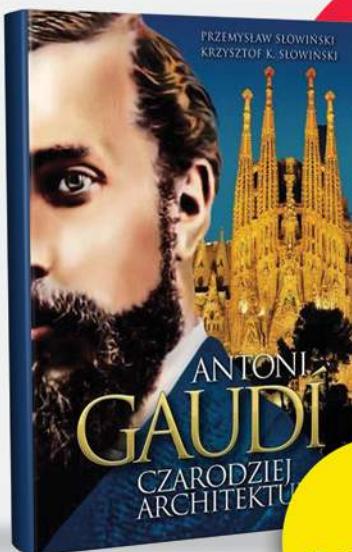
OFERTA SPECJALNA. TYLKO TERAZ W PAKIECIE Z E-WYDANIEM

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

**Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

**W PREZENCIE KSIĄŻKA:
P i K. SŁOWIŃSCY
„ANTONI GAUDI
– CZARODZIEJ ARCHITEKTURY”
+ E-WYDANIE**



**Cena:
279 zł**

**Oszczędność:
721 zł**

+
e-wydanie



+
e-wydanie



Cena: 143 zł
Oszczędność: 232 zł

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

**W PREZENCIE KSIĄŻKI:
Rafał A. Ziemkiewicz
„Sanacja czy demokracja”,
„A więc wojna!”
Sz. Weiss „Moja Polska”
+ e-wydanie**

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 499da21e13



Łukasz Majchrzyk

Robert Kubica trafił do zespołu o bogatej historii, zespołu, który napędza pasja. Podobnie jak Polaka

Zespół Williamsa to wyjątek w Formule 1. Bogatą historią, ludzkimi dramatai, ale też świadectwami zawziętości i podnoszeniem się po upadkach mógłby obdzielić kilka ekip. Jeśli gdzieś jeszcze w tym sporcie dla bardzo bogatych jest miejsce na podejście choć trochę romantyczne, to właśnie tutaj – w Williamsie. Dobrze, że Robert Kubica po swoim powrocie do ścigania się w Formule 1 trafił właśnie tutaj. W zespole z Grove wiedzą, co to hart ducha.

WAŻNY KAŻDY TYSIĄC

W Formule 1 liczą się przede wszystkim pieniądze. Człowieka można zastąpić, utalentowanych kierowców nie brakuje, mechaników można znaleźć, ale bez milionów dolarów na koncie, dzięki którym będzie można zrealizować pomysły inżynierów, nie ma nawet co myśleć o tym, by wyjechać na tor i spróbować się ścigać.

Trzeba dążyć do perfekcji, a technologia, komputery i części zamienne kosztują krocie. Przy okazji trzeba stworzyć prawdziwe laboratorium, w którym będą przeprowadzane skomplikowane eksperymenty. Najbogatsi wydają ponad 300 mln dol. na sezon. Powstał nawet na ten temat dowcip. Jak zostać milionerem? Wystarczy być miliarderem i kupić sobie zespół Formuły 1.

Niewielu stać na tak drogą zabawę i nic dziwnego, że rządzą tam ludzie, za którymi stoją potężne koncerny: Ferrari, Mercedes, Red Bull albo Renault. Każdego roku trzeba skonstruować nowy bolid, trwa nieustanny wyścig zbrojeń, a pozyskanie sponsorów to wielkie wyzwanie. Mało jest globalnych marek, które byłyby zainteresowane umieszczeniem swojego logo na superszybkich samochodach. Kiedyś można było liczyć na koncerny tytoniowe, które chciały być rozpoznawane na całym świecie, ale od wielu lat nie ma już takiej możliwości.

Zespoły takie jak Williams Różnią się w obecnych czasach wyjątkiem. Każdego roku muszą zbudować piramidę sponsorów i nic dziwnego, że za miejsce w bolidzie każą sobie płacić. Chcesz spełnić swoje marzenia o byciu jednym z najszybszych



Z miłości do prędkości

kierowców na świecie? Proszę bardzo, ale to słono kosztuje.

Franka Williamsa założyciela i właściciela zespołu napędza pasja. O takich jak on mówi się, że w jego żyłach razem z krwią płynie benzyna, ale niejeden raz dopadała go też proza wyścigowego życia. Może dlatego rok wcześniej w wyścigu o fotel w bolidzie Williamsa Roberta Kubicę ubiegł Siergiej Sirotkin? W brytyjskim zespole wiedzą, że liczy się każdy tysiąc euro.

NARODZINY W BÓLACH

Frank Williams odnosił sukcesy, pokonywał bogatszych, ściągał najlepszych kierowców. Wszystko dzięki pasji i silnej woli, bo od zawsze musiał walczyć o to, by zdobyć pieniądze. Ze swoim pochodzeniem nie do końca pasował do środowiska, które tworzyli synowie bogatych rodzin, szukający dla siebie mocnych wrażeń i miejsca w życiu.

Jego rodzice rozwiedli się, a matka starała się zapewnić synowi najlepszą, możliwą edukację, na jaką było ją stać. Przez kilka lat Frank Williams uczył się w szkole z internatem (St Joseph's College w Dumfries) i mógł obserwować, jak niektórzy uczniowie są odbierani przez

rodziców, przyjeżdżających drogimi i – co najważniejsze – szybkimi autami.

Fascynowała go prędkość, chciał oglądać wyścigi, stać się częścią tego świata, a skoro nie stać go było na bilet, to przekradał się przez dziurę w płocie, żeby popatrzeć na wyścigi. Czasami miał okazję przejechać się z kolegami, a to tylko potęgowało pragnienie zdobycia kiedyś szybkiego auta dla siebie. Matka liczyła, że wykształcenie pomoże synowi zdobyć pracę i zarabiać godne pieniądze, ale Frank miał inny pomysł na siebie. Chciał być kierowcą wyścigowym, o żadnym uniwersytecie nie było mowy. Problem był jeden: Jak bez pieniędzy wdrzeć się do tego świata?

Na początku Williams marzył, by samemu być kierowcą wyścigowym. Za ciężko zarobione pieniądze kupił astonę martina A35 i brał udział we wszystkich weekendowych wyścigach, w których mógł. Stosunkowo szybko zdał sobie jednak sprawę, że wielkiej kariery nie zrobi, być może z powodu braku pieniędzy, a może po trosze z braku talentu. Jego krótką karierę zakończył wypadek na torze Mallory Park. Wyleciał na jednym z zakrętów, a kiedy już się pozbierał i siadł na poboczu, spotkał innego kierowcę, który również czekał na zakończenie rywalizacji.



Williams od czasu wypadku w 1986 r. jest sparaliżowany i jeździ na wózku
FOT. JOE PORTLOCK/WILLIAMS F1

Nazywał się Jonathan Williams i pomógł wprowadzić Franka mocniej w świat wyścigów. Dzięki niemu poznał obiecującego kierowcę Piersa Courage'a, który okazał się ważną postacią w początkach jego kariery.

Courage był synem właściciela browaru i entuzjastą motosportu, a – jak wspomina Frank Williams – także czarującym człowiekiem. Jego rodzina miała pieniądze, podobnie jak rodziny wielu innych młodych ludzi bawiących się rajdami. Późniejszy właściciel teamu Formuły 1 trzymał się tego świata z całych sił, żeby zarobić na życie, sprzedawał nawet zupy w puszcze. Wiele do szczęścia w tamtym czasie nie potrzebowali ani on, ani jego przyjaciele. Mieszkali kątem u Charlesa Crichtona-Stuarta, potomka rodziny arystokratycznej, który również fascynował się rajdami. Jednym z towarzyszy był też Charles Lucas, syn posiadacza ziemskiego.

Kupili auto wyścigowe, starą ciężarówkę marki Volkswagen i tak jeździli po całej Europie od maja do września. Już wtedy pieniądze były ich głównym zmartwieniem. Bywało, że zdobywali jakieś nagrody, ale oszczędzali na wszystkim. Na pokój hotelowy i kąpiel pozwalali sobie tylko raz w tygodniu, jedli, co popadło. Mieli szczęście, że pochodzili z Wielkiej Brytanii,

która była wtedy prawdziwym zagłębiem produkcji jednomiejscowych aut wyścigowych. O części zamienne nie było łatwo, nie było sklepów internetowych, płacenia przelewami, wszystko trwało długo. Wiele kierowców z Francji czy Belgii słysząc, że po sezonie Courage i Williams wracają na Wyspy, prosiło o to, by wysłać im paczkę z silnikiem, skrzynią biegów albo innymi częściami. Dla Williamsa było to zbawienne, bo mógł zarobić, a szło mu na tyle dobrze, że wkrótce zajął się handlem autami.

Miał pieniądze (przynajmniej na razie), kierowcę, więc w końcu zaczął się ścigać w elitarnej Formule 1. To nie był jednak do końca ten sport, który znamy dzisiaj. Nie było takiego nacisku na bezpieczeństwo jak obecnie. Może nie do tego stopnia co w imprezach zupełnie amatorskich, gdzie na starcie stawiali kierowcy ubrani, w co kto miał pod ręką – jeden w polówce, inny pod krawatem, ale nawet tam, w elicie, śmierć była na porządku dziennym. Zginął też Courage, który nie opanował auta na jednym z zakrętów na holenderskim torze Zandvoort. Williams był zdruzgotany. Po raz pierwszy zmierzył się ze śmiercią w Formule 1. Później miał się z nią spotykać jeszcze kilka razy.

Jakby kłopotów było mało, Williamsa dopadły jeszcze problemy finansowe. Podobno było w pewnym momencie tak źle, że odciegnął mu w mieszkaniu telefon i musiał zarządzać zespołem z budki telefonicznej. Sam jednak przyznaje, że nie myślał o wycofaniu się ze sportu, bo był na to zbyt młody, zbyt optymistycznie nastawiony do życia i nieodpowiedzialny. Samochody w zespole były coraz słabsze i to nawet mimo zatrudnienia świetnego inżyniera, którym był Patrick Head. Williams, chcąc ratować sytuację, zgodził się na wejście w spółkę z kanadyjskim biznesmenem Walterem Wolffem. Ponieważ wyniki były fatalne, wspólnik wykorzystał swoją pozycję i usunął Franka Williamsa z zespołu. Niedługo później jego były już team wygrał pierwszy wyścig cyklu Grand Prix.

Na szczęście niedługo później do Williamsa zgłosił się belgijski browar, który oferował znaczne jak na tamte czasy pieniądze na stworzenie zespołu. Kierowcą miał być Belg Patrick Neve. Wszystko trzeba było tworzyć od podstaw, nawet siedzibę, którą ulokowano w byłej wytwórni dywanów, więc pracę trzeba było zacząć od ich uprzątnięcia. Miał szczęście, że trafiał na dobrych ludzi, wcześniej Courage'a i Crichtona-Stuarta,

teraz Head'a. Jego najlepszy inżynier mógł zostać u Wolffa, ale odszedł za przyjaciele. Razem stworzyli jeden z najlepszych zespołów w historii (dziewięć tytułów mistrza świata konstruktorów i siedem wśród kierowców).

Nie poddali się nawet wtedy, kiedy przed sezonem 1986 Williams, jadąc na lotnisko wypożyczonym autem, dachował i złamał kręgosłup. Od tego czasu jest sparaliżowany, porusza się na wózku inwalidzkim, ale w dalszym ciągu pracuje, by wrócić na szczyt.

Na przestrzeni lat miał niebywałe wyczucie, jeśli chodzi o kierowców. Kiedy trzeba było wybierać między kilkoma kandydatami, stawiali często na przyszłego mistrza. Tak trafił do nich Nigel Mansell, który zdobył mistrzostwo świata. Pojawiali się też inni, wielcy zawodnicy: Keke Rosberg, Nelson Piquet, Damon Hill czy Jaques Villeneuve. Był też Ayrton Senna – okreśłany przez niektórych jako największy z wielkich. Razem z teamem Williamsa mieli zdobyć czwarte mistrzostwo świata dla Brazylijczyka. Świetny kierowca wsparty znakomitym zapleczem technicznym. Od początku współpraca jednak się nie układała, Senna nie ukończył pierwszych wyścigów sezonu. Walczył o zwycięstwo w Grand Prix San Marino, ale na zakręcie nazwanym Tamburello jego bolid wyleciał z toru i z impetem uderzył w betonową ścianę.

Przez wiele lat przed włoskimi sądami toczyło się postępowanie przeciwko Williamsowi o nieumyślne spowodowanie śmierci – jako przyczynę wypadku wskazano awarię kolumny kierownicy.

KRYZYS I ZMIANA

Był to jeden z najgorszych kryzysów w historii Williamsa i całej Formuły 1. Dzień wcześniej, podczas kwalifikacji do wyścigu, na tym torze zginął Austriak Roland Ratzenberger. Od tego czasu Formuła 1 się zmieniła, znacznie poprawiono bezpieczeństwo, obecnie kierowcy są w stanie wyjść bez szwanku z niemal zmiądzonych bolidów.

Sam zespół Williamsa też przeszedł przemianę. Jako pierwsza ekipa ze świata Formuły 1 wszedł na frankfurcką giełdę. W 2008 r. stworzono przedsiębiorstwo Williams Advanced Engineering, które technologie powstające przy pracach nad samochodem sprzedaje biznesowi. Jedno się jednak nie zmieniło: tych ludzi nakręca pasja.



Jacek Przybylski

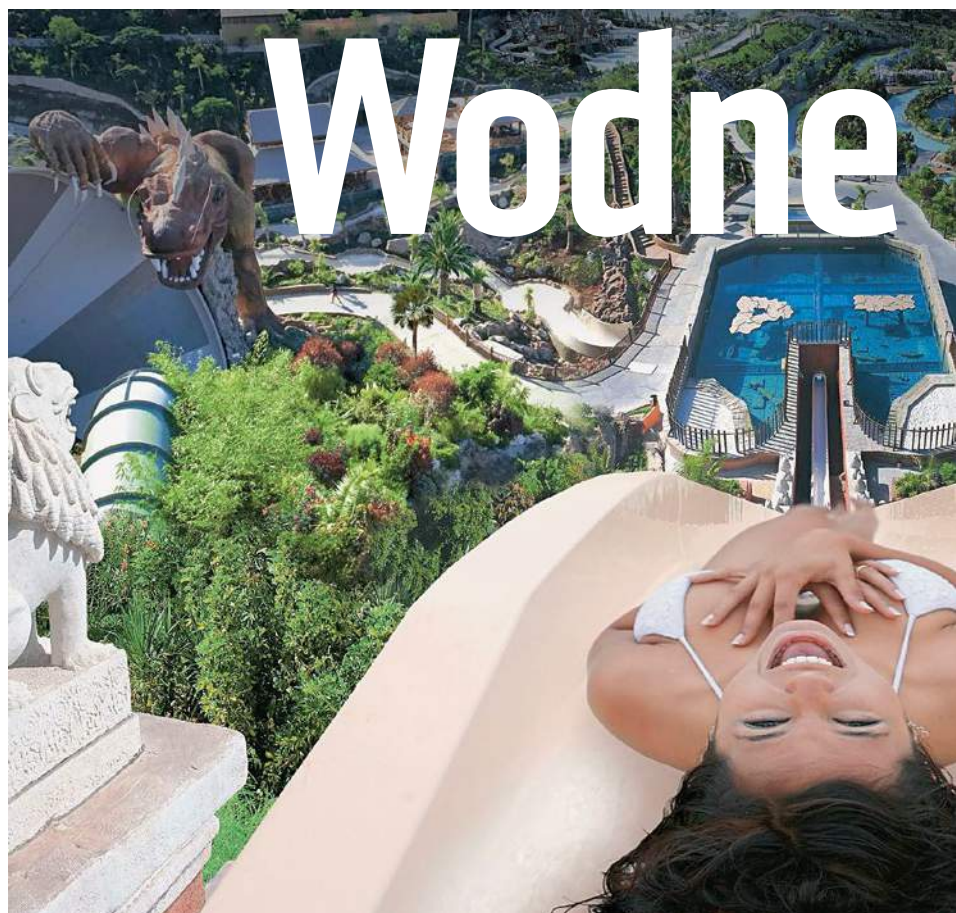
Już w 2019 r. miłośnicy wodnych zabaw zyskają nową atrakcję. W pobliżu Żyrardowa ma zostać otwarty ogromny aquapark Suntago Wodny Świat – największy zadaszony wodny park rozrywki w Europie

W ręcza. Zamieszкана przez nieco ponad 150 mieszkańców wieś położona ok. 55 km od Warszawy i 70 km od Łodzi, już w połowie września ma się stać jednym z największych celów na światowej mapie miłośników wodnej rozrywki. Koszt budowy parku rozrywki Suntago Wodny Świat – Park of Poland, który powstaje w okolicy na obszarze ok. 20 ha, szacowany jest na 150 mln euro. Gigantyczny przeszklony obiekt ma być większy od warszawskiego Stadionu Narodowego. Całkowita powierzchnia basenów, w tym basenów termalnych, wyniesie zaś aż 3,5 tys. mkw. Temperatura wody w większości z basenów będzie oscylować wokół 34 st. C.

Cały kompleks ma się składać z trzech stref klimatycznych. W wodnej dżungli Jamango zaplanowano ponad 3 km zjeżdżalni wodnych, w tym najdłuższą krytą zjeżdżalnię w Europie o długości aż 320 m. To tak, jakby sunąć w dół ze szczytu wieży Eiffla. Ogólnie do dyspozycji będą 32 różne zjeżdżalnie o łącznej długości 3,2 km oraz rozmaite akweny z falami, rwącymi rzekami etc. Maszyna Surf-Air umożliwi z kolei surfowanie pod dachem. Dla rodziców z dziećmi zaplanowano też wodny plac zabaw.

DŻUNGLA POD WARSZAWĄ

W kolejnej strefie – Saunarii – znajdzie się 10 różnego rodzaju tematycznych saun, a także mineralne baseny zdrowotne, solaria oraz prywatne gabinety masażu. W strefie relaksu inwestor zaplanował zakryty basen o powierzchni aż tysiąca metrów kwadratowych oraz basen usytuowany obok ogrodu o powierzchni 30 tys. mkw., z otwieranym w słoneczne dni dachem. Odpoczynkowi służyć ma m.in. egzotyczne otoczenie, w tym kilkaset prawdziwych tropikalnych palm. Egzotyczne drzewa będą



pochodzić głównie z Malezji, Kostaryki, a także z Florydy.

Siedemset palm zostało już przesadzonych do doniczek i przetransportowanych klimatyzowanym kontenerem do Europy. Zanim drzewka trafią do Polski, muszą przejść aklimatyzację w gigantycznej szklarni w Rotterdamie. W Holandii zostaną też przebadane przez lokalny sanepid i jeśli będą zdrowe, to otrzymają specjalny certyfikat, który pozwoli przewieźć je nad Wisłę. Palmy w okolicach Mszczonowa pojawiają się jednak dopiero, gdy park wodny we Wręczy będzie miał już wszystkie ściany i suity – tylko wtedy tropikalne drzewa nie zmarzną w naszym klimacie. Parking przed parkiem wodnym ma pomieścić 2,5 tys. samochodów. Zaplanowano też otwarcie pięciu restauracji oraz czterech barów położonych bezpośrednio przy basenach. Inwestor szacuje, że w ciągu godziny jazdy samochodem do obiektu będzie mogło dotrzeć kilka milionów osób.

Większość basenów będzie wypełniona wodą termalną, która będzie wykorzystywana także do ogrzewania budynku. Powstał już odwiert, z którego czerpana będzie woda, którego głębokość wynosi aż 1720 m. Jak dowiedziało się „Do Rzeczy”,

także w 2019 r. ma być gotowa Suntago Village, czyli wioska dwupokojowych domków modułowych. W ramach projektu powstanie także strefa zabaw dla dzieci, strefa przeznaczona do wspólnego grillowania, centralny budynek z recepcją oraz minisklepem. Kolejne 100 domków zostanie dodanych w drugiej fazie projektu.

Na IV kwartał 2020 r. planowane jest ukończenie budowy pierwszej fazy projektu hotelowego składającego się z dwóch niezależnych obiektów połączonych wspólnym atrium. W pierwszej fazie powstanie hotel czterogwiazdkowy, w drugiej – pięciogwiazdkowy. W kolejnych etapach Global City Holdings zamierza zaś wybudować parki rozrywki z rollercoasterami, bungalowami, centrum konferencyjne i handlowe, biurowce oraz apartamentowce. Powierzchnia całej inwestycji ma wynieść aż 400 ha.

TROPIKI TUŻ ZA ODRĄ...

Gdy za oknami mróz i śnieg, ciepłe morze, tropikalne palmy oraz piaszczystą plażę znaleźć można tuż za granicą Polski. 60 km od stolicy Niemiec w największym hangarze na świecie – pierwotnie projektowanym z myślą o sterowcach – stworzono Tropical Islands. Na „tropikalnych

królestwa



Za najlepszy park wodny na świecie uznawany jest Siam Park

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

lub – nie wychodząc spod ciepłej kopuły – wybrać się w krótki lot balonem. Tuż obok, już pod gołym niebem, otwarto Amazonię – latem można tam korzystać z dodatkowej plaży, a zimą popływać np. Dziąką Rzeką o bardzo wartkim nurcie.

... I POD TATRAMI

Polacy chętnie odwiedzają również aquapark na Słowacji. Położona wśród gór Tatralandia to największy całoroczny park wodny w tej części Europy. Park składa się z dwóch części: odkrytej (letniej) oraz zadaszonej, w której tropikalny klimat panuje non stop. Hala Tropical Paradise z czterema basenami pokryta jest dachem przepuszczającym promienie UV. W słowackim aquaparku znajduje się również 26 rur i zjeżdżalni, w tym sześć całorocznych. Niektóre – np. Delphin – dają możliwość zjazdu z wysokości ponad 17 m – czyli dachu pięciopiętrowego bloku – i maksymalne przyspieszenie: czteroosobowy ponton od zera do 50 km/godz. rozpędza się w ciągu zaledwie jednej sekundy. Zastrzyk adrenaliny niemal gwarantowany. Sercem Tatralandii jest woda termalna o temperaturze 60,7 st. C, która wypływa ze źródła na głębokości ponad 2,5 tys. m.

Kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Tatralandii, u podnóża Tatr Wysokich, znajduje się słowackie AquaCity, również chętnie odwiedzane przez Polaków. W tym parku znajduje się 13 zewnętrznych i wewnętrznych basenów, w tym czynne przez cały rok baseny termalne o temperaturze od 30 do 38 st. C. Do tego m.in. sauny, jaskinia lodowa, a także zjeżdżalnie, z których najdłuższa (Czarna Dziura) ma 71 m długości.

TAJLANDIA W HISZPANII

Największym aquaparkiem w Europie jest jednak obecnie hiszpański Siam Park, otwarty przez księżniczkę Tajlandii Małę Chakri Sirindhorn w 2008 r. Położony na południu Teneryfy park wodny jest uznawany za najlepszy na świecie według portalu TripAdvisor. Na 185 tys. mkw. powstały m.in.: otoczony palmami basen z trzymetrowymi falami i ogromną sztuczną piaszczystą plażą, zjeżdżalnie, ogrody oraz restauracje. Wszystkie atrakcje nawiązują stylistyką do architektury Tajlandii.

Które atrakcje są najfajniejsze? Miłośnicy adrenaliny mogą np. zjechać z liczącej 213 m długości zjeżdżalni Kinnaree. Najpopularniejszą atrakcją tego parku jest jednak wysoka na 27 m Tower of Power. Zjazd, podczas którego można rozpędzić



Insano – zjeżdżalnia o wysokości 41 m (czyli 14 pięter bloku) pozwala śmiałkom rozwinąć prędkość aż 104 km/godz.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wyspach” może odpoczywać nawet 6 tys. turystów dziennie. Wewnątrz przez cały rok panuje stała temperatura: 26 st. C oraz wilgotność na poziomie od 40 do 60 proc. Do dyspozycji gości są olbrzymie baseny – największy, tzw. Morze Południowe, ma 1,4 tys. mkw. oraz stałą temperaturę wody wynoszącą 28 st. C. Przy niej znajduje się długa na 200 m plaża na kilkaset leżaków. Pod monumentalną, częściowo przezroczystą kopułą rośnie też tropikalny las,

który tworzy aż 50 tys. roślin. Żyje tam też wiele egzotycznych zwierząt, m.in. flamingi oraz żółwie. W hangarze stworzono też lagunę z wodospadem oraz grotą.

Poszukujący adrenaliny mogą zjechać z największej w Niemczech wieży ze ślizgawkami o wysokości 27 m. W specjalnie zaprojektowanych ślizgawkach można rozpędzić się do 70 km/godz. Znużeni leżeniem na piasku i zjeżdżalniami mogą także zrobić podstawowy kurs nurkowania



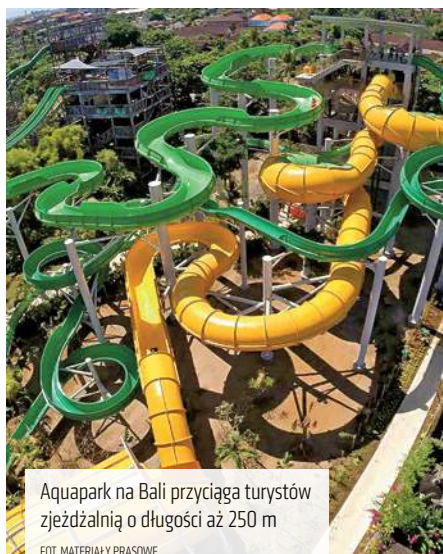
Na tropikalnych wyspach pod Berlinem przez cały rok panuje stała temperatura: 26 st. C

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Suntago Wodny Świat – wizualizacja parku wodnego, który powstaje niedaleko Żyrardowa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Aquapark na Bali przyciąga turystów zjeżdżalnią o długości aż 250 m

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ się aż do 80 km/godz., rozpoczyna się na szczycie gigantycznej wieży. Sunąc niemal pionowo w dół, z impetem przelatuje się przez ogromne akwarium pełne rekinów i płaszczyk. Wodny rajd kończy się, wpadając do małego, płytkiego basenu. Z kolei Mekong Rapids pozwala parom lub grupie czworga znajomych na spływ dmuchanym pontonem w ogromnej półotwartej rynnie. Miłośnicy aktywnego spędzania wolnego czasu w hiszpańskim wodnym królestwie mogą nauczyć się surfingu. Turystów witają i żegnają zaś bawiące się ze sobą foki.

WATERBOM BALI

Usytuowany blisko centrum Kuty stanowi jedną z najpopularniejszych atrakcji na indonezyjskiej wyspie Bali.

Turystów przyciąga tu m.in. rekordowa zjeżdżalnia wodna The Constrictor, której długość wynosi aż 250 m, a wiele ostrych zakrętów ma niemal 90 stopni. Dzieci i nastolatki uwielbiają z kolei bitwy na wodne balony. Park został zaprojektowany tak, aby tropikalna roślinność stanowiła ponad połowę jego powierzchni.

SZYBCY I MOKRZY

Na trzecim, czwartym i dziewiątym miejscu w rankingu najwspanialszych parków wodnych na świecie według portalu TripAdvisor znajdują się trzy brazylijskie inwestycje: Beach Park, Thermas dos Laranjais oraz Eco Parque Arraial d'Ajuda. Najstojniejszą atrakcją pierwszego z nich, największego aquaparku Ameryki Łacińskiej, jest Insano – najwyższa zjeżdżalnia na świecie o wysokości 41 m (czyli ok. 14 pięter bloku mieszkalnego), która pozwala śmiałkom rozwinąć prędkość aż 104 km/godz. Thermas dos Laranjais zajmuje powierzchnię ponad 260 tys. mkw., ma dwie sztuczne plaże i nowoczesną maszynę do wytwarzania fal dla miłośników surfingu. Każdego dnia może przyjąć nawet 15 tys. gości, na których czeka ponad 50 różnego rodzaju atrakcji.

SURFING W BASENIE

Istniejący od niemal 20 lat Disney's Typhoon Lagoon Water Park w Orlando na Florydzie jest jednym z najczęściej odwiedzanych aquaparków na świecie i zajmuje piąte miejsce wśród najlepszych parków według portalu TripAdvisor. W 2017 r. odwiedziło go 2,16 mln osób, czyli średnio 41 tys. gości tygodniowo. Turystów do amerykańskiego parku przyciąga m.in. jeden z największych zewnętrznych basenów na świecie, w którym goście mogą zamówić prywatne lekcje surfingu.

Niezwykle popularnym aquaparkiem w Orlando jest również Aquatica. Obok dwóch ogromnych basenów ze sztucznymi falami usypano sztuczną plażę z niemal 1,4 tys. ton miękkiego białego piasku. Park daje też sposobność podziwiania delfinów, a nawet oferuje możliwość pojawienia się między nimi – Dolphin Plunge to przezroczysta zjeżdżalnia, której trasa wiedzie przez gigantyczne akwarium z delfinami.

ZAMEK I SZTUCZNE FALE

Zbudowana na północnym zachodzie półwyspu Istria Istralandia to pierwszy w Chorwacji park wodny z prawdziwego

zdarzenia. Na terenie ponad 81 tys. mkw. zbudowano ponad 1,6 km zjeżdżalni dla dzieci i dorosłych. W sumie w Istralandii jest ich 20. Do tego trzy baseny, w tym jeden ze sztuczną falą o wysokości do 1 m. Na terenie parku znajdują się zamek zabaw dla dzieci oraz boisko do gry w siatkówkę.

ARABSKIE BAŚNIE I EGIPSCY KAMIKADZE

Wśród najlepszych aquaparków świata są również Wild Wadi Waterpark – położony w pobliżu Burdż al-Arab, czyli najbardziej znanego hotelu-żagla w Dubaju – oraz egipski Makadi Water World. Stylistyka pierwszego z nich nawiązuje do tradycyjnych arabskich baśni, a park oferuje 30 zjeżdżalni dla dzieci i dorosłych. W egipskim aquaparku jest ponad 50 różnego typu atrakcji, w tym m.in. wielotorowa zjeżdżalnia służąca do wyścigów oraz praktycznie pionowa zjeżdżalnia o wszystkim mówiącej nazwie... Kamikadze. Listę 10 najlepszych na świecie parków wodnych zamyka australijski WetSide Water Park, zbudowany w zatoce Hervey Bay. W odróżnieniu od innych wspaniałych aquaparków wejście do niego jest darmowe. Trzeba jednak zapłacić za takie atrakcje jak korzystanie z miejsca do surfowania na sztucznych falach czy korzystanie z najnowszych zjeżdżalni.

Wymienione miejsca to tylko wycinek świata wodnych królestw. Piękne parki wodne mają też Włochy, Szwajcarzy, Duńczyki i Czesi. Dobrze więc, że i w Polsce będzie duży aquapark. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

TOP 10 parków wodnych w Europie:

1. **Siam Park** – Adeje, Hiszpania
2. **Aquapark Istralandia** – Novigrad, Chorwacja
3. **Etnaland** – Belpasso, Sycylia
4. **H2O Aquapark** – Rostów nad Donem, Rosja
5. **The LC** – Swansea, Walia
6. **WaterWorld Waterpark** – Ayia Napa, Cypr
7. **WaterPark** – Faliraki, Grecja
8. **Kompleks Parku Wodnego w Druskenikach** – Litwa
9. **Slide & Splash – Water Slide Park** – Lagoa, Portugalia
10. **Action Aquapark** – Słoneczny Brzeg, Bułgaria

ŹRÓDŁO: TRIPADVISOR

TEST „DO RZECZY”: URZĄDZENIE WIELOFUNKCYJNE EPSON L7180



Możliwość dwustronnego drukowania zdjęć i dokumentów w formacie A3, niskie koszty eksploatacji oraz dwa podajniki papieru – to największe zalety najnowszej kolorowej drukarki firmy Epson.

Urządzenie z serii EcoTank wykorzystuje oszczędny system zasilania w atrament z pięcioma pojemnikami, w tym zarówno czarny atrament pigmentowy, jak i czerń fotograficzną. Producent szacuje, że przeciętny użytkownik z drukarki będzie mógł korzystać przez trzy lata, zanim pojawi się konieczność kupna nowego atramentu.

Drukować można zarówno z kart pamięci (urządzenie ma wbudowane gniazdo na karty

SD), jak i – dzięki obsłudze Wi-Fi oraz Wi-Fi Direct – bezprzewodowo ze smartfonów i z tabletów. Miłośników mediów społecznościowych ucieszy z kolei możliwość łatwego wydruku zdjęć z Facebooka, które za pomocą aplikacji Creative Print4 można zamienić w spersonalizowane kartki okolicznościowe lub np. w dziesięć kolorowanki.

Urządzenie pozwala też na drukowanie grafik na płytach DVD. Poza tym testowany model to urządzenie wielofunkcyjne: umożliwia więc nie tylko drukowanie, lecz także sprawne skanowanie i kopiowanie dokumentów.

Jakość wydruków jest bardzo dobra. Gorzej z maksymalną szybkością druku. W tym modelu wynosi ona do 13 stron na minutę – niby nieźle, ale demon prędkości to jednak nie jest.

Sprzęt wygląda elegancko. Design jest nowoczesny i minimalistyczny. Wszystko jest jednak dobrze spasowane i działa bez zarzutu.

Zanim zdecydujemy o zakupie takiego urządzenia do domu, sprawdźmy jednak, czy mamy na nie miejsce. Produkt ma bowiem większe wymiary niż standardowy domowo-biurowy kombajn: 526 mm szerokości, 415 mm głębokości oraz 168 mm wysokości. Największą wadą tego modelu jest jednak jego cena, która wynosi aż 2699 zł. Sporo, więc jeśli nie potrzebujemy wydruków w A3, to można śmiało zdecydować się na wersję L7160 – drukuje maksymalnie w A4, ale jest mniejsza i kosztuje 1999 zł.

Mimo drobnych minusów ze względu na stosunkowo niską cenę druku jeden zestaw tuszów według producenta powinien wystarczyć na wydruk do 1,5 tys. zdjęć w formacie 10 x 15 cm oraz zastosowanie minimalizującej zużycie atramentu głowicy Micro Piezo – model ten sprawdzić się może zarówno w małym biurze, jak i w domu, w którym mieszkają miłośnicy dobrej, tradycyjnej, drukowanej fotografii. © ©

Jacek Przybylski

KIESZONKOWY PROJEKTOR

No, może prawie kieszonkowy. W głęboką kieszeń kurtki się zmieści i może sprawić wiele frajdy podczas pobytu w miejscach, a takich w Polsce nie brakuje, gdzie ani kina, ani teatru nie usłyszysz, a jedyną rozrywką jest miejscowa mordownia z tanim piwem. Piko pozwoli pozostać w hotelu lub hostelu i obejrzeć wiadomości, program publicystyczny czy fajny film na ścianie pokoju. To bowiem bardzo mocny technicznie projektor kieszonkowy 1080p pozwalający na 240-calową projekcję HD z dwucalowego sześciu.

Piko łączy się bezprzewodowo lub przez HDMI czy USB z urządzeniami mobilnymi. Trochę danych technicznych: 1080p, obraz 240 cali, wyświetlacz o jasności 200 lumenów, z systemem Android i dostępem do Netflix, pięciogodzinny czas pracy baterii. Do tego oczywiście: Wi-Fi, Bluetooth, głośniki Hi-Fi, lustrzane odbicie obrazu na ekranie, pamięć masowa off-line. Zamawiać można na Indiegogo. Cena ok. 1 tys. zł. Dostawa w marcu.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

konują projektanci, „Uprawę jadalnych białek i nawozów na odpadach spożywczych. Projekt edukacyjny dla dzieci i młodzieży”. Najkrócej mówiąc – to domowa „farma” mączników (tu właśnie na scenę wchodzi robaki), która umożliwia przetwarzanie odpadów żywnościowych na nawóz i białka, a wszystko to podczas nauki (i tu ekofanatyki biją owacyjnie brawa). Generalnie dzieci zbierając pozostawione w domu resztki żywności, karmią nimi mączniki przechowywane w specjalnym zestawie, wyhodowane w ten sposób larwy dzieci mogą – również dzięki Hive Explorer – zamrażać, a następnie gotować lub piec jako – jak twierdzą ekolodzy – pełnowartościowe produkty spożywcze. „Smakują świetnie! Mają łagodny orzechowy posmak. Pozwala to mieszać je z różnymi rodzajami przepisów” – twierdzą producenci Hive Explorer.

Do zestawu do hodowli mączników dołączona jest oczywiście książka dla dzieci ucząca ekologii i pozwalająca notować własne spostrzeżenia.

Całość kosztuje ok. 120 zł i nie wróć (Bogu dzięki!) sukcesu temu projektowi w polskich domach, choć na Kickstarterze, gdzie można go zamawiać, cieszy się pewnym zainteresowaniem. © ©



I TY MOŻESZ MIEĆ ROBAKI

Nie brzmi to fajnie? To fakt. Projektanci twierdzą jednak, że to przednia zabawa, w dodatku wielce pouczająca. A chodzi o Hive Explorer – czyli, jak prze-

Wojciech Wybranowski

Pięć razy nadzieja dla pacjentów



FOT. JADWIG



Katarzyna Pinkosz

Nowe terapie i badania diagnostyczne, które pojawiły się w ostatnim roku, są ogromną nadzieją dla chorych. Czy zapiszą się na trwałe w historii medycyny?

Onkologia, diabetologia, reumatologia, okulistyka, choroby rzadkie, perinatologia – dzięki niespotykanemu na taką skalę rozwojowi nauki nowe terapie pojawiają się we wszystkich dziedzinach medycyny. W 2018 r. było kilka przełomów, które dają nadzieję, że będzie o nich głośno w kolejnych latach.

ORGANIZM W WALCE Z RAKIEM

Wcześniej zdiagnozowane nowotwory są często całkowicie uleczalne; gorsza sytuacja jest wtedy, gdy pojawiają się przerzuty. Jednak obecnie nawet w przypadku bardzo zaawansowanych nowotworów jest szansa na znaczne wydłużenie życia. Pojawiają się nowe leki celowane, przeznaczone dla chorych z określoną mutacją nowotworową.

Przełomem są leki immunologiczne, które odblokowują zablokowany przez komórkę nowotworową układ odpornościowy: dzięki temu jest on w stanie skuteczniej pokonywać raka.

Nowe nadzieje wiążą się z terapią komórkami CAR-T. To limfocyty T (komórki układu odpornościowego) tak prze-modelowane genetycznie, by organizm mógł sam skierować swoje siły przeciw nowotworowi. Leczenie wygląda tak, że najpierw z krwi chorego izoluje się limfocyty T, następnie zamraża się je i przewozi do laboratorium, gdzie są modyfikowane genetycznie. Następnie zostają namnożone, ponownie zamrożone, przewiezione i podane do krwi chorego. „Przestrojone” komórki układu odpornościowego są w stanie przyłączyć się do komórki nowotworowej, a następnie ją zniszczyć.

Terapia CAR-T już została zarejestrowana w leczeniu ostrej białaczki limfoblastycznej (u dzieci i dorosłych) oraz chłoniaków rozlanych z dużych komórek B. Trwają próby kliniczne z jej zastosowaniem w kolejnych nowotworach: szpiczaku mnogim, ostrej białaczce szpikowej, a także w raku trzustki, płuc, piersi, niektórych typach mięsaków, glejaku. Jest ostatnią szansą dla chorych, u których inne terapie już zostały wykorzystane. – Ponad 80 proc. dzieci chorych na ostrą białaczkę limfoblastyczną odpowiedziało na terapię CAR-T, a po roku ponad 60 proc. nie miało wznowu choroby. Bez tego leczenia ich szanse na przeżycie równałyby się zeru – mówi prof. Krzysztof Kałwak z Kliniki Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej we Wrocławiu.

– Obecnie ta metoda jest stosowana u chorych, dla których inne terapie już zostały wyczerpane. Jednak trudno powiedzieć, jak to będzie w przyszłości: wszystkie nowe leki są najpierw stosowane u chorych, u których wszystko inne zawiodło – dodaje prof. Wiesław Jędrzejczak, były wieloletni krajowy konsultant w dziedzinie hematologii.

W Polsce terapię CAR-T nie są jeszcze dostępne, choć były już osoby, które

poddały się leczeniu w zagranicznych ośrodkach.

REWOLUCJA W DIAGNOSTYCE

Postęp w leczeniu nowotworów nie byłby możliwy bez rewolucji dokonującej się w diagnostyce. To szczególnie ważne przy tzw. terapiach celowanych, uzależnionych od typu raka. Zanim pacjentowi poda się taki lek, można sprawdzić – badając cechy komórki nowotworowej – czy będzie on skuteczny.

Stało się to możliwe dzięki sekwencjonowaniu nowej generacji. – Do 2001 r. sekwencjonowanie genomu było kwestią milionów dolarów i zaawansowanych technologii. Dzisiaj jest to możliwe w ciągu kilku dni, kosztuje ok. 2 tys. zł. Dzięki temu możemy określać zaburzenia na poziomie DNA i RNA nawet z małych próbek tkanki nowotworowej – mówi prof. Rafał Dziadziuszko z Katedry i Kliniki Onkologii i Radioterapii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Jeszcze większym przełomem jest możliwość sprawdzenia, na jaki nowotwór choruje pacjent i jakie są cechy jego raka, za pomocą tzw. płynnej biopsji, czyli badania krwi. Sprawdza się w niej krążące DNA nowotworu. – Dzięki temu wiemy, którym pacjentom możemy podać lek najbardziej dla nich skuteczny. Efektem jest wydłużenie ich życia – dodaje prof. Dziadziuszko.

Onkolodzy mają nadzieję, że w 2019 r. powstanie w Polsce sieć ośrodków onkologicznych, w których taka diagnostyka będzie wykonywana.

W grudniu 2017 r. Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) zatwierdziła pierwszą terapię genową w okulistyce, a pod koniec 2018 r. została ona zarejestrowana także w Europie. Jest stosowana w leczeniu dystrofii siatkówkowych wywołanych przez mutację genu RPE65: u chorych z wrodzoną ślepotą Lebera oraz u części chorych ze zwyrodnieniem barwnikowym siatkówki. Leczenie polega na podaniu pod siatkówkę iniekcji wektorów wirusowych zawierających prawidłową kopię genu.

Poznano już ponad 80 genów wpływających na powstanie zwyrodnienia barwnikowego siatkówki, nowa terapia może być stosowana tylko u chorych z mutacją jednego z nich. Otwiera jednak drzwi dla kolejnych prób leczenia.

– Zarejestrowana terapia genowa jest przełomem w leczeniu zwyrodnienia barwnikowego siatkówki, które dla wie-

lu pacjentów było dotychczas wyrokiem – mówi prof. Robert Rejdak, kierujący Kliniką Okulistyki Ogólnej Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego nr 1 Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. – Zwyrodnienie barwnikowe siatkówki było do tej pory uważane za nieuleczalne. Teraz dzieci i młodzi ludzie z tym schorzeniem mają już inną perspektywę – mówiła w grudniu 2018 r. na konferencji prasowej Małgorzata Pacholec, prezes Stowarzyszenia Retina AMD Polska.

Po to, by tego typu terapie mogły być stosowane, konieczne jest wcześniejsze przeprowadzenie diagnostyki genetycznej w schorzeniach okulistycznych. Na razie te badania nie są w Polsce finansowane w ramach NFZ.

SZTUCZNA TRZUSTKA I NOWE WSKAZANIA LEKÓW

W 2018 r. wiele zmieniło się w leczeniu cukrzycy, zarówno typu 1, jak i typu 2. – W badaniach klinicznych jest już sztuczna trzustka, tzw. pętla zamknięta, czyli połączenie czytnika poziomu cukru we krwi, pompy insulinowej i specjalne-

go algorytmu w telefonie komórkowym. Dzięki temu pompa insulinowa sama decyduje, kiedy i ile insuliny podać choremu. Nie musi on o tym myśleć. Jesteśmy o krok od wprowadzenia na rynek sztucznej trzustki, co będzie przełomem w leczeniu cukrzycy typu 1, jeśli chodzi o technologie – mówi prof. Grzegorz Dzida, diabetolog z Kliniki Chorób Wewnętrznych UM w Lublinie.

W cukrzycy typu 2 nowością w 2018 r. jest zmiana podejścia do leczenia. Pierwszym lekiem stosowanym u chorych co prawda pozostanie od dawna stosowana metformina, jednak gdy przestanie ona być wystarczająca, sposób leczenia ma zależeć od tego, czy chory ma inne schorzenia, np. chorobę serca, nerek itp. Jeśli tak, to jego leczenie powinno być zupełnie inne niż wtedy, gdy tych schorzeń nie ma.

– Amerykańskie i europejskie towarzystwa diabetologiczne uznały też, że pierwszą terapią iniekcyjną nie powinna być insulina, tylko leki inkretynowe, po-

nieważ wykazały one działanie protekcyjne i być może wydłużą okres, kiedy chory nie będzie musiał otrzymywać insuliny – dodaje prof. Dzida. W 2019 r. być może wejdzie na rynek pierwszy tego typu lek doustny. – Opracowano przełomową technologię, dzięki której będzie on mógł być podawany doustnie. Tak więc rok 2019 zapowiada się bardzo emocjonująco w diabetologii – przekonuje prof. Dzida.

LECZENIE KONFLIKTU SEROLOGICZNEGO

Coraz więcej badań jest przeprowadzanych też w Polsce. Przykład: leczenie konfliktu serologicznego, związanego z niezgodnością grup krwi matki i dziecka. Stanowi on duże zagrożenie dla płodu, może powodować silną niedokrwistość lub nawet zgon. Skutecznie mu się jednak przeciwdziała, dzięki podawaniu kobiecie po porodzie immunoglobuliny anti-D. Obecnie również podaje się ją profilaktycznie w trakcie ciąży kobietom, które mają grupę krwi RH– (jeśli ojciec dziecka ma grupę RH+). Jednak badania

Przełomem jest możliwość sprawdzenia, na jaki nowotwór choruje pacjent i jakie są cechy jego raka, za pomocą tzw. płynnej biopsji, czyli badania krwi

wykonane w Instytucie Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie pokazały, że nie zawsze jest to potrzebne, gdyż w ok. 40 proc. przypadków płód ma grupę RH–. Żeby to określić, konieczne jest wykonanie badania wolnokrążącego DNA w osoczu matki.

– Wykonywanie takich badań chroni kobietę przed niepotrzebnym podaniem preparatu krwiopochodnego, a dodatkowo powoduje oszczędności jego zużycia o ok. 40 proc. Systemem badań opracowanym w IHiT można objąć wszystkie kobiety zagrożone konfliktem serologicznym – mówi Sylwia Purchla-Szepiolo z Zakładu Immunologii Hematologicznej i Transfuzjologicznej Instytutu Hematologii i Transfuzjologii.

Dzięki wprowadzeniu powszechnych badań wolnokrążącego DNA można by ok. 20 tys. kobiet w ciąży co roku niepotrzebnie nie podawać leku, co m.in. nie narażałoby ich na stres związany z lękiem, że dziecku może zagrażać choroba hemolityczna.

RYCERZE I WARCHOŁY

Moralne zwłoki **upiora z Upity**

JACEK KOMUDA

Zygmunta Glogera podaje, że w roku 1860 w Upicie miejscowy proboszcz przechowywał w drewnianej szafie zmumifikowane zwłoki pierwszego totalnego opozycjonisty w dziejach Rzeczypospolitej. Chodzi oczywiście o Władysława Wiktoryna Sicińskiego, herbu Prawdzic, podsędkę i posła upickiego, który w 1652 r. zerwał sejm. Zanim Siciński spoczął w szafie, jego trup krążył po Żmudzi jako upiór i był bohaterem licznych opowieści. Za zbrodnię, którą popełnił, miał zginąć w dniu Bożego Narodzenia trafiony piorunem. Ponoć ziemia nie chciała go przyjąć – siedem razy wyrzucała trupa ze swego wnętrza. Jako że nie mogli spocząć na cmentarzu, zwłoki Sicińskiego były poniewierane, wożone po karczmach i pokazywane dopóty, dopóki nie przygarnął ich wspomniany proboszcz z Upity. Trupa malowniczo opisał Adam Mickiewicz – „Popas w Upicie”, a Władysław Maleszewski zamieścił w „Tygodniku Ilustrowanym” w 1860 r. dokładną relację i rysunek: „Trup upickiego posła” (na ilustracji).

W rzeczywistości o życiu człowieka, który pierwszy wykrzyknął: „Veto!”, zrywając sejm i wprowadzając precedens, który doprowadził w przyszłości do kryzysu parlamentaryzmu polskiego i upadku Rzeczypospolitej, wiemy niewiele. Siciński, urodzony ok. 1615 r., dopiero w czasie wojen kozackich został poborcą upickim. Za zasługi otrzymał nadania w starostwie sztumskim w Koronie, a na sejmie w 1652 r. pojawił się jako poseł upicki, jednak nie przejawiał aktywności aż do 9 marca. Wówczas sprzeciwił się propozycji przedłużenia obrad sejmu i opuścił izbę. Nie wywołało to zamieszania, gdyż pozostali posłowie głosowali za prolongatą. Jednak niespodziewanie Sicińskiego poparł pisarz ziemski bielski Krzysztof Żelski. Postano-



FOT. WIKIPEDIA

wiono zatem odszukać Sicińskiego i skłonić go do cofnięcia protestacji i powrotu do izby. Poseł pozostawał jednak głuchy na argumenty kolegów, a nawet prośby samego króla i dwa dni później, 11 marca, opuścił Warszawę, co uznano za zakończenie sejmu. Miało to fatalne skutki – sejm nie uchwalił podatków na wojsko i nie zatwierdził ugody z Kozakami, co stało się przyczyną klęski pod Batochem.

Decyzja Sicińskiego była precedensem – jak podaje bowiem Władysław Czapliński, nigdy wcześniej protest jednego posła nie zerwał sejmu i „nikt z posłów nie chciał stwierdzić, że uznaje kontradycję jednego z posłów za absolutnie ważną”. Powody jego zachowania mogły być przynajmniej dwa. Pierwszy, najbardziej logiczny, to wyrok sądu sejmowego w sprawie konfliktu szlachty upickiej z księciem Aleksandrem Ludwikiem Radziwiłłem o podatki, ponieważ książę zamierzał przerzucić cały ich ciężar na okoliczną szlachtę. Kiedy sejm opowiedział się po jego stronie, Siciński postąpił w interesie swoich wyborców.

Wielu historyków jednak podaje jako główny powód to, że Siciński był klientem Janusza Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, i zerwał sejm na jego polecenie. Radziwiłł zaś uczynił to z powodu kolejnych dwóch spraw. Pierwszą była walka o buławę wielką litewską – król bowiem zaproponował ją Kazimierzowi Sapieżowi, pomijając Radziwiłła. Drugą zaś – bójka, którą książę wszczął na ulicy, pod bokiem króla, z Działyńskimi. Sprawa wywołała oburzenie, a uczestnicy mieli zostać osądzeni przez sąd sejmowy. Tymczasem wiadomo było, że król wykorzystał wcześniej podobną awanturę pomiędzy Hieronimem Radziejowskim i jego żoną do skazania podkanclerzego na banicję i infamię. Radziwiłł, jako wróg Jana Kazimierza, mógł więc obawiać się, że król spróbuje w podobny sposób pozbyć się teraz jego samego.

Nie ma niestety dowodów, że Siciński był zależny od Radziwiłła, a o jego dalszym życiu także wiadomo niewiele. W 1655 r. został stolnikiem upickim, a w październiku tego roku podpisał umowę kiejdańską, podporządkowującą Litwę Szwecji. Posłował drugi raz w 1659 r. na sejm, a w czerwcu 1660 r. podpisał jako reprezentant swego powiatu traktat ze Szwecją w Oliwie. Zapewne przez pewien czas był także podstarościm upickim, a od 1666 r. został podsędkiem. W życiu prywatnym nie miał szczęścia. Z małżeństwa z Heleną Sołohubówną nie doczekał się dzieci. Przed śmiercią w 1672 r. stracił większość majątków odziedziczonych po rodzicach. Za to wkrótce zaczęła się tworzyć czarna legenda Upiora z Upity. Już w 1722 r. Dawid Braun jako pierwszy w dziele „De iurium regnandi fundamentalium in Regno Poloniae” napisał, że Sicińskiemu, który: „dla korupcji od panów wziętej Ojczyznę zgubił, wkrótce mu ojca, matkę i siostrę piorun zabił”. ©

SAŁATKA SYLWESTROWA

OLI NGUYEN

Tyle mandarynek zostało po świętach. Dlaczego by ich wszystkich nie wykorzystać na imprezie sylwestrowej? Łatwe w wykonaniu oraz syjące sałatki na pewno urzekną i zarobionych gospodarzy, i głodnych gości. Polecam zacząć nowy rok na zdrowej nucie z sałatką makaronową z kozim serem i mandarynkami.

Składniki:

- 250 g makaronu wielozłazni-stego (świderki lub kokardki)
- 6 mandarynek
- 1 słodka papryka
- 300 g koziego sera twarogowego
- 2 łyżki soku z cytryny
- łyżeczka startej skórki z cytryny
- garść świeżej szalwii
- garść świeżej bazylii
- 2 łyżki oliwy
- garść prażonych pestek słonecznika
- sól i czarny pieprz

Przygotowanie:

Ugotuj makaron według wskazówek na opakowaniu.

Drobno posiekaj bazylię i szalwię. Wymieszaj je z kozim serem oraz ze startą skórką z cytryny. Wmasuj wszystko w gotowy makaron.

Obrane mandarynki podziel na części i pokrój w grubą kostkę. Słodką paprykę zaś pokrój w drobną kostkę.

Zamieszaj mandarynki i paprykę z makaronem. Posól i popieprz do smaku. Posyp wszystko pestkami słonecznika i udekoruj paroma listkami szalwii i bazylii. ©©

oprac. raw

*Ola Nguyen
jest laureatką
tegorocznej
edycji progra-
mu „Master-
Chef Polska”*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kapłony i szczeżuje

Kto słyszał w radiowej Dwójce prof. Jarosława Dumanowskiego, historyka kuchni i kultury, ten potwierdzi, że jego talent opowiadacza literackiego nie ustępuje talentom mówcy na żywo. Nic dziwnego, że jego książka „Kapłony i szczeżuje, czyli opowieść o zapomnianej kuchni polskiej” (autor w rozmowie z dziennikarką kulinarną Magdaleną Kasprzyk-Chevriaux, wyd. Czarne) to prawdziwy klejnot na tle masowo wydawanej dziś tzw. literatury kulinarnej.

Wspaniale ilustrowana opowieść o zapomnianej kuchni polskiej. Tak łatwo byłoby napisać o tym nudny traktat. To jednak nie prof. Dumanowski. Dla niego historia to nie jest rozdzielny zamknięty – on widzi ją oczami człowieka współczesnego, rozumie, jak się toczy do dziś i jak odbija się w naszej globalnej rzeczywistości.

Książka cofa nas do czasów, kiedy kuchnia polska nie przypominała tej, którą znamy dziś. Przywołuje nazwy zapomniane i niezrozumiałe. Uświadamia, jak różnorodna, lokalna i naturalna była nasza kuchnia. Jak różne było odczuwanie smaku. Kurczaki i wieprzowina, główne składniki polskiego menu w XXI w., rezultat uprzemysłowienia produkcji żywności, to coś, czego nie znali nasi rodacy sprzed kilku wieków. Z naszego menu zniknęły jadane do XIX w. liczne gatunki mięs, „bawoły, woły, jałowice, tury ze szpikiem, cielęta, animelle, młode baranki, skopy (kastrowane tuczone



JAROSŁAW
DUMANOWSKI,
MAGDALENA
KASPRZYK-
CHEVRIAUX
„KAPŁONY
I SZCZEŻUJE...”
CZARNE 2018

barany), wieprze karmne, kapłony karmne, kury stare, gołębie, gęsi, gąski” – tu autor cytuje najstarszą książkę kucharską – XVII-wieczne „Compedium ferculorum”). Kupujemy tuczonego w masowej hodowli łososia, śledzie i wędzone makrele. Gdzie podziały się jesiort, łosoś wiślany, szczupak, certa? Kto jeszcze wie, co to takiego minóg? Przed rokiem 1939 powszechny minóg rzeczny, sprzedawany w beczkach, jak śledzie (bezzuchwowy wodny pasożyt żywiący się płynami i mięsem wysysanym z ryb).

Miedzy XVI a XVIII w. produkty używane w polskiej kuchni zmieniły się niewiele. Dopiero industrializacja i tani transport w XIX w. zmieniły wszystko. Trwający przez wieki związek kuchni polskiej z dworem, polem i ze zbieractwem został zerwany. Coraz więcej ludzi produkowało żywność nie tylko dla siebie. Dzisiejsza nadobfitość jedzenia, globalizacja i wolność żywienia nigdy nie występowały w podobnym natężeniu. Jeśli już, to doświadczały jej elity.

„Lekcja historii polega na przypominaniu nam tego, co utraciliśmy”. Żeby się tylko nie okazało, że związek z przeszłością został zerwany. ©©

NASZ TEST: KIA STINGER GT

Seksowna linia nadwozia, sześciocylindrowy silnik o mocy 366 KM, a do tego wielkie czerwone zaciski na hamulcach oraz adaptacyjne reflektory LED – to elementy, które mają być przepustką dla koreańskiego producenta na prestiżowe salony świata zdominowanego dotąd przez niemieckich gigantów.

W KABINIE

W aucie mierzącym 4,831 m długości i 1,869 m szerokości miejsca dla pasażerów jest pod dostatkiem. W wersji GT wnętrze „kijanki” przypomina już typowe auta klasy premium: w kabinie wykończonej w minimalistycznym duchu przeważają miękkie plastiki, aluminium, skóra i zamsz. Dobrze wyprofilowane przednie fotele mogą być podgrzewane lub wentylowane.

Centralnym punktem deski rozdzielczej jest ośmiocalowy wyświetlacz dotykowy. Na szczęście klimatyzacją czy systemem audio nadal można wygodnie sterować za pomocą tradycyjnych przycisków. Wadą tego modelu jest niewielki bagażnik o pojemności 406 l.

JAZDA

Ważąca 1,8 t Kia Stinger z 3,3-litrowym silnikiem T-GDI o mocy 370 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 510 Nm od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 4,9 s. Prędkość maksymalna wynosi aż 270 km/godz.

Auto świetnie radzi sobie nie tylko na autostradach prostych, lecz także na ostrych zakrętach. Precyzyjny układ kierownicy oraz świetnie zestrojone sportowe zawieszenie sprawiają, że „kijanka” trzyma się asfaltu niczym przyklejona.



Dzięki adaptacyjnemu zawieszeniu do wyboru jest pięć trybów jazdy (m.in. ekonomiczny, inteligentny, komfortowy, sportowy i sportowy plus). Miłośników mocnych wrażeń ucieszy informacja, że w trybie Sport+ można całkowicie wyłączyć układ ESP i cieszyć się z poślizgów umożliwiających „jazdę bokiem”.

Zawieszenie jest stosunkowo twarde, ale auto może pełnić funkcję komfortowej limuzyny. Stinger ma jednak spory apetyt na paliwo. Średnie zużycie w cyklu mieszanym podczas jazd testowych wynosiło ok. 12 l/100 km. Minusem podczas manewrowania na parkingach lub na ciasnych miejskich uliczkach jest też nieco zbyt duży promień skrętu.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Stinger zdobyła komplet pięciu gwiazdek (93 proc. punktów za ochronę dorosłego podróżnego i 81 proc. za ochronę dzieci).

Sportowa KIA jest też wyposażona w nowoczesne technologie, które pomagają uniknąć wypadków. Znajdziemy w niej m.in. system

wykrywania ryzyka kolizji lub potrącenia pieszego, asystenta, który powiadamia o zmęczeniu kierowcy, system ostrzegający przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu oraz przed pojazdami w martwym polu lusterek. Bezpieczną jazdę ułatwiają też system rozpoznawania znaków drogowych oraz funkcja automatycznego przełączania świateł drogowych na mijania.

CENA

Najszybsza Kia w historii z silnikiem 3,3 T-GDI V6 o mocy 366 KM, napędem na wszystkie koła oraz ośmiobiegową skrzynią automatyczną kosztuje 234,9 tys. zł. Za tę wysoką cenę – choć mimo wszystko niższą niż w przypadku niemieckich konkurentów – otrzymujemy bardzo bogato wyposażone auto i siedem lat gwarancji.

KONKURENCI

Alfa Romeo Giulia, Audi A4, Audi S5, BMW serii 4, Infiniti Q50, Jaguar XE S, Lexus IS, Mercedes CLS ☹☹

Jacek Przybylski



Szczęśliwego **Nowego Roku** i bezpiecznych podróży w **2019!**



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Siła głosowania?

MARCIN MAKOWSKI: W ostatnim czasie zarówno premier Mateusz Morawiecki, jak i Teresa May zostali postawieni przed głosowaniem dotyczącym przyznania ich gabinetom wotum zaufania. Oba wygrane, ale politycznie to chyba dwa światy?

MATTHEW TYRMAND: To prawda, brytyjska premier utrzymała zaufanie większości posłów swojej partii, ale musi mieć świadomość, że jej polityki nie popiera niemal jedna trzecia własnego zaplecza, co daje naprawdę słaby mandat do rządzenia. Szczególnie że opozycja zamierza urządzić dodatkowe wotum nieufności. Co z niezadowoloną Partią Pracy na czele i z torysami niezbyt podekscytowanymi brakiem wyrazistego

narzuca Wielkiej Brytanii jakieś absurdałne i jednostronne warunki wyjścia, a z drugiej strony panuje paraliż. Ludzie to widzą i myślę, że May – idąc tym tropem – długo nie utrzyma się na stanowisku. Rozmawiałem na ten temat z doradcami Nigela Farage'a, który zamierza założyć nową partię (z ludźmi takimi jak Johnson Davis i Rees Mogg u boku), zbierając głosy z elektoratu probrexitowego, rozczarowanego postępowaniem torysów.

Mam nadzieję, że na Wyspach nie dojdzie do drugiego referendum. To byłoby niewytłumaczalne z perspektywy demokracji. Jednak właśnie w taki sposób gra Bruksela – niektórzy europarlamentarzyści chcieliby urządzić referenda do momentu, w którym padnie pożądany przez nich rezultat, i dopiero wtedy uznać je za wiążące. Pędźcie ludzi wyjdą na ulice, niż na to pozwolą.

To teraz przejdźmy do sytuacji w Polsce, gdzie zdążyły się odbyć dwa głosowania, wotum zaufania i nieufności dla gabinetu Morawieckiego.

Interesująca sprawa, bo w tym drugim, choć mobilizacja przeciw Morawieckiemu miała być większa, uzyskał on wyższe poparcie niż w przeprowadzonym na jego wniosek chwilę wcześniej wotum zaufania. Tym samym wyraźnie umocnił nie tylko swój mandat, lecz także pozycję wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Bardzo spodobał mi się ten ruch premiera, który zaskoczył Schetynę planującego polityczne grillowanie w obliczu wyjazdu polskiej delegacji na szczyt do Brukseli. Widać, że Morawiecki też się uczy i zaczyna stosować dostępne mu polityczne instrumenty, wyprzedzając ruchy przeciwnika, również tego wewnętrznego. Jak wynika z sejmowych głosowań, wyników badań zaufania do polityków i aktualnych sondaży, Mateusz Morawiecki nadal (nie tylko w oczach Jarosława Kaczyńskiego) pozostaje

Morawiecki też się uczy i zaczyna stosować dostępne mu polityczne instrumenty, wyprzedzając ruchy przeciwnika

szefem rządu, który dosyć dobrze opiera się presji politycznej. Afera KNF mimo wszystko się do niego nie przykleiła. Może dlatego, że była aferą wokół Adama Glapińskiego i Marka Chrzanowskiego, czyli ludzi Zbigniewa Ziobry? Zwróć również uwagę, że zdjęcie ambasadora Mosbacher ze Schetyną, o którym ostatnio rozmawialiśmy, zostało zrobione dzień przed głosowaniem nad wotum zaufania. Jeśli o tym wiedziała, to jeszcze wyraźniejszy sygnał wsparcia opozycji; jeśli nie, to kiepsko świadczy o ambasadorze, który nie ma dobrych informatorów, którzy by go uprzedzili.

Schodząc z polityki parlamentarnej i międzynarodowej na miejską. Jak ci się podobają pierwsze tygodnie rządów Rafała Trzaskowskiego w Warszawie?

Fantastyczny początek – wycofywanie się z obietnic wyborczych PO, zmienianie zdania co kilka dni w sprawie bonifikat do dopłat za użytkowanie wieczyste, Tramwaj Różnorodności, zamiast inwestycji komunalnych i ta fatalna decyzja o przywróceniu komunistycznych nazw ulic wydana w rocznicę stanu wojennego 13 grudnia. To środowisko nie przestaje mnie gorszyć. Najpierw państwowy pogrzeb dla zbrodniarza Wojciecha Jaruzelskiego, teraz odbieranie prawdziwym bohaterom, takim jak Inka czy Herbert, własnych ulic na rzecz komunistycznych aparatczyków. Brak słów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



przywództwa w kwestii negocjacji brexitowych może być piekielnie trudne do wygrania. Kłopoty May nie są dla mnie jednak zaskoczeniem – koniec końców podobnie jak David Cameron, który jej obecnie doradza, ona również była za pozostaniem w Unii Europejskiej.

Problemy obecnej premier są jednak symptomatyczne dla prawie całej brytyjskiej klasy politycznej, wykazującej marazm i niepotrafiącą wygzekwować tego, do czego upoważniła ją większość społeczeństwa w referendum. Unia

OKIEM JASTRZĘBIA

Aż do działania **immunitetu**

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Dzisiaj tak trochę turystycznie i sportowo na początek. Na przykład Kambodża. Kambodża z czym się Państwu kojarzy? Nie no, wiem, łatwe dałem. Z Krakowem przecież, dokładnie z Wisłą Kraków. Starym dziadom to się jeszcze może kojarzyć z Czerwonymi Khmerami, ale to przeszłość, szkoda czasu. Dałem takie łatwe na rozruszanie.

Takie tam luźne asocjacje z tą Wisłą, że polskie kluby taka bieda kupuje jak Kambodża. Cieszyć się? Smucić?

Fundusz z Kambodży kupił większość akcji Wisły Kraków, bo nikt z Polski nie chciał kupić, choć teoretycznie było tanio, bo jedno euro. Ty, jedno euro to nawet ja mam, a naprawdę tyle kosztował cały klub legenda. Ale, ale... Małym druczkiem, tego Państwo, widzę, nie doczytali, a ci z Kambodży owszem. Oprócz jednego euro muszą spłacić prawie 30 mln długów i mówią, że zainwestują jeszcze ponad sto banieczek. Ładnie. Piszę o tym, bo mi się przypomniało, że ze dwa, trzy lata temu klubem Wisła zaczęła zarządzać taka kobieta, Marzena Sarapatę, w randze preza. I ona wtedy mówiła, że w ogóle Uniwersytet Jagielloński, prawo, radca, kancelaria, sport, pasja i że da radę, bo świetlana przyszłość. Już jej nie ma, ale świetlana przyszłość pewnie dalej świeci. To znaczy w klubie pani Marzeny nie ma, bo Kambodżanie docenili jej zarządzanie w ten sposób, że ona ma wolne.

Musiła nieźle zarządzać, bo ma wolne bezterminowo, a Wisła straszne długi. I tu chciałem panią Sarapatę przeprosić, bo najpierw, gdy się dowie-

działem o tej transakcji, myślałem, że to ona występowała na golasa. A to nie ona! Na golasa występowała inna pani prezes klubu piłkarskiego, choć też blondynka, prezes Warty Poznań, pani Izabella Łukomska-Pyzalska. W pismach dla dużych mężczyzn można było poczytać o klubie piłkarskim Warty i zobaczyć panią prezes całkowicie bez stroju piłkarskiego. Polecam archiwalne numery, jeden chyba mam, jakby coś.

Nie, nie, nie sugeruję przecież, że kobiety nie potrafią zarządzać, że tylko potrafią się rozbierać. Co ja jestem jakaś szowinistyczna wieprzowina czy coś? Przecież wyraźnie napisałem, że tylko jedna pani się rozbierała. Kobiety w piłce nożnej to element, uważam, niedoceniany. Jeszcze z ciekawostek dopowiem, że Misiek lubi panią Sarapatę, co nie jest bez znaczenia. Misiek to kibol bandyty z Wisły Kraków, ten, który rzucił

nożem w głowę Dino Baggio. Ktoś go musi przecież przed sądami bronić. Broniła go była prezes Wisły Kraków, co wydawało mi się nieco karkołomne, ponieważ budziło nieuzasadnione, lecz silne skojarzenia, że w klubie mogło być przyzwolenie na bandyterkę na trybunach. Takie tam luźne asocjacje z tą Wisłą, że polskie kluby taka bieda kupuje jak Kambodża. Cieszyć się? Smucić? A! Panią Sarapatę jeszcze raz przepraszam za to skojarzenie na golasa. Moja wina.

No, a skoro jesteśmy przy bandyterce, to przejdźmy do polityki. Otóż były (miejmy nadzieję, że były) bandyta (siedem chudych lat w więzieniu) Paweł Mikołajuw, znany jako raper Popek, zapowiedział założenie nowej partii politycznej. Bodźcem dla pana Popka było to, że „mam dość”. Mnie to się podoba bardzo, bo przynajmniej konkretnie.

W ogóle pan Popek mi się dość podoba, bo jest barwny. To znaczy ma złote zęby i kolorowe tatuaże. Zdaje się ma też kolorowe oczy, znaczy białka ma kolorowe, bo sobie czegoś do nich nawpuszczał, i wygląda groźnie. Szkół za bardzo nie kończył. Ale czy to w polityce może zaszkodzić? Trudno w sumie powiedzieć, bo np. taki Ryszard Petru szkoły skończył, i to mu wyraźnie zaszkodziło, co każdy może usłyszeć w każdej jego wypowiedzi.

Wróćmy na chwilę do Popka. Jego partia ma się nazywać Młoda Polska i będzie mieć program, nie wiadomo jaki jeszcze. Sądząc po jego hulaszcznej egzystencji, w razie rządów Popka można na jakiś okres spodziewać się zalegalizowania w Polsce wszystkiego, co może dać nam pierwsze miejsce w światowej turystyce. Na jakiś czas oczywiście, dokładnie na taki, w którym działać będzie immunitet Popka. Zawsze coś. ©©



FOT. ROBERT GARDŹŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Smeący niepraktykujący

LIST DO REDAKCJI „GAZETY WYBORCZEJ”:

Moja koleżanka kiedyś włożyła kartkę z napisem: „Nie jesteś tu mile widziany”, bo jej ksiądz rok w rok otwierał przy rodzinie kopertę i zapisywał w zeszycie, ile rodzina dała. Nigdy więcej już nie przyszedł.

To ten okres w roku, kiedy każda szanująca się postępową redakcja czuje się w obowiązku opublikować jakiś tekst o cierpieniach osób, które bardzo nie chcą, ale czują, że muszą przyjąć księdza po kołędzie. Normalny człowiek, jeśli nie chce przyjąć księdza, to go po prostu o tym informuje – tak, tak, to nie

księdza, a wszystko zaczęło się od zropaczonej relacji pewnego „młodego, wykształconego, z wielkiego ośrodka miejskiego”, który wpadł się pożalić, że przez księdza chodzącego po kołędzie musi siedzieć po ciemku i cicho, żeby ksiądz nie wiedział, że ktoś jest w mieszkaniu, tylko nie ma ochoty go przyjąć. Strasznie mu wszyscy współczuli, taki dramat. I nikomu nie przyszło do głowy, żeby zamiast dołączyć do psioczenia na księży nachodzących ludzi w domach, doradzić nieszczęśnikowi, żeby po prostu powiedział, że wizyty księdza sobie nie życzy. Takie proste rozwiązanie przekracza jednak – zdaje się – możliwości statystycznego katofoba. „Niby nie ma obowiązku, ale są dość namolni, żeby nie powiedzieć agresywni, w szturmowaniu drzwi. A nie każdy ma tyle asertywności, żeby wygarnąć mu w twarz, co o nim i jego instytucji myśli” – pisze współczujący internauta, najwyraźniej też uważający, że zwyczajna odmowa przyjęcia księdza wymaga ogromnej odwagi.

A potem z grupy „odważnych” chwalących się niewpuszczeniem księdza po kołędzie rekrutują się autorki innych listów do postępowych redakcji. Tych, w których skarżą się, że wspólnota, z której się na własne życzenie wykluczali,

potraktowała to samowykluczenie poważniej niż one same i np. nie pozwala zostać matką chrzestną. „Poszłam do kancelarii parafialnej po wystawienie zaświadczenia dla chrzestnego i nie dostałam tego świstka! Traumatyczne przeżycie. Z Kościołem nie mam zbyt wiele wspólnego, a od wielu lat to już zupełnie nic. Nie chodzę na msze, księdza po kołędzie nie przyjmujemy, zero mojego i rodziny zaangażowania. Ja w tym momencie czuję się ofiarą, jestem przez nich prześladowana!” – histeryzuje czytelniczka, która przez wrednego księdza nie zostanie teraz matką chrzestną dziecka kuzynki, choć – jak sama podkreśla – nic to dla niej samej nie znaczy.

Okołoświąteczne narzekanie na narzucających się z kołędą księży, których trzeba przyjąć, bo „co ludzie powiedzą”, bardzo przypomina mi styczniowe lamente, że wolontariusze Wielkiej Orkiestry wymuszają datki, bo są nachalni i nie każdy ma odwagę ich zignorować. Bardzo zachęcam do spróbowania – po pierwszym strachu i jedni, i drudzy się przekonają, że można być wiernym swoim przekonaniom, i jest to dużo zdrowsze niż zrobienie czegoś wbrew sobie oraz zanudzanie potem innych swoimi traumatycznymi przeżyciami. ©©

Z grupy „odważnych” rekrutują się autorki listów do postępowych redakcji

jest obowiązek i naprawdę odmowa przyjęcia księdza niczym nie grozi – w ostateczności nie otwiera mu drzwi. Katofob musi z odprawienia księdza zrobić wydarzenie i koniecznie poinformować o tym media, zawsze gotowe do podkreślenia świątecznego nastroju.

Kilka lat temu na internetowym forum „Gazety Wyborczej” czytelnicy dyskutowali na temat sposobów na niewpuszczenie

PODSŁUCHANE

Drugie konto

Dominik, bardzo mi przykro, musisz zlikwidować tłitera.

Ale Joachim, jak to?!

Tak to. Polecenie Komendanta. Teraz mamy być mili, grzeczni, nienapastliwi. Ty się nie kwalifikujesz.

Ja?! Widziałem, co sam wczoraj napisałeś o tej posłance z Nowoczesnej: „Ciężko myśląca

dziunia”. To niby było grzeczne i nienapastliwe?

Miałem włamanie na konto. Już to wyjaśniłem z Komendantem. Nawiasem, ciekawe, kto mu doniósł o tym wpisie. Bo on sam tłitera nie czyta. Nie wiesz przypadkiem?

Nie mam pojęcia, zielonego. W każdym razie Komendant wyraźnie zażądał, żebyś ty konto zlikwidował. Upoważnił mnie, żebym ci przekazał, że od tego zależy twoje miejsce na liście. Jeśli znowu wygramy, to możesz sobie

konto założyć na nowo i nawałać, ile wlezie. Wtedy to nawet Krysia może wrócić i mieć własny program w Tefaupe.

No dobrze. Ulegam przed przemocą...

Nie przed przemocą, ale przed mądrością Komendanta.

Oczywiście, oczywiście. A myślisz, że mógłbym sobie zostawić to drugie konto, takie nieoficjalne, żeby od czasu do czasu coś anonimowo skomentować?

Masz takie? Z jakim nickiem?

Jenot79. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Oceeniłem swoim ubiorem, że moja koszulka będzie mówiła wszystko panu prezydentowi, na wszystkie pytania będzie mu odpowiadała, a ja nie muszę rozmawiać, bo wiem, że rozmowa nie ma sensu”.

LECH WAŁĘSA, BYŁY PREZYDENT,

w Polsat News pytany o to, czy rozmawiał z prezydentem Andrzejem Dudą podczas wspólnej lotu

fot. Jerzy Gumowski



Medioci

wiem roi się wprost (dziesiątki!) od klawor-nych, wyrażanych jasno i twardo, „*expressis verbis*” (dosłownie), nawoływań, by mordować „*niewiernych*” bez pardonu. Notabene: kolejny w tym samym numerze „*Angory*” list „*czytelnika*”, Eugeniusza K. („*nazwisko i adres do wiadomości redakcji*”) opiewa Armie Czerwoną i jej ogromne humanitarne zasługi dla Polski oraz Polaków.

Irena Lasota, pisząc z USA (2017) o nadwiślańskich mediach salonowych, słusznie podniosła, że „*większość tych mediów uważa swoich czytelników za idiotów*”, bo wciskają im one kit, używając do tego „*ludzi mediów*”, „*ekspertów*” i „*celebrytów*”. Granica plecienia bzdur nie istnieje, exemplum porównywanie czasów PiS-u i czasów Holocaustu przez aktorki-kontestatorki Cielecką i Szczepkowską. Albo przez Jacka Fedorowicza. Fedorowiczowi jako salonowcowi (wielbicielowi PO) może wypada, ale jako Żydowi chyba nie wypada głosić w TVN, iż „*Wiadomości*” TVP są „*prowadzone w stylu goebbelsowskiej propagandy z najgorszego okresu*”, bo ten najgorszy okres to był Holocaust przez Goebbelsa zalecany, a „*Wiadomości*” są dalekie od tego.



Jan Chęciński: „*Pyl co wlatą spod pióra dziennikarza pod powieki świata*”



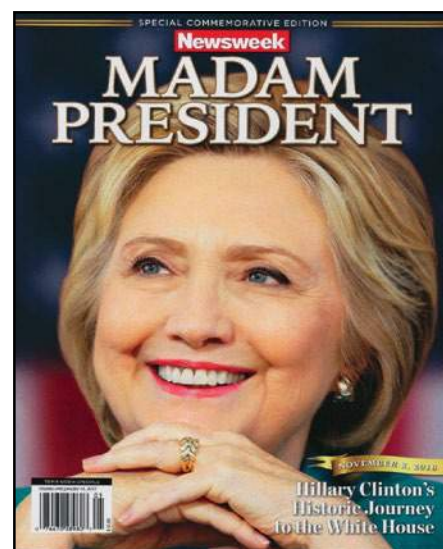
U dominujących na Zachodzie mediów lewackich TVP ma fatalną „*prasę*” — określa się ją łagodnie („*telewizja kontrolowana przez rząd*”) lub zjadliwie („*propagandowa tuba konserwatywno-faszystowskiego rządu*”), a opinie te, podobnie jak opinie szkalujące samą Rzeczpospolitą kierowaną przez PiS, zachodni żurnaliści i komentatorzy czerpią od swych priwiślińskich kumpi z TVN, „*Newsweeka*”, „*Polityki*” i reszty salonowych „*mediów polskojęzycznych*”, według których gdy włądało PO, całkowicie proplatformerska wówczas TVP nie była, „*tuba propagandową władz*”, „*telewizję kontrolowaną przez rząd*” czy też drugą „*Tusk Vision Network*”, tylko obiektywnym medium szerzącym prawdę. Ta ich diagnoza jest pochodną tupetu dla odwetu. Zero uczciwości.

Salonowi „*ludzie mediów*” bez zenady przekłamują doniesienia z Zachodu, czego przykładem choćby nagłośnione warknięcie Trumpa w odpowiedzi na pytanie jak ocenia francuską „*prawicową*” polityk Marine Le Pen: „*— Nie znam!*”. I tyle: „*— Nie znam!*”, czyli skreślam, olewam takich „*no name’ów*”, gówno mnie ta baba obchodzi. Tymczasem Trump odpowiedział wtedy (był to finał francuskich wyborów prezydenckich) inaczej: „*— Proszę wybaczyć, ale nie miałem okazji spotkać się z panią Le Pen, nie znamy się osobiście. To może być inte-*

resująca elekcja”. Skrócenie jego odpowiedzi do grubiańskiej dwuwyrzawowej riposty ukazuje symptomatyczny modus manipulatorski szermierzy Salonu żonglujących faktami/realiami niczym piłeczkami w medialnym cyrku politpoprawnego świata. Medialni salonowcy z Zachodu nie są lepsi, exemplum tekst dziennikarki Shree Paradkar w kanadyjskim „*Toronto Star*” o stołecznym Marszu Niepodległości 11 listopada roku 2017: „*Prócz faszystów maszerowali też normalni polscy patrioci — biali katolicy, zwykli ludzie. Mili i zwyczajni jak ropa sącząca się z wrzodów*”. Tak piszą o Polakach zwykli salonowi dziennikarze cudzoziemscy indoktrynowani przez zwykłych priwiślińskich wielbicieli PO. Mili i zwyczajni jak hemoroidy.

Czasami notują duże wpadki, przez nadzawziętość i nadgorliwość. Główna w ostatnich paru latach to mianowanie Hillary Clinton formalną szefową USA przez amerykański „*Newsweek*”. Kompromitujący dziennikarstwo jankeskie precedens sprzed siedmiu dekad niczego tych pismaków nie nauczył. A. D. 1948 rywalizowali o prezydenturę Dewey i Truman. Wszystkie renomowane sondażownie (Gallup, Roper, Crosley, etc.) dawały Deweyowi wysoką przewagę, bukmacherzy przyjmowali proDeweyowskie zakłady 1:8, więc w przedwyborczą noc „*Chicago Tribune*” wydrukowała na stronie frontowej dużymi czcionkami: „*DEWEY DEFEATS TRUMAN*” (Dewey pokonał Trumana). Dzień później trzeba było cały ten wielki nakład zniszczyć. Teraz tak samo: „*Newsweek*”, pewny kłęski Trumpa, wydrukował tuż przed dniem elekcji 100-stronicowy dodatek specjalny pt. „*PANI PREZYDENT*”, ukazujący „*Historyczną drogę Hillary Clinton do Białego Domu*”. Nakład (też wielki) zniszczono ze wstydem, nieliczne ocalałe egzemplarze są dziś rarytasami (zdołał mi to cacko mój kumpel ze Stanów, Wiesiek Matusiński). Oby takie wpadki zdarzały się mediasalonowcom jak najczęściej. ©©

Waldemar Łysiak



Salonowi dziennikarze priwiślińscy pracujący gorliwie dla „*opozycji totalnej*”, jak również dla „*liberalnych*” (czytaj: lewackich) mediów Salonu zachodniego, to rzesza tak już zdeprawowana, tak wyzbyta elementarnej przyzwoitości, że wszelka rehabilitacja bądź reedukacja tych nęgosów wydaje się zabiegiem niemożliwym, ich sumienia są dożywno okaleczone, ich mentalność skażona „*na wiegda*”, wątpię czy ktokolwiek dałby radę wpoić im cnotliwe człowieczeństwo, choćby „*z odzysku*”. Stosują wszelkie rodzaje przekrętów, trików i manipulacji, by mistyfikować rzeczywistość polityczną gwoli tumanienia odbiorców. Służą im do tego rozmaite żurnalistyczne łamy, trybuny, estrady i monitory, a kiedy plota głupoty tak już piramidalne, że nie chcą ich autoryzować/podpisywać własnymi nazwiskami — stosują „*rubryki korespondencyjne*”. Królową tej hucpy jest goszy-stowska „*Angora*”, mająca wielką (dwukolumnową dużego formatu) zonę dla „*listów od czytelników*”. Przykład z pierwszego numeru tegorocznego (1/2018) — „*czytelnik*” Piotr Stołowski pisze jak w szkole dowiadywał się o złowrogiej nędzy i despotacji PRL-u: „*Żywność na kartki, cenzura, brak wolności słowa, okrutna władza potrafiła zakatować niewygodne osoby, jednopartyjność, uciszanie każdego protestu*”. Po czym dodaje, że obecnie (czyli za dyktatury PiS-u) widzi to samo, bo „*wszystkie te demony i problemy wracają*”. Jeżeli to nie jest ciężka kliniczna paranoja niezakotawo-nego jeszcze autora listu (tudzież redakcji) — to co to jest, na miłość Boską?! Nowe schorzenie psychiczne, mentalne wariatkowo, biodegradacja mózgu?

Każdy numer „*Angory*” przynosi tego rodzaju kwiatki, jednak felietonowa szczupłość miejsca nie zezwala mnożyć cytatów, więc weźmy na dokładkę jeden numer tylko — 25/2018, czerwcowy. „*Czytelnik*” Krzysztof Gruszeński (rutynowo: „*adres dla wiadomości redakcji*”) ogłasza, że w przeciwieństwie do katolicyzmu („*katolicy przez wieki mordowali swoich wrogów*”) islam jest religią pokoju, bo „*«Koran» nie nawołuje do zabijania niewiernych (...)* Gdyby terroryści naprawdę znali «*Koran*», zamachów by nie było”. Autor tego listu albo jest idiotą, który nigdy nie trzymał „*Koranu*” w ręku i tylko papla brednie kolportowane przez politpoprawnych aktywistów „*multi-kulti*”, albo patentowanym kłamcą, który cynicznie/bezczelnie łże „*dla sprawy*”, robiąc czytelnikom „*Angory*” (za zgodą redakcji) wodę z mózgu. „*Koran*” bo-

Kumulacji szczęścia w Nowym Roku!



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl